SAFE: co po wecie? • Western na Bliskim Wschodzie • Pornoholizm
Stan KO • Cenny polski paszport • Kulisy Facebooka • Kasa za medale

POLITYKA

POLITYKA.PL

LIDER SPRZEDAŻY 1



Napad na SEJF

ILUSTRACJA **ADAM WÓJCICKI**

USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 12 (3556), 18.03–24.03.2026 Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ISSN 0032-3500

Wydanie w sprzedaży do 24.03.2026

KOLOROWE OBIETNICE NAJNTISÓW



KUP TERAZ

W sprzedaży



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 56e4ba20b9



© BENOIT TESSIER/REUTERS/FORUM

16
Ropny zator

Tematy tygodnia

12 Marek Świerczyński
SAFE po wecie: jak się będziemy bronić

16 Łukasz Wójcik
Wojna Trumpa: co czeka Iran i świat

Polityka

20 Rafał Kalukin **Koalicja Obywatelska: wewnętrzne tarcia i układanki**

23 Anna Dąbrowska, Klementyna Suchanow
Bartosz Lewandowski: naczelny prawnik prawicy

Społeczeństwo

26 Joanna Podgórska, Anna Dobrowolska
Dzieciństwo bez smartfona? – to możliwe!

29 Katarzyna Kaczorowska
Kto i dlaczego chce mieć polski paszport

32 Ewa Wilk
Jak się przygotować do emerytury – i kiedy najlepiej zacząć

36 Katarzyna Kaczorowska
Tak testują nas Rosjanie

39 Rozmowa z **Dominikiem Mądrachowskim** o tym, jak się wychodzi z uzależnienia od pornografii

Rynek

42 Marcin Piątek **Pieniądze sportowców: sprawdzamy, czy opłaca się zdobywać medale**

46 Cezary Kowanda
Polacy przejmują niemieckie firmy – jak to się robi?

Świat

48 Paweł Reszka **Ukraińska armia: co się stanie z żołnierzami i dowódcami po wojnie**

52 Mariusz Zawadzki MEKSYK
W sidłach karteli

56 Katarzyna Tubylewicz SZWECJA
Szwedzi myślą o bombie

Nauka/projektpulsar.pl

58 Przemek Berg
Badaczki kosmosu – kim są i jak przebijają szklane sufity

62 Dariusz Jemielniak
Spór o listę czasopism, czyli o tym, jaka ma być polska nauka

Historia

64 Anna Czarniecka
Celebrytka Marysieńka

67 Rozmowa z dr **Katarzyną Kwiatkowską-Moskalewicz** o Helenie Wolińskiej i Włodzimierzu Brusie

Kultura

74 Reż. **Gore Verbinski** o „Baw się dobrze i przeżyj" i o tym, czy kino może edukować

78 Rozmowa z **Yehudą Prokopowiczem**, laureatem Paszportu Czytelników POLITYKI

82 Michał R. Wiśniewski
Władza i chciwość, czyli kulisy powstawania Facebooka

84 Justyna Sobolewska
Małgorzata Szejnert: mistrzyni reportażu

87 Mea pulpa Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

94–97
- **Jakie dresy są teraz modne**
- **Niesmak po Macu**
- **Szukanie strumyka**
- **Koniec all inclusive?**
- **Winna Chorwacja**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **70** Afisz • **88** Orliński • **89** Koziołek
• **90** Hartman • **91** Chutnik i Plebanek
• **92** Mizerski • **92**, **98** Galeria POLITYKI
• **93** Do i od redakcji
• **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 56e4ba20b9



Uwodzeni siłą głosu

Mariusz Janicki

Bezpieczeństwo państwa pozostawało dotąd w miarę poza polityczną szarpaniną, ale weto prezydenta Nawrockiego wobec programu SAFE radykalnie to zmieniło. Nawrocki przekroczył istotną granicę, ale zapewne czuje się bezpieczny w swojej „bańce", bo od dawna założył, że będzie prezydentem połowy Polaków i to wystarczy do reelekcji. Wydaje się, że Nawrockiemu i Nowogrodzkiej chodzi głównie o to, kto będzie mógł uchodzić za dobrodzieja armii i przemysłu zbrojeniowego w następnym, wyborczym roku i że nie powinien być to Donald Tusk. Okazało się przy okazji, że zysk albo strata NBP zależą od woli prezesa Glapińskiego i politycznych potrzeb środowiska, z którego się wywodzi. Nie buduje to powagi jego „apolitycznego", jak sam mówi, urzędu, ale tak się w tej poppolityce dzisiaj gra i już mało kto czuje się czymkolwiek zażenowany.

Prezydent zadowolił wetem swój żelazny elektorat, obie Konfederacje i Jarosława Kaczyńskiego. W drugim etapie – już w ramach łowienia niezdecydowanych z centrum – będzie trwała batalia o plan Glapińskiego, a dokładniej o to, kto będzie winny, że nie wejdzie on w życie. Trudno bowiem przypuszczać, aby NBP pod tym kierownictwem wypłacił cokolwiek, jeśli nie będzie to oznaczać politycznego zysku dla PiS i Nawrockiego. Rozpoczął się znany od lat pisowski „szantaż patriotyczny", a jeśli rząd nie skorzysta z ustawy prezydenckiej w sprawie SAFE 0 proc., która daje przedstawicielom Nawrockiego prawo zablokowania każdej decyzji, rozpęta się piekło. Wszystko to jest zgodne z piarową rozpiską marketingowców z PiS i prezydenckiej kancelarii, bo najważniejsze jest uzyskanie przewagi w głowach wyborców, to tam się rozgrywają bitwy, które dla polityków mają znaczenie, reszta to didaskalia.

Rozgrywki wokół SAFE (więcej s. 12), mianowanie „premiera" przez Jarosława Kaczyńskiego, trwająca nieustannie akcja promocyjna prezydenta Nawrockiego (ostatnio z wykorzystaniem wziętego przez niego ze schroniska psa) – pokazują typowe dla obecnej polityki zjawisko: walne zwycięstwo tzw. narracji nad konkretem, chwytów nad meritum, emocji nad argumentami. Zręczność marketingowa stała się decydującym kryterium, jest utożsamiana z posiadaniem racji. Liczy się głównie to, kto komu „dokopie", kogo „pozamiata", czyja opowieść weźmie górę, a kto znajdzie się w niedoczasie. Przy okazji ogłoszenia SAFE 0 proc. pojawiły się w socialowym komentariacie stwierdzenia typu: „świetny ruch Nawrockiego, a o ekonomicznych kwestiach nie będę się wypowiadał, bo się na tym nie znam" – to kwintesencja takiego myślenia. Po wecie natomiast nie brakowało opinii, że „prezydent uciekł z zastawionej na niego pułapki", „nie miał wyjścia" i jego decyzja była racjonalna, „udało mu się". Oczywiście najważniejsze, że „uciekł". A Kaczyński musi wygłaszać coraz bardziej szokujące opinie, bo przecież walczy z Braunem, to naturalne i nie ma co się czepiać. Tyle że te wojny na opowieści i narracje zaczynają zagrażać bezpieczeństwu państwa.

Widać tu też wyraźny wpływ trumpizmu, czyli postępującą personalizację polityki postrzeganej jako „epickie" starcie osobowości, gdzie w cenie jest wyzbycie się wszelkich skrupułów w pogrążaniu wroga, a także po prostu siła fizyczna; to niejako prywatna walka, a nie publiczny, cywilizowany spór. Tak jakby polityka powróciła do jakichś pierwotnych, plemiennych źródeł i ten regres jest witany z radością przez nacjonalistyczną prawicę. W tym teatrzyku Nawrocki to „zawodnik wagi ciężkiej", a Braun to „twardy wojownik". Także Przemysław Czarnek zebrał wiele pochwał ze strony niepisowskich mediów, jaki to trafny wybór Kaczyńskiego, „ależ ma siłę w głosie" – jak napisał jeden z dziennikarzy liberalnego tygodnika – i jeszcze ta „prostota przekazu" (więcej o kampanii Czarnka s. 6). To uwodzenie przez prawicę, mimo tylu nauczek, wciąż jest skuteczne.

Liberalna demokracja wciąż ma jednak swoich niezachwianych zwolenników, którzy rozumieją, że stawka politycznej rozgrywki jest większa niż codzienne afery czy partyjne wrzutki. Ta demokratyczna ekipa – co wciąż widać w sondażach – nie ulega wymyślonym przez spin doktorów „nowym twarzom", „trzecim siłom", błyskotliwym kandydatom, którzy „ściskają ręce i dają nadzieję". I nie oznacza to taryfy ulgowej dla rządów Donalda Tuska, które rzeczywiście są – łagodnie mówiąc – mało spektakularne i wymagają radykalnej poprawy. Ważne jest jednak dostrzeganie szerszej perspektywy – bo właśnie teraz o coś naprawdę chodzi. Wybory prezydenckie nie były końcem świata, a dezercja wyborców z 2023 r. i 2025 r. w takim momencie byłaby szczególnie dotkliwa dla liberalnego obozu.

Rozstrzyga się bowiem nowy globalny porządek, zajmowanie w nim pozycji. Trzy polskie prawice, mimo dzielących je różnic, ciągną państwo do szarej geopolitycznej strefy poza Zachodem, w stronę brutalnej, prostackiej polityki, także w języku, gdzie normy, umowy, procedury są lekceważone i pogardzane. Prawica od dawna za tym tęskniła, dlatego tak entuzjastycznie przyjęła Trumpa. A tłumaczenia Nawrockiego po decyzji o wecie, także liczne wypowiedzi Czarnka, już brzmią jak mentalny polexit.

Unia Europejska może czasami irytować swoją powolnością i ostrożnością, jednak reprezentuje świat, który jeszcze nie przegrał, a może znowu zyskiwać. Historia pokazuje, że bombastyczne pokazy siły w końcu się wypalają (MAGA już traci w USA zwolenników, a „kampania irańska" ma znikome poparcie), powracają zaś: prawo, umowy, „nudne" poszanowanie reguł. Także w Polsce trwa zapisywanie się do jednej z tych dwóch opcji, a waga tego wyboru sięga znacznie wyżej niż bieżący „stan gry". To, co kto pojmie z tego procesu politycznego i kulturowego, który właśnie trwa, zdecyduje o wyniku wyborów w 2027 r.

eprasa.pl 56e4ba20b9

Albatros travel

Albatros 40 lat

Północna Walia i Liverpool

Odkryj naturalne piękno północnej Walii oraz kulturowe dziedzictwo Liverpoolu z historią słynnego zespołu The Beatles podczas wyjątkowej podróży po mniej znanych zakątkach Wielkiej Brytanii.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Manchesteru i przejazd do Liverpoolu. **Dz. 2** Dalsze zwiedzanie Liverpoolu nie tylko śladami Beatlesów. Po południu czas do własnej dyspozycji. **Dz. 3** Walia: wizyta w nadmorskiej miejscowości Portmeirion i portowym Porthmadog oraz zakwaterowanie w zamku Ruthin. **Dz. 4** Rejs po rzece Dee, przejazd zabytkowym pociągiem z Llangollen i Park Narodowy Snowdonia. **Dz. 5** Średniowieczne zamki Conwy i Caernarfon oraz urokliwe miasteczko Betws-y-Coed. **Dz. 6** Wizyta w mieście Wrexham i wylot z Manchesteru do Polski.

6 dni
Wylot z Warszawy
30/09 2026
od **6.998,-**



NOWOŚĆ



2 posiłki dziennie

Klasyczna Toskania i Cinque

Historyczne miasta, góry z marmuru w Carrara i malownicze wybrzeża Ligurii od Portofino aż do Pizy.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Bolonia. **Dz. 2** Lukka i Piza – historyczne perły Toskanii. **Dz. 3** Florencja – kolebka renesansu. **Dz. 4** Dzień wolny lub wycieczka fakultatywna do San Gimignano z wizytą w winnicy. **Dz. 5** Montecatini Terme – marmury Carrara – lardo w górskim miasteczku Colonnata – Cavi. **Dz. 6** Rapallo, Portofino i San Fruttuoso – Rejs wzdłuż liguryjskiego wybrzeża. **Dz. 7** Cinque Terre – podróż pociągiem przez pięć wyjątkowych miasteczek. **Dz. 8** Ostatnie zakupy w Bolonii i przelot do Polski.

8 dni | Wyloty z Warszawy
26/05, 08/09, 13/10 2026 | od **6.298,-**



3 posiłki dzienne

Klasyczne Chiny i rejs po rzece Jangcy

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Pekinu. Świątynia Nieba. **Dz. 3** Pekin. Wielki Mur Chiński, fabryka porcelany i ceremonia parzenia herbaty, Wieża Bębna, hutongi oraz Pekińska Opera z kolacją (dodatkowo płatne). **Dz. 4** Pekin. Plac Niebiańskiego Spokoju, Zakazane Miasto, Wzgórze Węglowe i nocny pociąg do Xi'an. **Dz. 5** Przyjazd do Xi'an. Wielka Pagoda Dzikich Gęsi, miejskie mury obronne i Wielki Meczet. **Dz. 6** Xi'an. Terakotowa Armia, tybetańska świątynia Guangren i teatr Tang z kolacją (dodatkowo płatne). **Dz. 7** Xi'an – Chongqing. Zoo, Pałac Ludowy, Muzeum Trzech Przełomów, wejście na pokład statku na rzece Jangcy. **Dz. 8** Fengdu – Miasto Duchów oraz atrakcje na statku. **Dz. 9** Rzeka Jangcy. Trzy Przełomy i Rzeka Bogini. **Dz. 10** Yichang – Szanghaj. Tama Trzech Przełomów i pociąg ekspresowy do Szanghaju. **Dz. 11** Szanghaj. Budynek Jin Mao, bazar Yuyuan, Muzeum Szanghajskie, sklep z jedwabiem oraz pokaz akrobatyczny z kolacją (dodatkowo płatne). **Dz. 12** Szanghaj. Wycieczka do miasta na wodzie Zhujiajiao i pożegnalna kolacja. **Dz. 13** Szanghaj. Czas wolny i wylot do Polski. **Dz. 14** Przylot do Warszawy.

14 dni | Wyloty z Warszawy 07/05, 11/06, 17/09, 15/10 2026 | **13.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL09**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 56e4ba20b9

Partyjny sejf



Weto prezydenta do programu SAFE opóźni napływ euro do Polski, ale samej pożyczki nie zablokuje. Kiedy Mariusz Błaszczak zadłużał nas w Korei Płd., nie pytał Sejmu ani prezydenta – o zaciągniętej w dolarach drogiej pożyczce Polacy dowiedzieli się z mediów koreańskich. A jednak PiS i prezydent nadal usiłują nam wmówić, że prawdziwie narodowy i suwerenny jest SAFE 0 proc., zaproponowany przez **Adama Glapińskiego**. Projekt już trafił do Sejmu, prezydent żąda, żeby jak najszybciej został uchwalony. Pokazuje on, jak niezależność NBP rozumie jego obecny prezes oraz po co taka ustawa potrzebna jest prezydentowi – czyli prawdziwą przyczynę weta.

Glapiński, który wcześniej zapewniał, że NBP nie sprzeda ani uncji zgromadzonego złota, porwany patriotycznym uniesieniem zmienił zdanie, co ujawnił na ostatniej konferencji, na którą nie wpuszczono największych polskich telewizji. W myśl jego koncepcji część rezerw złota, których jest 570 ton, można by jednak sprzedać na giełdzie w Londynie. Ponieważ NBP kupił złoto taniej, niż wynosi jego obecna cena, pojawiłby się zysk. Ten zysk, w postaci dolarów albo obligacji, NBP mógłby – a raczej musiałby – przekazać do budżetu. Takie jest prawo. NBP jest niezależny, więc taką decyzję zarząd banku, całkowicie podporządkowany prezesowi, może podjąć, ale nie musi – uważa Glapiński, traktując złoto NBP jak prywatny sejf. Do tej pory złota nie sprzedawał, bo wolał zysku nie osiągać; to nie jego rząd. Sytuacja byłaby inna, gdyby została zrealizowana druga część planu.

A jest nią ustawa, której projekt złożył prezydent. Obecne prawo nakazuje 95 proc. zysku NBP przekazać do budżetu, Nawrocki chce to zmienić i powołać Polski Fundusz Inwestycji Obronnych, konkurencyjny do już istniejącego Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych. Po co? Bo to do tego prezydenckiego trafiłby ewentualny zysk NBP, a Nawrocki zyskiwałby też decydujący wpływ na to, na co zostanie on wydany. Odbierałby rządowi część jego kompetencji zapisanych w konstytucji. Ten zysk pojawiłby się niewcześniej niż w następnym roku – rząd z modernizacją zbrojeniówki musiałby poczekać. Tego PiS – i najwyraźniej też prezydent – boją się najbardziej, bo popularność rządu mogłaby urosnąć. Z obroną suwerenności ma to niewiele wspólnego. Chyba że chodzi też o to, żeby polskie firmy zbrojeniowe nie mogły się wpasować w rozbudowę unijnej obronności, bo prawica nie ukrywa, że chce Polskę z Unii wyprowadzić. Tymczasem na skutek zawieszenia amerykańskiego embarga na zakup rosyjskiej ropy więcej pieniędzy na zbrojenia będzie miał Putin.

JOANNA SOLSKA

O SAFE czytaj też s. 12.



Pełniący obowiązki kandydata na premiera

Pierwsze dni **Przemysława Czarnka** w zaszczytnej roli kandydata PiS na premiera najlepiej chyba opisuje fraza inżyniera Diatłowa z serialu „Czarnobyl" tuż przed wybuchem reaktora: „Not great, not terrible" – ani wspaniale, ani strasznie, ot, tak sobie, średnio na jeża. Źle nie jest, bo Czarnek z całą pewnością jest wyrazisty, pewny siebie, rubaszny, po miesiącach wizerunkowego bezkrólewia daje wreszcie Prawu i Sprawiedliwości twarz. Gorzej dla partii Kaczyńskiego, że jest to twarz większości Polek i Polaków już dobrze znana i niekoniecznie dobrze kojarzona.

Pal sześć, że szczególną niechęcią darzą go głównie wyborcy lewicowo-liberalni i centrowi, bo ten elektorat partii Kaczyńskiego dziś nie interesuje. Problemem jest jednak fakt, że co najmniej mieszanymi uczuciami darzą Czarnka również zwolennicy Konfederacji i Korony Grzegorza Brauna, pamiętający byłego ministra edukacji przede wszystkim jako wspólnika Mateusza Morawieckiego w rozmaitych „zbrodniach" rządu PiS, z wprowadzaniem „covidowego zamordyzmu" i pomocą Ukrainie na czele. Stąd niespecjalnie dziwi fakt, że w sondażu Opinii24 63 proc. ankietowanych nie chce, by Czarnek został premierem, w badaniu United Surveys 58 proc. negatywnie ocenia jego nominację, a IBRiS pokazuje, że 55 proc. ankietowanych czuje do niego niechęć.

Tym z wyborców skrajnej prawicy, którzy mogliby poczuć nieco sympatii do pozującego na radykalnego ludowego trybuna Czarnka, pamięć szybko odświeżył lider Konfederacji Sławomir Mentzen, który nazwał kandydata PiS „rzecznikiem Kaczyńskiego" i zadał mu kilka pytań: „Jak oceniasz politykę covidową PiS?", „Zamknąłbyś ponownie szkoły? A co myślisz o zamknięciu kościołów?", „Nowy Ład był dobrą reformą?", „Akceptujesz w całości politykę rządu PiS względem Ukrainy?". Natomiast w materiałach publikowanych na platformach społecznościowych Konfederacja nazywa Czarnka „hipokrytą", wytykając mu głosowania, w których popierał KPO, „wygaszanie kopalń" i „socjal dla Ukraińców".

Jarosław Kaczyński w swoim stylu szybko ocenił, że po prostu Mentzen „bardzo się przestraszył", a Przemysław Czarnek jest kandydatem dobrym oraz „głosodajnym". Ale wbrew wiosennemu optymizmowi prezesa odzyskanie głosów młodszych, prawicowych wyborców będzie dla PiS zadaniem z gatunku karkołomnych i bardzo energożernych. Tak bardzo, że nawet „OZE-sroze" może tu nie wystarczyć.

MICHAŁ DANIELEWSKI

eprasa.pl 56e4ba20b9

Siedem godzin siedzenia



Wiedzą, że za dużo siedzą w telefonach, ale nie są w stanie ograniczyć korzystania – to jeden z głównych wniosków z najnowszego badania Instytutu Cyfrowego Obywatelstwa na temat higieny cyfrowej i aktywności fizycznej młodzieży. ICO kilka miesięcy temu wstrząsnął opinią publiczną za sprawą raportu „Internet dzieci" – wykazano m.in., że najmłodsi są aktywni w mediach społecznościowych, choć nie powinno ich tam być, a dorośli choć o tym wiedzą, niespecjalnie dzieci przed tym chronią. Teraz Instytut przyjrzał się proporcjom korzystania przez młodych ludzi w Polsce z nowoczesnych technologii i ze sportu. Choć intuicja podpowiada, co z tego porównania wynika, zestawienie liczb uderza.

W badaniu uczestniczyli uczniowie siódmych klas szkół podstawowych i trzecich klas szkół ponadpodstawowych. Ponad połowa nastolatków w standardowy dzień szkolny korzysta z urządzeń ekranowych **4 godziny** lub więcej, połowa z tej grupy – co najmniej **7 godzin**! W weekendy jest jeszcze gorzej. Prawie 70 proc. młodych ludzi jest przed ekranami **5 godzin** lub więcej, w tym 43 proc. – przynajmniej **7 godzin**.

Jednocześnie tylko połowa nastolatków uprawia sporty przez **godzinę** lub więcej dziennie cztery razy w tygodniu (tyle zaleca WHO). 30 proc. młodych ćwiczy **raz–dwa razy w tygodniu** albo wcale. **Godzinę codziennie**, np. na bieganie lub siłownię (najczęstsze aktywności), poświęca zaledwie 14 proc. młodych ludzi. Jest zgodna z logiką zbieżność: aktywni fizycznie korzystają ze smartfonów mniej intensywnie niż ci, którzy ruszają się mniej. Jednocześnie ponad 60 proc. pytanych oceniło, że ich czas korzystania z urządzeń ekranowych w ostatnim miesiącu był zbyt długi. Dlaczego zatem go nie skracają? Prawdopodobnie nie wiedzą jak.

Wiedza badanych o higienie cyfrowej pochodzi głównie ze szkoły. Prawie **dwie trzecie nastolatków** wskazało ją jako główne źródło informacji na ten temat. W domu dowiadywało się czegokolwiek w tej sprawie cztery razy mniej – tylko **15 proc.** pytanych. Cały obraz wyników sugeruje więc, aby nie oczekiwać, że szkoła załatwi wszystkie zadania wychowawcze. Większe zaangażowanie rodziców i przykład kontrolowanego użycia urządzeń przez dorosłych pomogłyby nastolatkom teoretyczną wiedzę o higienie cyfrowej przekuć w praktykę działania. Zwłaszcza że 7 godzin dziennie w weekendy dzieci siedzą z telefonami nie w szkołach, tylko zazwyczaj w domach, obok swoich mam i tatów. Często na tej samej kanapie. (J.CIEŚL.)

Więcej na ten temat na polityka.pl. A o dzieciach wychowywanych bez smartfonów i ekranów czytaj na s. 26.

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

REKLAMA

POLITYKA **Zaprenumeruj nasz tygodnik przez** InPost Paczkomat 24/7

- **Gwarantowana dostawa w środę** do wybranego InPost Paczkomat 24/7
- **Darmowa przesyłka** przez cały okres prenumeraty
- **Niższa cena za egzemplarz** niż w punktach sprzedaży



679 zł za rok
Oszczędzasz 150 zł
Tylko ~~16~~ 13 zł za numer

359 zł za pół roku
Oszczędzasz 60 zł
Tylko ~~16~~ 13,80 zł za numer

blik PayU

InPost

Wejdź na **polityka.pl/paczkomat** lub zeskanuj kod QR:

eprasa.pl 56e4ba20b9

TYDZIEŃ W POLITYCE

Czarnek Ameryki



Jarosław Kuźniar

Dziennikarz, twórca platformy podkastowej Voice House.

Każdy kraj ma swojego Czarnka. Problem Ameryki polega na tym, że u nich to szef Ministerstwa Wojny. Rozmontować panel fotowoltaiczny to jednak inny rodzaj odwagi, niż zabić ajatollaha Iranu. Ale władza jest najgorszym rodzajem uzależnienia, najbardziej próżniaczym i najbardziej niszczącym. Psuje krew nie tylko samym ćpunom, ale milionom ich obywateli. Wykoślawia rzeczywistość, gwałci prawo i porządek, depcze zdrowy rozsądek. A kiedy jeszcze wszystko jest non stop na żywo w telewizji z milionową widownią, ciśnienie, żeby co chwilę mieć newsa, jest dewastujące.

Zanim minister obrony USA Pete Hegseth stał się ulubieńcem amerykańskich programów komediowych, był przeciętnym hostem porannego pasma w Fox News. Stanowisko w Pentagonie wyklęczał sobie republikańskim lizusostwem. Idealnie pasuje do swojego szefa, który balsamuje się nadmiarem narcyzmu. Który „zakończy wojnę w Iranie, jak poczuje w kościach, że nadszedł czas". Tak, to cytat z prezydenta Ameryki, właściciela najpotężniejszej armii świata. Namówiony przez Izrael zaczął wojnę, która wymknęła mu się spod kontroli. Jak dotąd irańska władza ma więcej głów niż Ameryka bomb i zamiast upaść – skutecznie odpowiada.

Przez Trumpa i Netanjahu świat ma kryzys paliwowy, jakiego dawno nie widział. Cena ropy jest doskonałym prezentem dla Putina. Zamknięty transport z Bliskiego Wschodu daje Rosji ponad 10 mld dol. miesięcznie. Nie patrząc na Ukrainę, Ameryka zniosła rosyjskie sankcje, żeby dolać ropy na rynek. Kolejnych pomysłów w Waszyngtonie brak. Zamiast tego jest festiwal zapewniania, że „wygraliśmy". Problem w tym, że świat nie jest głupi. Słowo wypowiedziane na politycznej mównicy nie chce stawać się ciałem przy dystrybutorze. Kiedy dziennikarze mówią o tym wprost Hegsethowi, słyszą obelgi. „Im szybciej Paramount zrobi z wami porządek, tym lepiej" – mówi do CNN.

Taki atak jest łatwiejszy niż odpowiedź na pytanie, czy to Ameryka zabiła ponad 100 dzieci w irańskiej szkole zaraz na początku wojny. Śledztwo „New York Timesa" sugeruje, że Amerykanie użyli danych wywiadowczych sprzed 10 lat i pomylili szkołę z koszarami. Tymczasem na profilu Białego Domu na platformie X pojawia się Iron Man i mówi: „Wake up, Daddy's home", eksplodują irańskie instalacje, potem sceny z Call of Duty i kolejny budynek zamienia się w pył. Podpis: „JUSTICE THE AMERICAN WAY". Emoji flagi i ognia. Witamy w pierwszej wojnie memowej.

Sekretarz wojny USA powagi nie udaje. Wchodzi na konferencje jak zawodnik WWE. Colin Jost parodiuje go w „SNL" z taką precyzją, że widzowie nie widzą różnicy. To Hegseth na miejsce reporterów zaprosił influencerów. To on żądał, żeby dziennikarze podpisali zobowiązanie, że nie będą zbierać informacji bez jego zgody. Ale wyrzucenie dziennikarzy to połowa strategii. Druga to filmy Białego Domu mieszające prawdziwe bombardowania z klipami z „Braveheart", „Top Gun" i „Grand Theft Auto".

Kiedy 35 lat temu Ameryka bombardowała Irak, świat oglądał pierwszą wojnę telewizyjną. Wtedy Pentagon kontrolował narrację za pomocą konferencji gen. Schwarzkopfa. On przynajmniej udawał, że traktuje wojnę poważnie. Hegseth tymczasem zachowuje się jak na imprezie bractwa studenckiego.

Bez trybu i Trybunału



Koalicja rządząca wybrała sześcioro sędziów do Trybunału Konstytucyjnego. Tylko czy uda się jej wprowadzić ich do TK?

Wybrani zostali: dr Magdalena Bentkowska, która w czasach rządów PiS broniła pro bono aktywistów opozycji ulicznej; dr hab. Marcin Dziurda, w latach 2006–12 prezes Prokuratorii Generalnej Skarbu Państwa; Anna Korwin-Piotrowska, sędzia; dr hab. Krystian Markiewicz, sędzia, do 2025 r. prezes Stowarzyszenia Sędziów Iustitia; dr hab. Dariusz Szostek, ekspert w dziedzinie cyberbezpieczeństwa i nowych technologii, oraz dr hab. Marcin Taborowski, ekspert w dziedzinie prawa UE i były zastępca RPO.

Tuż przed wyborem sędziów na wniosek posłów koalicji rządzącej Sejm przyjął uchwałę, w której stwierdza, że obecność nowych sędziów w TK jest działaniem przyczyniającym się do tego, by Trybunał „spełniał wymogi sądu ustanowionego na mocy prawa, niezawisłego i bezstronnego". Jednak w tej samej uchwale stwierdza się też, że Bogdan Święczkowski został wybrany na prezesa TK w sposób niezgodny z prawem, bo z udziałem dublerów. A więc Trybunałem „kieruje faktycznie osoba nieuprawniona, a podejmowane przez nią czynności (…) były i są nadal dokonywane z naruszeniem prawa". Z tego zaś można wnioskować, że wyroki TK, nawet z udziałem nowych sędziów, nadal nie będą uznawane przez rządzących, a premier Tusk nadal nie będzie ich drukował.

Ale wiele wskazuje na to, że nowi sędziowie nie zostaną dopuszczeni do orzekania. Nie zaprzysięgnie ich prezydent, bo procedura ich wyboru (pisowska) została zaskarżona przez PiS do TK. A jeśli nie zaprzysięgnie ich prezydent, to prezes Święczkowski nie dopuści ich do orzekania – i nie pomogą zaprzysiężenia zastępcze w postaci ślubowania złożonego przed notariuszem czy Sejmem.

Rozprawę w TK wyznaczono na 17 marca. Trybunał jest przed poważnym dylematem. To, że ma orzec o niekonstytucyjności procedury, to pestka, ale chodzi o to, od kiedy ten wyrok ma obowiązywać? Bo jeśli na przyszłość, to nowi sędziowie są legalnie wybrani i prezydent nie ma pretekstu do niezaprzysiężenia. A jeśli wstecz, to zarówno sędziowie obsadzeni przez koalicję, jak i ci obsadzeni przez PiS nie są legalnie wybrani. Więc TK może wybrać wyjście trzecie: sprawa spadnie z wokandy, a prezydent z zaprzysiężeniem będzie czekał na wyrok.

Może jednak rządzący mają jakiś plan B? Np. że Święczkowski dopuści nowych sędziów do orzekania w zamian za odblokowanie publikacji wyroków TK (oczywiście tych bez dublerów)?

EWA SIEDLECKA

© ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 56e4ba20b9

Dla wielozadaniowców
Monitory interaktywne

SMART®



www.irs.com.pl

tel . + 48 602 336 341

eprasa.pl 56e4ba20b9



Ślepa inteligencja?

Wojna USA i Izraela z Iranem jest – zdaniem wojskowych analityków i sprzedających poufną wiedzę mediów – pierwszą, w której na tak dużą skalę wojsko stosuje sztuczną inteligencję do wykrywania, identyfikacji i wskazywania celów oraz analizy skuteczności uderzeń. Ten cykl to klucz do powodzenia operacji, choć nie przesądza o zwycięstwie. Cyfrowa precyzja wciąż nie powala Iranu na kolana, choć pozbawiła życia jego przywódcę, a wojskom USA pozwala zwielokrotniać skalę bombardowań. Machinę tę napędza spółka Palantir z systemem analizy danych Maven, przyjętym przez amerykańskie dowództwa i najważniejsze sztaby NATO (oferowanym też Polsce) oraz „silnik" sztucznej inteligencji Claude z firmy Anthropic, która ostatnio ma z Pentagonem na pieńku.

Narzędzia te potrafią „łączyć kropki" i wyciągać wnioski o niebo szybciej niż analitycy wywiadu, co pozwala dowódcom efektywniej wykorzystywać środki zniszczenia, a Donaldowi Trumpowi – chwalić się, że kampania idzie szybciej, niż myślał. Jednak już pierwsze godziny wojny dowiodły, że zamiast błędów i niedomagań „czynnika ludzkiego" maszyny mogą kreować własne. Na samym początku doszło do tragicznej pomyłki, jeśli nie zbrodni wojennej. Wskutek uderzenia (najprawdopodobniej był to amerykański pocisk Tomahawk) w żeńską szkołę w portowym mieście Minab, w pobliżu irańskiej bazy morskiej, zginęło 175 osób, w większości uczennic. Późniejsze kluczenie Trumpa w wyjaśnieniach przypominało halucynowanie agregatów AI, które zmyślają bzdury, gdy przerasta je prompt, czyli pytanie zadane cybernetycznemu mózgowi.

Pentagon, wciąż związany legalizmem, wszczął dochodzenie, choć wpływy cyfrowych potentatów i tradycja spychania odpowiedzialności każą wątpić, czy szybko wskaże winnych. Zwłaszcza że błędów kosztownych i tragicznych jest więcej. W pierwszych dniach wojny obrona powietrzna Kuwejtu strąciła, prawdopodobnie w jednej salwie, trzy powracające z misji samoloty uderzeniowe F-15E. Incydenty zwane *friendly fire* czy *blue on blue* (od koloru „swoich" na wojskowych mapach) zdarzają się w skomplikowanych operacjach o dużym tempie akcji. Świadczą jednak o słabościach wyszkolenia, koordynacji i interoperacyjności zaangażowanych wojsk. Zdarzyło się to też samym Amerykanom. Sześciu lotników zginęło, gdy w Iraku spadł samolot tankujący KC-135, który wcześniej mógł zderzyć się w powietrzu z inną maszyną.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Wojna Orbána

Viktor Orbán szuka sposobu na piąte z rzędu zwycięstwo wyborcze. Zwiastunów sukcesu nie widać jednak w sondażach. Metodą mobilizacji własnych wyborców i przyciągnięcia niezdecydowanych ma być atak na Ukrainę. Na tyle frontalny, że ktoś niezorientowany mógłby dojść do wniosku, że Orbán nie rywalizuje z **Péterem Magyarem**, stojącym na czele opozycyjnej partii Tisza, lecz z sąsiadem ze wschodu. I osobiście z prezydentem **Wołodymyrem Zełenskim**, patrzącym z plakatów rozwieszanych przez Fidesz, ugrupowanie węgierskiego premiera.

Orbán przedstawia Ukrainę jako wichrzycielkę i egzystencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa Węgier. Obiecuje, że nie da ich wciągnąć do toczącej się od 2022 r. wojny. Twierdzi, że chcą tego Kijów i Bruksela. Kontrolowany przez Fidesz parlament przyjął uchwałę, w której sprzeciwił się finansowemu i militarnemu wspieraniu Ukrainy i jej wejściu do Unii Europejskiej. Zatrzymano konwój bankowy jadący z Austrii na Ukrainę, rutynowy i zgodny



z europejskimi procedurami. Konwojentów puszczono, ale 40 mln dol., 40 mln euro i 9 kg złota zatrzymano. Lider Fideszu oskarża Ukraińców o rozmyślne opóźnianie naprawy rurociągu „Przyjaźń", pompującego ropę z Rosji i uszkodzonego w rosyjskim ataku. Emocjonalnie zareagował na sugestię zniecierpliwionego Zełenskiego, że można by przekazać adres węgierskiego premiera ukraińskim żołnierzom, by porozmawiali z nim swoimi sposobami.

Przed poprzednimi wyborami, które odbywały się już po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji, Orbán z powodzeniem grał na antyukraińskiej strunie. Tym razem taka taktyka, wyraźnie zintensyfikowana od początku marca, nie przyniosła odbicia poparcia, przynajmniej nie od razu. Sondaż z początku miesiąca pokazał, że Fidesz odzyskał jedynie 2 pkt proc., co nie wystarcza do wyrównania straty do Tiszy. Ośrodki badawcze niezależne od rządu szacują, że poparcie dla niej jest o 12–14 pkt proc. wyższe niż dla Fideszu. Sondażownie wspierające Orbána twierdzą natomiast, że z ok. 6-procentowym naddatkiem prowadzi stronnictwo premiera.

Rozkład rzeczywistych sympatii próbowano ocenić 15 marca, w rocznicę wybuchu antyhabsburskiego powstania z 1848 r. Obchody były równoległe. Magyar występował na większym placu i zgromadził większą liczbę uczestników. Orbán tradycyjnie spotkał się ze zwolennikami pod parlamentem (przyszli m.in. pod transparentami „Nie będziemy ukraińską kolonią!"), a w swoim przemówieniu zbudował paralelę między wydarzeniami sprzed 178 lat i wspaniałą współczesnością. Ukształtowaną 16-leciem jego rządów, których dorobek próbuje zniweczyć Ukraina, jawnie trzymająca kciuki za zwycięstwo opozycji.

eprasa.pl 56e4ba20b9

Przymusowa hanizacja



Xi Jinping bierze się za mniejszości narodowe. Chiński malowany parlament – przy 2756 głosach za, trzech przeciw i trzech wstrzymujących się – przyjął ustawę o wspieraniu jedności etnicznej. Zakłada wysiłki na rzecz wynarodowienia 55 oficjalnie uznawanych mniejszości. Ich unikalne tożsamości zostaną zastąpione tą uniwersalnie chińską, budowaną sztucznie przez partię komunistyczną wokół grupy Han, stanowiącej 91 proc. społeczeństwa. A także wokół mandaryńskiego, który w placówkach edukacyjnych, od przedszkola po szkoły średnie, zastąpi języki mniejszości i będzie miał pierwszeństwo m.in. w dokumentach i w korespondencji urzędowej.

Brutalnej asymilacji od dawna poddawani są Tybetańczycy i **Ujgurzy**. Od 2020 r. przepisy analogiczne do nowej ustawy wprowadzano w Mongolii Wewnętrznej. Trzy przedmioty – historia, polityka (czyli indoktrynacja w duchu marksizmu, maoizmu i myśli Xi) i główny język – są nauczane według ujednoliconych ogólnokrajowych podręczników. W ten sposób mongolski, ograniczony do jednego, nieobowiązkowego na maturze przedmiotu, ustąpił mandaryńskiemu jako językowi wykładowemu. I choć zmiany wdrażano stopniowo i niezbyt restrykcyjnie, to i tak doprowadziły do upadku mongolskiego szkolnictwa. Często sami nauczyciele przechodzili na chiński, by zwiększyć szanse egzaminacyjne swoich podopiecznych. Mongolski został też wyrugowany z przestrzeni publicznej, w tym ze znaków drogowych, szyldów i tablic.

Mongołowie próbowali się opierać. Bezprecedensowe protesty uczniów, rodziców i nauczycieli zostały oczywiście zduszone. Po kilku raptem latach skutek jest taki, że starsze pokolenia rozmawiają ze sobą po mongolsku, w języku coraz bardziej prywatnym i domowym, a do najmłodszych zwracają się już po mandaryńsku. Z drugiej strony narodził się ruch oddolnego oporu, stawiający na samokształcenie i dokumentowanie zanikającej spuścizny mongolskiego i związanej z nim kultury pasterskiej.

Partia najwyraźniej wyciągnęła wnioski z mongolskiej lekcji. Przepisy „ustawy o jedności" przewidują dotkliwe sankcje dla rodziców i opiekunów, którzy spróbują sypać piasek w tryby reformy. Z podejrzliwością patrzą na nią władze Tajwanu, który Pekin uznaje za zbuntowaną część Chińskiej Republiki Ludowej. Zwracają uwagę, że ustawa nakazuje ścigać tych, którzy podważają jedność etniczną lub podżegają do separatyzmu. Stąd wniosek, że kary nie grożą tylko tym Tajwańczykom, którzy wzywają do zjednoczenia według przepisu Xi Jinpinga. Ustawa wejdzie w życie 1 lipca.

Rymowany premier



Mamy pierwsze zwycięstwo pokolenia Z. Pół roku temu była fala młodzieżowych protestów przeciw nepotyzmowi, korupcji, brakowi perspektyw i zamknięciu Facebooka, która w Katmandu zakończyła się gwałtownymi starciami z policją (zginęło 77 osób), podpaleniami budynków publicznych i plądrowaniem, a w następstwie – dymisją premiera i rozwiązaniem parlamentu. Teraz dopełniła się rewolucja: runął trójpartyjny układ (komuniści, maoiści, centryści), który w różnych konfiguracjach i w 14 kolejnych rządach kierował Nepalem od obalenia monarchii w 2008 r. Premierem został 35-letni **Balendra Shah**, znany jako **Balen**, o połowę młodszy niż poprzednicy, a nowa, antyestablishmentowa Narodowa Partia Niezależna (RSP), której stał się motorem, zdobyła w parlamencie blisko dwie trzecie miejsc. Pozytywną rolę w transformacji odegrała armia, ciesząca się dużym autorytetem. Zapanowała nad sytuacją, a potem umiała się wycofać.

Balen, którego znakiem firmowym są rozpinane swetry i ciemne okulary, zanim trzy lata temu został burmistrzem stolicy, zyskał sławę jako kontestujący raper. Nie ma doświadczenia, co zostało uznane za jego największą zaletę. A obietnice złożył imponujące: że rozliczy klasę rządzącą, a uzyskane nielegalnie majątki znacjonalizuje, podwoi do 2030 r. PKB per capita (do 3 tys. dol.), stworzy 1,2 mln nowych miejsc pracy, zreformuje szkolnictwo, sądy (np. rozprawy mają być transmitowane) i służbę zdrowia. Miło się tego słucha w kraju z pierwszej piątki najbiedniejszych w Azji, gdzie mediana wieku to 25 lat, za granicą pracuje już ok. 4 z 30 mln mieszkańców, a codziennie, szukając lepszego losu, opuszczają kraj kolejne 2 tys. (ale i ta dziedzina – wizy i pozwolenia – przeżarta jest korupcją).

Nepal źle zniósł covid i zapaść turystyki, a teraz szykuje się kolejny kryzys: większość Nepalczyków pracuje nad ogarniętą wojną Zatoką Perską, a ich przelewy do kraju to jedna czwarta gospodarki. Zaczęły się już kłopoty z gazem, podstawowym paliwem w kuchni i lokalnym transporcie. Jak wiadomo, na każdym takim międzynarodowym zawirowaniu najciężej obrywają najbiedniejsi. A do tego wszystkiego Balen nie ma doświadczenia w dyplomacji, Nepal zaś jest wciśnięty między Indie i Chiny, które chcą tu rządzić po swojemu (większy problem może być teraz z Chinami). Z Katmandu doszły wieści, że Balen jest zamknięty w sobie, komunikuje się tylko przez internet (1,3 mln obserwatorów na Instagramie), a w pogoni za sukcesem w rządzeniu stolicą bywał nerwowy: bardzo brutalnie, z użyciem policji, rozprawił się z nielegalnym handlem. Na starcie ma gigantyczny kapitał zaufania, a potem – może być różnie.

© SHUTTERSTOCK, NURPHOTO/GETTY IMAGES, JAKUB PORZYCKI/NURPHOTO/GETTY IMAGES, FACEBOOK.COM/ITSB.ITSB

eprasa.pl 56e4ba20b9

Polska mniej

MAREK ŚWIERCZYŃSKI



Karol Nawrocki zdecydował się na najbardziej znaczące weto swojej dotychczasowej prezydentury. Jakie skutki odrzucenie ustawy o SAFE będzie mieć dla Polski, UE, a przy okazji także dla USA?

Blokada ustawowej ścieżki dostępu do unijnych pożyczek na zbrojenia to cios w ekipę Donalda Tuska, która widziała sukces SAFE jako własny. I czerwone światło dla udziału Polski w rodzącym się obronnym wymiarze Unii Europejskiej, widzianym na prawicy jako krok do „federalizacji". Przy okazji oberwie czekający na zamówienia polski przemysł zbrojeniowy, a lobbujący

eprasa.pl 56e4ba20b9

zbrojna



Amerykańskie czołgi Abrams. Część krytyki SAFE płynęła od lobbystów z USA, czasem zupełnie otwarcie.

© KPR. PIOTR SZAFARSKI/COMBAT CAMERA POLAND

na rzecz SAFE najważniejsi oficerowie Wojska Polskiego otrzymali od konstytucyjnego zwierzchnika wotum nieufności. Decyzja ta zdefiniuje relacje prezydenta i wspierających go ugrupowań z rządem na resztę obecnej kadencji Sejmu, a gdyby po 2027 r. układ władzy miał się nie zmienić – do końca urzędowania prezydenta. Wetem do SAFE Karol Nawrocki na serio zaczął walkę z rządem, nieprzypadkowo właśnie wtedy, gdy PiS wystawił innego radykała Przemysława Czarnka na lidera wyborczej prekampanii.

Rząd przekonuje, że ma plan B i SAFE uratuje. Bez zmiany ustaw, choć przy protestach prezydenta i PiS, chce unijną pożyczkę skierować do założonego w 2022 r. Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych. Na nadzwyczajnym posiedzeniu rządu, nazajutrz po wecie, Donald Tusk zapowiedział program „Polska Zbrojna" i przeforsował uchwałę, która niemal powiela zawetowaną ustawę. Minusem jest to, że FWSZ nie finansuje instytucji spoza MON, a więc Straży Granicznej, policji czy SOP, a także nie da się z niego pokryć kosztów obronnych inwestycji drogowych i kolejowych. Wojsko, paradoksalnie, może nawet zyskać przez uszczuplenie ok. 16 mld wydatków dla innych formacji, ale wymaga to nowych ustaleń z Brukselą i przepisania ponad setki przygotowanych do podpisu umów. Zaliczka w wysokości 15 proc. wartości funduszu SAFE też przyjdzie później niż w marcu, jak planowano.

Koszty nie tylko finansowe

Wskutek zajadłej kłótni, w której przestały się liczyć fakty i liczby, kraj szczycący się rekordowymi wydatkami i przełomowymi inwestycjami w wojsko nie zrealizuje w pełni programu, o którego stworzenie sam zabiegał. W sensie technicznym SAFE to produkt ubiegłorocznej polskiej prezydencji w Radzie Unii Europejskiej, ale w szerszym znaczeniu to owoc zabiegów Polski i innych podobnie myślących państw o to, by w tandemie z NATO Unia zajęła się tym, co jej wychodzi najlepiej – pieniędzmi. Nasza „debata" wywołuje szok i niedowierzanie zarówno w unijnych instytucjach, jak i wśród wojskowych i dyplomatów w NATO. Oto na ostatniej prostej z pełnego wdrożenia SAFE rezygnuje lider projektu, jego największy beneficjent i kraj, którego przemysł obronny stoi przed pierwszą we współczesnych czasach szansą zaistnienia na europejskim i globalnym rynku. Nie pierwszy raz zadziwiamy Europę i samych siebie.

Europa nas zadziwiła tym, jak szybko uruchomiła SAFE. Wymyślenie, wynegocjowanie (z 19 zainteresowanymi państwami) i wdrożenie funduszu pożyczkowego o wartości 150 mld euro w nowym dla Unii obszarze w ponad rok to rekord Europy. Na finiszu wiele zasług miała polska prezydencja, ale SAFE to jeden z efektów proobronnego zwrotu obecnej Komisji i Rady, która po bezskutecznych próbach powstrzymania rosyjskiej wojny w Europie wybrała przygotowania do obrony. Oczywiście w brukselskim, nieco biurokratycznym stylu, ale z dużą energią i z bezprecedensowymi rozwiązaniami, których celem jest powołanie kiedyś „unii obronnej" uzupełniającej NATO.

Jesienią 2024 r. pojawił się urząd komisarza ds. obrony z przedstawicielem wschodniej flanki Litwinem Andriusem Kubiliusem na czele. Wiosną 2025 r. szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen ogłosiła ramowy program ReArm Europe, wspierający inwestycje w przemysł i infrastrukturę. Kilka miesięcy później powstała „mapa drogowa" uzupełniania brakujących Europie zdolności. A w jego trakcie pojawiły się pieniądze z dwóch ścieżek: poluzowania unijnych wymogów budżetowych, by kraje mogły wydawać więcej bez ryzyka restrykcji związanych z deficytem, oraz ze zorganizowanych przez Komisję nisko oprocentowanych pożyczek. Wszystko razem ma uruchomić na zbrojenia 800 mld euro. To nie jest wspólny budżet obronny, bo fundusze nie pochodzą ze składek państw członkowskich i dochodów własnych Unii, ale to pierwszy krok w tym kierunku.

Europejskie pieniądze mają jednak wspierać europejską siłę – zarówno tę wojskową, w drodze inwestycji, jak i przemysłową, poprzez kierowanie zamówień do własnych firm. Zależność ▶

eprasa.pl 56e4ba20b9

▶ Europy od importu uzbrojenia, głównie z USA, przekroczyła w ostatnich latach 65 proc. Mechanizm SAFE i inne inicjatywy Komisji mają odwrócić ten trend. Zależność od wydłużonych i niepewnych łańcuchów dostaw uznano za zagrożenie jeszcze przed nadejściem ryzyka politycznego w osobie Donalda Trumpa. Ale początek jego drugiej kadencji pokrył się z finiszem prac nad SAFE i wzmocnił motywację do uniezależniania się Europy.

Niektóre rządy żądały, by 80 proc. zakupów z funduszu miało wyłącznie europejskie pochodzenie. Poziom ten, również dzięki Polsce, spadł do 65 proc. wartości podpisywanych umów. Chodziło o to, by polski wóz bojowy Borsuk nadal mógł być wyposażony w amerykańską armatę Bushmaster, a w skład systemu antydronowego mogły wejść pociski APKWS z USA. Celem jest jednak wspieranie europejskiego przemysłu. W tym kontekście pada słowo „rozwój", ale SAFE nie sfinansuje prac badawczo-rozwojowych ani inwestycji w park maszynowy, lecz wyłącznie zakup gotowych wyrobów – i to szybko, do 2030 r. Dostawcy będą musieli sami pomyśleć, jak pieniądze z umów wykorzystać na rozwój technologii i mocy produkcyjnych. Dlaczego w tak krótkim czasie trzeba wydać tak dużo pieniędzy? Szef sztabu generalnego gen. Wiesław Kukuła tłumaczył, że politycy przychylili się do zdania wojskowych: lepiej się szybko zbroić, zamiast latami wymyślać cuda techniki. Unia odstąpiła więc od ulubionych wieloletnich strategii, co wskazuje, że ryzyko wojny widzi za lat kilka, a nie kilkadziesiąt.

Dlatego też kupuje się to, co jest gotowe, niemal „z półki". W przypadku Polski ze 187 mld zł do wydania w rządowym planie 130 mld zł miało przypaść na projekty już znane i realizowane. Warszawa wynegocjowała – też dla innych – swoistą klauzulę opt-out: z SAFE będzie można refinansować krajowe umowy zawarte przez rok od wejścia w życie rozporządzenia, czyli od 30 maja 2025 r. do końca maja tego roku. Później można tylko zawierać wielostronne porozumienia. Rząd bardzo liczył, że dzięki wyższemu ratingowi Komisji pożyczki SAFE będą oprocentowane o połowę niżej od większości zaciąganych indywidualnie. Nawis zadłużeniowy nam rośnie, więc tańszy dług jest lepszy od droższego – kalkulował minister finansów Andrzej Domański i podawał, że oszczędzi od 36 do 60 mld zł w spłatach, z 10-letnią karencją na zwrot kapitału. A kto wie, czy część rat nie zostanie umorzona, o ile wieloletni budżet Unii weźmie na siebie obronność.

Prawicowa opozycja zareagowała „suwerenistyczną" alergią, krytykując okres zadłużenia (do 2070 r.) i jego warunki – od reguł europejskości, która wyklucza zakup sprzętu produkcji USA czy koreańskiej, przez walutę pożyczki, która może zdrożeć, po reguły „warunkowości", czyli praworządność wydatkowania. Oponentów nie przekonały zapewnienia rządu i wojska, że SAFE pozwoli przeznaczyć własne środki na import spoza Europy, że ryzyko kursowe dotyczy tak samo pożyczek z USA i Korei oraz że kontrola zamówień leży głównie po naszej stronie. Nie przekonało też, że „lista zakupów" powstała nie w Brukseli, lecz w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego i w Agencji Uzbrojenia. Pierwszy zestaw 160 projektów opracowano już w czerwcu 2025 r.

Lista zakupów

Planowane zakupy trzeba zrealizować do końca 2030 r., co nie jest terminem odległym jak na zbrojenia, a Polska postawiła głównie na refinansowanie umów krajowych. Brakuje czasu na innowacje, które trzeba testować. Gdy rząd miesiącami



Pierwsze bojowe strzelanie amerykańskiego systemu Patriot w Polsce, poligon w Ustce, wrzesień 2025 r. W związku z zaangażowaniem USA w wojnie na Bliskim Wschodzie Europa musi się uniezależnić od dostaw uzbrojenia zza oceanu.

wzbraniał się przed ujawnieniem listy, narosły teorie spiskowe o tym, jak Niemcy i Francuzi chcą nam „wciskać swój złom", blokując „najlepszą broń z USA". Przed narracją o „unijnej pułapce" za późno i za słabo bronili się autorzy sukcesu, jakim słusznie wydawał się SAFE. Sprawa stała się polityczna, łamiąc niepisane, lecz respektowane „porozumienie ponad podziałami", jakie od chwili rosyjskiej agresji na Ukrainę zapanowało między wrogimi obozami.

Wobec wiszącego w powietrzu prezydenckiego weta MON dopiero pod koniec lutego pokazał dane i sprzęt, który kupi. To wystawa znanych od lat wyrobów PGZ i prywatnych spółek obronnych, takich jak wozy bojowe Borsuk, moździerze samobieżne Rak, armatohaubice Krab, pociski przeciwlotnicze Piorun czy bezzałogowce FlyEye i dronowy system rozpoznawczo-uderzeniowy Gladius. Unijna pożyczka pójdzie na kolejne transze tego sprzętu. Projektem nowym i nowatorskim jest system obrony powietrznej San, jedyny w Polsce optymalizowany dla zwalczania dronów, w tym irańsko-rosyjskich Szahedów. W ciemno można założyć, że nowa wojna w Zatoce Perskiej przysporzy mu jeszcze większego zainteresowania niż to, z którym już się spotyka jako „pierwszy w NATO". Innym produktem, który dzięki SAFE może być eksportowym hitem, jest kołowy pojazd minowania narzutowego Baobab-K (a także projektowana wersja gąsienicowa Baobab-G) oraz jego mniejsza, bezzałogowa wersja Bluszcz.

Kraje wschodniej flanki NATO – od Finlandii (najdłuższa granica z Rosją) po Polskę – odstąpiły od zakazu min przeciwpiechotnych i od tego roku mają wolną rękę w ich produkcji, magazynowaniu, rozmieszczaniu i sprzedaży tym, którzy wyszli z konwencji ottawskiej, a więc głównie między sobą. Nie oznacza to automatycznie minowania terenu, bo to za duże ryzyko. Ale zakłada gotowość do alarmowego minowania w razie nadchodzącej wojny, w czym pomogą pojazdy, zasobniki na śmigłowcach, a także drony.

© MICHAŁ WAJNCHOLD/COMBAT CAMERA POLAND

eprasa.pl 56e4ba20b9



Pozostałe 50 mld zł z SAFE MON zamierza przeznaczyć na to, na co mimo lawinowo rosnących sum pieniędzy od lat brakowało. Najważniejszą „zdolnością", jak to określają wojskowi, są samoloty transportowo-tankujące europejskiej produkcji, pod marką Airbusa. Ich przydatność widzimy, gdy pojawiają się komunikaty o „poderwaniu" polskich i sojuszniczych myśliwców w reakcji na rosyjskie salwy rakiet i dronów. Mało kto zwraca uwagę, że zanim wystartują myśliwce, z zachodu Europy do wyznaczonych rejonów muszą przylecieć pękate szare samoloty podobne do cywilnych liniowców, wyposażone w przewody i sondy do „karmienia" głodnych paliwa maszyn taktycznych. Polska ponad 20 lat temu kupiła 48 zdolnych do tankowania w powietrzu F-16, a w tym roku przyjmie pierwsze z 32 maszyn F-35. Wciąż liczy na dostosowanie do tankowania w locie 48 kupionych naprędce koreańskich FA-50. W planach jest dokupienie dwóch eskadr samolotów wielozadaniowych lub przewagi powietrznej, czyli 32 maszyn. Do końca dekady mamy mieć minimum 127 (po stracie jednego F-16) maszyn zdolnych do tankowania w powietrzu, przy braku tankowca. To jeden z przykładów niekonsekwencji w budowaniu pełnowymiarowych zdolności, które tylko razem dają przewagę.

To samo dotyczy samolotów wczesnego ostrzegania, morskich patrolowców, dużych samolotów transportowych i śmigłowców wielu typów, które naszej przyszłej półmilionowej armii (wedle planu do 2039 r.) zapewnić mają oczy, uszy, pięści i szybkość reakcji. Europejski przemysł nie jest w tyle za USA w takim sprzęcie, a część produkcji może skierować do Polski. Minister obrony wydał niedawno ważne uszczegółowienie „polskiego pochodzenia" zakupów z SAFE. Kto wie, czy europejska pożyczka nie trafi do amerykańskiego pod względem własności PZL-Mielec, bo że trafi do Leonardo PZL-Świdnik (prawdopodobnie na śmigłowce szkolno-bojowe) czy PZL-Okęcie (produkcja struktur samolotów Airbusa), jest niemal pewne. Europejski przemysł oznacza w tym przypadku pensje dla polskich pracowników, kontrakty dla polskich poddostawców i podatki dla polskiego państwa. SAFE ma napędzić dużo więcej niż zbrojenia.

Plany zakupowe wynikają ze ściśle tajnego Programu Rozwoju Sił Zbrojnych, zgodnego z natowskim horyzontem planowania na 15 lat wprzód i aktualizowanego co cztery lata. Obecny, zatwierdzony przez MON pod koniec grudnia program, którego założenia były znane w momencie opracowania polskiego wniosku do SAFE, pokrywa okres do 2039 r. i zawiera nasz wkład w siły obronne Sojuszu, oparte na planach regionalnych, ukierunkowanych na odparcie i pokonanie Rosji, gdyby zaatakowała kraje NATO. To najprostsza odpowiedź na pytanie, czy i jak SAFE wzmocni polską obronność. Zależność jest tu dwutorowa: zbrojenia wspierają wykonanie planów wojskowych, których założenia kształtują plany zbrojeniowe. To dlatego generałowie Wojska Polskiego ramię w ramię z ministrami stanęli murem za polskimi kluczami do europejskiego sejfu z pieniędzmi. W założeniach PRSZ 2025–2039 Polska zgodnie z dyrektywami NATO przyjęła „odstraszanie przez karę" zamiast „odstraszania przez odmowę dostępu". Oznacza to przeniesienie nacisku na „miecze", czyli środki ofensywne, zmierzające do zadania Rosji strat, kosztów i bólu, przy utrzymaniu inwestycji w „tarcze", czyli to, co przed rosyjskim atakiem ma nas obronić – od rowów przeciwczołgowych i pól minowych w ramach Tarczy Wschód, po zintegrowaną obronę powietrzną i antyrakietową, polski priorytet od dwóch dekad. Wojskowi mogą się oczywiście mylić, ale innych generałów i innych planów jako państwo nie mamy, chyba że chodzi o „ekspertów z internetu".

Z Trumpem nie ponegocjują

Część krytyki SAFE płynęła od lobbystów z USA, czasem zupełnie otwarcie. Amerykański ambasador przy UE w jawnym liście zaprotestował wobec europejskich preferencji dla produktów i przemysłu, zwłaszcza w zbrojeniach. O namowach ambasadora USA wobec polskich władz słychać zza kulis jego spotkań, ale sam pochwalił się – tuż przed awanturą o SAFE – wizytami w kilku amerykańskich firmach obronnych. Czy dostał od nich listę oczekiwanych zamówień? Spekulacje o niej krążą.

Amerykanie mogli czuć się pewnie w zakresie ciężkich śmigłowców transportowych Chinook, będących uzupełnieniem wybranych wcześniej przez Polskę Apaczów i Black Hawków. Ale pod znakiem zapytania stał wybór powietrznych tankowców, morskich patrolowców od Boeinga czy samolotów wczesnego ostrzegania. Byłyby to wielomiliardowe kontrakty wiążące Polskę na dekady, a więc lukratywne dla amerykańskich firm. Tak samo jak rosnący rynek nowych technologii: dronów, środków antydronowych, tanich, ale masowo wytwarzanych pocisków, o które USA rywalizują z Europą też na polskim rynku.

Gdy widzimy brutalność Donalda Trumpa wobec europejskich partnerów, nie powinniśmy się dziwić obawom o to, co będzie, jeśli nie wybierzemy zakupów z USA. Tymczasem nasza prawica za wiele zainwestowała w Trumpa, by z nim cokolwiek negocjować. Zresztą okoliczności ostatniej wojny na Bliskim Wschodzie wskazują, że Trump oczekuje od Europy wyłącznie uległości. A skutki konfliktu w postaci zużycia kluczowego uzbrojenia pokazują, że Europa nie ma innego wyboru, jak uniezależnić się od amerykańskich Patriotów, NASAMS-ów czy HIMARS-ów, choćby były najlepsze na świecie.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

eprasa.pl 56e4ba20b9

Dziki Zachód na Bliskim Wschodzie

ŁUKASZ WÓJCIK

Po masowych bombardowaniach Iranu wiele wskazuje na to, że Amerykanie szykują się teraz do „ograniczonej” inwazji lądowej, aby odblokować cieśninę Ormuz. Z wszystkimi tego nieprzewidywalnymi konsekwencjami.

W sobotę prezydent Donald Trump powiedział w wywiadzie dla NBC News, że amerykańskie ataki „całkowicie zniszczyły” znaczną część wyspy Chark, centrum eksportu irańskiej ropy naftowej w północnej części Zatoki Perskiej. Zapowiedział też kolejne uderzenia: „Możemy zaatakować ją jeszcze kilka razy, dla zabawy”. Te dwa ostatnie słowa są być może poszukiwaną od miesięcy wielką doktryną Trumpa. Albo mniej ambitnie – prawdziwym powodem agresji na Iran, która wchodzi właśnie w kolejny etap.



ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

eprasa.pl 56e4ba20b9

Również w sobotę prezydent USA zapowiedział w mediach społecznościowych, że zanim amerykańskie okręty rozpoczną eskortę statków handlowych w zablokowanej przez Iran cieśninie Ormuz, „amerykańcy żołnierze zniszczą stanowiska lądowych pocisków przeciwokrętowych, które Irańczycy rozmieścili w rejonie cieśniny". To może oznaczać, że Amerykanie szykują się do inwazji lądowej na Iran.

Widać już pewne symptomy. Płynący z Japonii okręt desantowy USS Tripoli z 800 marines i samolotami F-35 na pokładzie będzie na miejscu w ciągu tygodnia. Kolejni marines dotrą bezpośrednio z USA. To według ekspertów, z którymi rozmawialiśmy, ewidentnie wskazuje na plany inwazyjne. – *Mówi się o wyspach Chark oraz Keszm, która leży blisko najwęższego punktu Ormuzu* – relacjonuje środowiskowe dyskusje Caitlin Talmadge, ekspertka od bezpieczeństwa transportu z Massachusetts Institute of Technology. – *Na Keszm Irańczycy na pewno mają spory i dobrze przygotowany do obrony garnizon. To może się zamienić w krwawą jatkę.*

Talmadge dodaje, że w Waszyngtonie pojawiła się nawet koncepcja wysłania amerykańskich lub izraelskich komandosów do Isfahanu po składowane tam prawdopodobnie ponad 400 kg wzbogaconego uranu. Temu pomysłowi sprzeciwić się mieli Izraelczycy.

Daleką drogę przeszedł prezydent Trump, kiedyś radykalny przeciwnik zagranicznych interwencji. Trudno nie zauważyć tu pewnej logiki wojny. Rozpoczęła się nieco mimowolnie – jak opowiadał sekretarz obrony Marco Rubio, Ameryka nie mogła dopuścić do sytuacji, w której Izrael zaatakowałby sam. Po zabójstwie najwyższego przywódcy Iranu Alego Chameneiego było upajanie się sprawczością i słowa sekretarza wojny Pete'a Hegsetha, że „gdy już leżą (Irańczycy – przyp. red.), musimy ich jeszcze docisnąć" i że „nie będzie litości".

Kiedy jednak okazało się, że irański reżim wciąż działa, a nawet swoimi pogróżkami w praktyce zablokował cieśninę Ormuz (Korpus Strażników Rewolucji zapowiedział, że nie pozwoli na eksport „jednego litra ropy" z Bliskiego Wschodu, jeśli ataki USA i Izraela będą kontynuowane), zaraz prezydent Trump może uznać, że nie ma wyboru i marines muszą wylądować w Teheranie.

Ten obraz bezwładu dopełniają kolejne okoliczności „przedwojenne" ujawniane przez amerykańską prasę. Dwa dni przed amerykańsko-izraelskim atakiem toczyły się w Omanie rozmowy tych napastników z Iranem. Jak pisze „Wall Street Journal", wysłannicy Trumpa: Steve Witkoff i Jared Kushner, byli do tego stopnia nieprzygotowani, że nie potrafili rozróżnić niewielkiego reaktora badawczego, który zresztą Amerykanie zbudowali Irańczykom jeszcze za szacha w latach 70., od wirówek, czyli urządzeń o wyglądzie dużej pralki, które służą do wzbogacania uranu (ta informacja pochodzi prawdopodobnie od obecnego przy rozmowach przedstawiciela Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej). Nie pomogło więc, że Irańczycy byli już w stanie zgodzić się na wszystko w sprawie nuklearnej – Amerykanie chcieli „bezwarunkowej kapitulacji", jakby walczyli z III Rzeszą.

„Wall Street Journal" idzie jednak dalej i twierdzi, że amerykańskie służby tydzień przed atakiem przygotowały Trumpowi raport, zgodnie z którym Iran nie stanowił żadnego zagrożenia dla USA, jego program nuklearny był blefem, a sam atak grozi zablokowaniem cieśniny Ormuz, co może mieć nieprzewidywalne konsekwencje dla globalnej gospodarki. To w skrócie, bo sam raport „miał aż cztery strony" i – jak twierdzi rozmówca amerykańskiej gazety – Trump z pewnością go nie czytał.

W sprawie Ormuzu amerykańskie służby miały rację. Cieśniną, która łączy Zatokę Perską z Zatoką Omańską i Oceanem Indyjskim, w spokojnych czasach przepływa 90–100 tankowców dziennie, czyli jakieś 20 mln baryłek ropy naftowej. Jest to również najważniejszy szlak dla transportu skroplonego gazu ziemnego (LNG). To sprawia, że Ormuz jest najbardziej ruchliwym szlakiem węglowodorowym na świecie – po cieśninie Malakka między Malezją i Indonezją. Z tą różnicą, że Malakkę można ominąć, nadkładając nieco drogi, a Ormuzu nie można.

Jak wskazuje Abbas Amanat, irański historyk z Yale University, w całej swojej historii Ormuz nigdy nie był zamknięty – aż do dziś. Groźby Irańczyków sprawiły, że od ponad tygodnia przez cieśninę przeszło dosłownie kilka statków, głównie z Indii. Prawdopodobnie siedem jednostek, które próbowały przejść, zostało uszkodzonych lub podpalonych w niejasnych okolicznościach. Reszta – według stanu na poniedziałek było to już ponad 200 – stoi w pobliżu Ormuzu, gdzie ponoć Irańczycy od ubiegłej środy rozmieszczają miny i inne systemy uderzeniowe.

Trump zareagował następująco: „Jeśli miny zostały umieszczone i nie zostaną natychmiast usunięte, konsekwencje militarne dla Iranu sięgną poziomu dotąd niespotykanego". Obiecał również wsparcie armatorom, zarówno poprzez obniżenie kosztów ubezpieczeń, jak i zapewnienie wojskowej eskorty dla statków handlowych. To echo operacji „Earnest Will" z lat 80., gdy w szczytowym okresie wojny z Irakiem Iran zaczął ostrzeliwać i podpalać tankowce. Stany Zjednoczone pozwoliły wtedy kuwejckim jednostkom zamienić banderę na amerykańską, co uzasadniło ich konwojowanie przez US Navy.

Prezydent USA chyba liczy na powtórkę, choć zdaje sobie sprawę z ograniczonych możliwości US Navy. W sobotnim wywiadzie dla „Financial Times" powiedział, że jeśli sojusznicy z NATO nie pomogą mu odblokować Ormuzu, przyszłość Sojuszu stanie pod znakiem zapytania. Pogroził również Chińczykom – zapowiedział, że jeśli nie przyślą okrętów do eskortowania statków w cieśninie, przełoży zaplanowaną na 31 marca wizytę w Pekinie.

– *W porównaniu z latami 80. jest jednak zasadnicza różnica* – uważa Abbas Amanat. – *Wówczas Iran robił wszystko, aby nie eskalować konfliktu z Amerykanami i nawet nie próbował atakować konwojów US Navy. Dziś czuje się egzystencjalnie zagrożony, a już kilka razy pokazał, że w takich okolicznościach działa bez ograniczeń.*

Ewentualna próba siłowego odblokowania Ormuzu niesie ze sobą historyczne ostrzeżenie. W czasie pierwszej wojny światowej Brytyjczycy i ich anglosascy sojusznicy próbowali odblokować inne wąskie gardło – Dardanele, cieśninę łączącą Morze Czarne ze Śródziemnym. Kontrolujące ją Imperium Osmańskie przygotowało jednak wielowarstwową obronę – zaminowany pas żeglugowy, mobilne haubice nad brzegiem, które miały Brytyjczykom uniemożliwić rozminowywanie, i cięższa artyleria już z dala od brzegu, która miała za zadanie osłaniać wspomniane haubice przed ogniem z brytyjskich okrętów.

Przy pierwszym podejściu Brytyjczycy użyli tylko floty, co skończyło się dla nich utratą trzech ciężkich okrętów przy zerowym postępie w rozminowywaniu. Za drugim razem, ▶

eprasa.pl 56e4ba20b9

▶ w kwietniu 1915 r., zdecydowali się na desant lądowy na mocno obsadzony przez wojska osmańskie półwysep Gallipoli u wybrzeży Dardaneli, by po dziewięciu miesiącach wycofać się stamtąd znów bez żadnych korzyści strategicznych i przy stratach sięgających 150 tys. żołnierzy.

Podobnie jak kiedyś Imperium Osmańskie w Dardanelach, tak dziś Iran w Ormuzie rozmieszcza miny – posiada ich pokaźny arsenał, część może być przenoszona przez okręty podwodne lub zamaskowane statki handlowe. A tak się złożyło, że Marynarka Wojenna USA niedawno wycofała ze służby wszystkie okręty do zwalczania min stacjonujące w Bahrajnie. Ale nawet gdyby można było je wykorzystać, potrzebowałyby osłony większych okrętów, które w wąskiej cieśninie byłyby jeszcze bardziej zagrożone.

Ormuz nie rozpieszcza marynarzy nawet w spokojnych czasach. Jest wąski, dość płytki i często zamglony lub zapylony. W czasie wojny, otoczony jałowymi górami bez wyraźnych odniesień nawigacyjnych, może się okazać pułapką nie tylko nawigacyjną. W tych górach mogą ukrywać się mobilne wyrzutnie, wychylając się tylko dla oddania strzału. Dodatkowo sprawę komplikuje to, że irańskie systemy wykorzystują naprowadzanie na podczerwień (ciepło), co oznacza, że trudno je zakłócić.

– *Zagrożenie ze strony Iranu w cieśninie może być wielorakie* – przestrzega Afshon Ostovar, specjalista ds. bezpieczeństwa na Bliskim Wschodzie. – *W powietrzu może on użyć pocisków balistycznych i manewrujących, a także dronów. Na morzu ma wciąż wiele szybkich i uzbrojonych kutrów. Pod wodą może rozmieścić tysiące min morskich i bezzałogowych pojazdów, nie wspominając o nurkach, którzy mogą rozmieszczać miny na zakotwiczonych statkach.*

Zdaniem Ostovara amerykański pomysł z konwojowaniem statków przez Ormuz wydaje się więc karkołomny przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, wiele jednostek US Navy zaangażowanych jest przy obronie przeciwlotniczej lotniskowców i amerykańskich baz. Tu kołdra może być za krótka. Po drugie, w samej cieśninie ze względu na swoją konstrukcję (m.in. brak grodzi) byłyby one nawet bardziej narażone na ataki niż statki handlowe. W dodatku przy tak niewielkich odległościach od brzegu wiele systemów obrony okrętów nie zdąży zareagować.

Trwa więc blokada, przez którą cierpią i eksporterzy, i importerzy węglowodorów. Cena za baryłkę ropy Brent, która do lutego nie przekraczała 60 dol., 16 marca wynosiła 104 dol. I to mimo że przed weekendem Międzynarodowa Agencja Energetyczna zarządziła rekordowe wykorzystanie rezerw – państwa członkowskie Agencji w najbliższych miesiącach mają wpompować w rynek 400 mln baryłek. Informacja ta obniżyła cenę ropy tylko na kilkanaście godzin.

Wciąż nie mówimy jednak o kryzysie porównywalnym z tym z 1973 r., gdy prezydent USA Richard Nixon poparł Izrael w wojnie Jom Kipur. Wtedy za sprawą arabskich producentów w ciągu trzech miesięcy ceny ropy wzrosły czterokrotnie. Kolejny chronologicznie kryzys wywołał Iran, gdy wydobycie ropy naftowej w tym kraju gwałtownie spadło po wybuchu rewolucji islamskiej w 1979 r. Ceny ropy wzrosły wówczas ponaddwukrotnie, wywołując recesję w USA, co walnie przyczyniło się do porażki prezydenta Jimmy'ego Cartera w wyborach w 1980 r.

Dziś globalna perspektywa jest inna. Co prawda z Bliskiego Wschodu nadal pochodzi co trzecia baryłka ropy, czyli mniej więcej tyle, ile w latach 70., to jednak rynek stał się bardziej elastyczny, z większą liczbą producentów. To z jednej strony magazyny ropy, które pobudowano nie tylko w Europie, USA czy Chinach, ale też w Japonii – właśnie w celu łagodzenia takich kryzysów. Jednocześnie Arabia Saudyjska, największy producent w Zatoce, zbudowała rurociąg, który transportuje ropę wydobywaną głównie na wschodzie kraju na jego zachodnie wybrzeże, nad Morze Czerwone. Zazwyczaj to droga mało ekonomiczna, wykorzystywana w 20–30 proc. przepustowości, w najbliższych dniach może już tłoczyć maksymalną ilość ropy.

W innej sytuacji jest np. Kuwejt. W 1990 r. podczas pierwszej wojny w Zatoce to państwo straciło 80 proc. infrastruktury naftowej. Przy jej odbudowie nie zadbano o magazyny – kuwejckie odwierty są blisko portów, nie przewidywano blokady Ormuz. Skutek dziś jest taki, że Kuwejtczycy muszą zamykać odwierty, bo nie mają już gdzie trzymać ropy. A odwiertów nie można tak po prostu zamykać i otwierać. Przywrócenie produkcji może być długotrwałe i może nie być pełne.

Problem z katarskim gazem jest podobny do tego z kuwejcką ropą. Po ewentualnym odblokowaniu Ormuzu eksport szybko nie wróci do wyjściowego poziomu. System schładzania gazu, który zamienia go w ciecz, przypomina gigantyczną lodówkę, przy czym osiągnięcie zadanej temperatury może potrwać tygodnie. Ponieważ materiał ten musi zostać schłodzony do temperatury –160 st. C, aby przekształcić się w ciecz, QatarEnergy może ekonomicznie zgromadzić zapasy niewiększe niż na pięć dni produkcji.

Zaczynają się też tzw. licytacje pływającego LNG. W zeszłym tygodniu głośny był przypadek gazowca „Clean Mistral", który miał dostarczyć amerykański gaz do Hiszpanii. Ale w połowie drogi – wraz ze wzrostem cen – do amerykańskiego sprzedawcy zaczęli wydzwaniać bogaci zainteresowani z Azji i statek w połowie drogi zawrócił. Takich przypadków do ostatniego poniedziałku było już kilkanaście.

Największym odbiorcą ropy z Zatoki Perskiej były dotychczas Chiny – przed wojną docierała tam co czwarta baryłka przepływająca przez Ormuz. Ale choć Chiny są najbardziej narażone na konsekwencje długotrwałego zamknięcia cieśniny, są też na to najlepiej przygotowane. W ostatnich latach poza dyskontowym importem z Iranu Chiny ściągały też w dużych ilościach ropę z Wenezueli, niejako domyślając się, co Trump może zrobić z tymi państwami. W efekcie Chińczycy zgromadzili rekordowe zapasy ropy oceniane na 1,2 mld baryłek, co wystarczy na ponad sto dni krajowego zużycia.

Podobnie uniezależnili się od importu gazu ziemnego – byli jego największymi odbiorcami z Kataru, gdzie irańskie pociski zniszczyły największą na świecie instalację skraplania gazu. Ale dla Chin to nie problem, bo przy produkcji energii elektrycznej ten gaz zastąpią węglem. Nie przypadkiem w ostatnich dwóch dekadach zbudowali ponad tysiąc elektrowni węglowych, które dotychczas pracowały na pół gwizdka.

Większy problem mają Indie, wcześniej drugi największy importer ropy z Zatoki Perskiej. Tamtejsze firmy zużywające duże ilości gazu, takie jak producenci nawozów, już ograniczają produkcję. Zaczynają się przerwy w dostawach gazu do odbiorców indywidualnych, którzy używają go do gotowania. W końcu bez nawozów, do których produkcji wykorzystuje się gaz, ogromne problemy może mieć indyjskie rolnictwo. Inne państwa azjatyckie nie mają lepiej. Korea Południowa ma zapasy gazu na 52 dni,

eprasa.pl 56e4ba20b9



Japonia – na 20. Tajwańskie wystarczą na 11 dni, co może tym bardziej niebezpieczne, że gaz jest niezbędny przy produkcji półprzewodników, które wytwarza największy producent w tej branży na świecie, TSMC.

Jedynym „awaryjnym" dostawcą węglowodorów, który ma dziś tzw. wolne moce, jest Rosja. Amerykanie już pozwolili Indiom ściągać ropę z Rosji – wcześniej groziły za to amerykańskie sankcje. Większy problem jest z gazem, bo ten mógłby popłynąć głównie rurociągami do Europy, która w obliczu wojny w Ukrainie nie zgodzi się na takie rozwiązanie.

Ormuz to niejedyny front tej wojny. Przez weekend nie ustawały izraelskie ataki na Iran i Liban. W pewnym momencie stały się już tak intensywne, że zareagowali Amerykanie, którzy – zdaniem Caitlin Talmadge – zażądali konsultacji celów. Wpisuje się to w narastający problem rozbieżności planów Tel Awiwu i Waszyngtonu. Amerykańskie dowództwo, przymykając oko na kolejne, często sprzeczne wypowiedzi Trumpa, w strategicznym odruchu próbuje zachować porządek. Choćby po to, aby Bliski Wschód nie wymagał od USA permanentnej uwagi.

Izrael przeciwnie – działa tak, jakby podobna okazja miała się już nie wydarzyć. Atakuje wszystkie cele, które mają jakikolwiek związek z irańskim reżimem, ale też takie, których uszkodzenie może wywołać niepokoje społeczne. Celem Izraela, jak się wydaje, jest zniszczenie irańskiej struktury władzy, nawet jeśli miałoby to oznaczać chaos, wojnę domową, a nawet rozpad Iranu. Podobną strategię Izrael stosuje wobec Palestyńczyków, a obecnie wobec Libanu.

Francja próbuje zakończyć trwającą izraelską interwencję w Libanie, w wyniku której zginęło już prawie 800 osób, a 800 tys. musiało uciekać ze swoich domów. Prezydent Emmanuel Macron zaproponował, aby Liban uznał Państwo Izrael, z którym formalnie jest w stanie wojny od 1948 r., i zobowiązał się do poszanowania jego integralności terytorialnej. Izrael w odpowiedzi miałby się wycofać na swoje terytorium.

Francuska propozycja wydaje się mało konkretna i przynajmniej w ujawnionej części nie odnosi się do Hezbollahu, szyickiej organizacji w praktyce kontrolującej południe Libanu. Izraelska ofensywa rozpoczęła się po tym, jak Hezbollah w ramach solidarności z zaatakowanym Iranem wystrzelił w kierunku Izraela kilka pocisków. Izrael uznał to za zerwanie rozejmu i bombarduje zarówno południe kraju, jak i Bejrut. W najbliższych dniach ma planować inwazję lądową.

Izrael oficjalnie tłumaczy to chęcią zapewnienia bezpieczeństwa mieszkańcom północy kraju. Ale w zasadzie nie wiadomo, jaka jest skala ataków na Izrael – ze strony Hezbollahu czy Iranu. Izraelskie władze wprowadziły blokadę informacji o stratach własnych, co sprzyja różnym teoriom spiskowym.

Najgłośniejsza związana jest z samym Beniaminem Netanjahu, który zniknął. Od 12 marca aż do zamknięcia tego numeru POLITYKI premier Izraela nie pokazał się publicznie, co mu się nie zdarzało w podobnych okolicznościach. Z jednym osobliwym wyjątkiem: w sobotę pojawił się na konferencji prasowej, mówił m.in. o zbliżającym się powrocie Mesjasza i miał sześć palców. Całkiem poważne redakcje zajęły się tym nagraniem i w zasadzie jednomyślnie stwierdziły, że jest ono produktem sztucznej inteligencji, co wywołało spekulacje, że Netanjahu nie żyje.

Jak to się dalej potoczy? Zdaniem Abbasa Amanata możliwa jest dalsza eskalacja ze strony Iranu, szczególnie w przypadku lądowania Amerykanów na irańskim terytorium. Amerykanie już kilka razy dokonywali takich „ograniczonych" interwencji – choćby w Wietnamie, gdzie na czas nieograniczony zostało ich prawie 60 tys. Prezydentowi Lyndonowi Johnsonowi chodziło wtedy o taką właśnie operację, chyba podobną do tej, o której myśli Trump – zająć dwie wyspy (bo przecież nie chodzi o zajmowanie całego Iranu, na razie), przepuścić statki, a potem się zobaczy.

Ale gdy ostatnim razem ktoś zajął irańskie terytorium – Irak w 1980 r. – cały naród zjednoczył wokół reżimu, wojna trwała osiem lat, zginęło w niej prawie milion ludzi, a gdy irańskim żołnierzom zabrakło nabojów, reżim dawał im zamiast tego plastikowe klucze do nieba i kazał falami nacierać na bagnety. Dlaczego teraz miałoby być inaczej?

Afshon Ostovar wskazuje na jeszcze jednego „asa w rękawie" Irańczyków – Huti. To islamistyczne ugrupowanie związane z Iranem kontroluje zachodni Jemen, w tym jego wybrzeże nad Morzem Czerwonym i przede wszystkim wschodni brzeg Cieśniny Łez, znanej też jako Bab al-Mandab, która łączy Morze Czerwone z Oceanem Indyjskim i stanowi najkrótszą drogę morską z Europy przez Kanał Sueski do Azji.

W latach 2023–24, podczas izraelskiej inwazji na Strefę Gazy, Huti w ramach solidarności nie tylko strzelali pociskami w Tel Awiw, lecz również w statki przechodzące przez Cieśninę Łez, co niemal zatrzymało tam ruch. Nawet amerykańska interwencja wojskowa nie pomogła – atak lądowy nie wchodził w grę, bo Huti doskonale się bronią w górzystym Jemenie. Sprawę zakończył rozejm, ale ruch przez Bab al-Mandab wciąż nie wrócił do przedwojennego poziomu.

Od początku amerykańsko-izraelskiej napaści na Iran Huti milczą. Ale część irańskich komentatorów uważa, że gdy nowy najwyższy przywódca Iranu Modżtaba Chamenei w swoim pierwszym oświadczeniu pisał o „sile, która wkrótce może być wykorzystana", chodziło mu właśnie o bojowników z Jemenu. Jednoczesny paraliż Ormuzu i Cieśniny Łez byłby gospodarczą katastrofą, którą Donald Trump sprowadził na świat najwyraźniej „dla zabawy".

ŁUKASZ WÓJCIK

© LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 56e4ba20b9

Koalicja kierownika

Po przekształceniu w jednolitą partię i niemal jednogłośnym wyborze Donalda Tuska na przywódcę Koalicja Obywatelska wchodzi w ostatni etap przed kolejną walką o wszystko. W jakim jest wewnętrznym stanie?

RAFAŁ KALUKIN



Nie obyło się bez pewnych kontrowersji, chociaż cały proces przebiegł sprawnie. Teraz już tylko trzeba będzie wyłonić skład zarządu krajowego oraz analogicznych ciał w poszczególnych województwach. Większość personalnych ustaleń jest już zresztą dopinanych. Od początku było wiadomo, że wybór Donalda Tuska to czysta formalność. Wystartował jako jedyny kandydat, którego w powszechnym głosowaniu poparło aż 97 proc. członków partii. Potwierdziło się, że Tusk – zwany kierownikiem – ma w swoim obozie status niemalże królewski i jego legitymacja do przewodzenia jest tak oczywista, że w zasadzie nie wymaga ona dodatkowego potwierdzenia. Co mogło tłumaczyć nie tak znowu imponującą, bo 78-procentową, frekwencję w partyjnych wyborach.

Latem 2025 r. nie wydawało się to takie oczywiste. Po przegranej Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich zdolności przywódcze Tuska zostały po raz pierwszy poważnie zakwestionowane. Nagle pojawiły się w mediach całkiem liczne głosy, że stary mistrz powoli traci swój mityczny „słuch społeczny" i coraz wolniej nadąża za współczesnymi trendami. O tyle uzasadnione, że Tusk faktycznie pogubił się na finiszu kampanii i w okresie powyborczym, kiedy do końca nie wiedział, jak odpowiedzieć na powszechne w elektoracie KO wątpliwości co do legalności wyboru Karola Nawrockiego. O jego dezorientacji świadczyła też dosyć chaotyczna rekonstrukcja gabinetu.

Szybko jednak opanował kryzys. Z pewnością pomogło mu to, że nawet partyjnym sceptykom trudno było wskazać jakąś alternatywę dla Tuska. W oczach elektoratu co prawda głównym bohaterem chwilowo stał się Radosław Sikorski, który nigdy jednak w samej Platformie nie miał poważniejszych wpływów, a przede wszystkim był wobec szefa lojalny i wcale nie palił się do zastępowania go na fotelu premiera.

Jeszcze bardziej pomogły Tuskowi ogólne polityczne okoliczności. Niemal wszyscy byli przekonani,

eprasa.pl 56e4ba20b9

że prawica znalazła się na prostym kursie do odzyskania władzy, a rządzącą koalicją dodatkowo huśtał nieobliczalny Szymon Hołownia. Istniało więc realne zagrożenie, że cały układ zacznie się rozpadać niczym domek z kart, na co zresztą wyraźnie liczył nowy prezydent. W tej sytuacji wewnętrzne rozliczenia byłyby samobójstwem. Trochę z konieczności cały obóz raz jeszcze skonsolidował się wokół lidera, który szybko odzyskał wigor w ostrych konfrontacjach z Nawrockim. Kryzys przywództwa został zażegnany i dzisiaj Tusk wydaje się nawet mocniejszy i bardziej niezastąpiony niż wcześniej.

Nawet nie musiał prowadzić wewnątrzpartyjnej kampanii. Zresztą szaleńcze tempo życia politycznego i tak by na to nie pozwoliło. Rywalizacje toczyły się zatem głównie w regionach, czym zresztą premier również stosunkowo niewiele się zajmował. Niektórzy wręcz twierdzą, że partia przestała go już interesować, chociaż to jego polityczne dziecko. Traktowane jednak bardziej jak narzędzie, niezbędne tylko przy okazji wielkich mobilizacji wyborczych.



Baronowie bez namaszczenia

W poprzednim cyklu Tusk jeszcze starał się ingerować w lokalne rozdania. I dosyć boleśnie się na tym sparzył, kiedy w macierzystym Gdańsku popierana przez niego na szefową regionu Agnieszka Pomaska przegrała z pomorskim marszałkiem Mieczysławem Strukiem. Potwierdziło się wtedy to, o czym niektórzy po cichu mówili już przy okazji triumfalnego powrotu Tuska do krajowej polityki latem 2021 r. – że stary lider już nie czuje Platformy.

To już nie była ta sama partia, którą porzucał siedem lat wcześniej. Doszło do głosu pokolenie 40-latków, którzy za poprzednich rządów PO byli jeszcze statystami. Ale Tusk nie miał potrzeby głębszego wnikania w partyjną tkankę. W znacznej mierze zrekonstruował swój najbliższy krąg z dawnych czasów, z nowej elity dokooptował Jana Grabca i Marcina Kierwińskiego, wzmocnił zmarginalizowanego od paru lat Sikorskiego, bez większego entuzjazmu przynajmniej pozorował partnerstwo z będącym wtedy na fali Trzaskowskim. A resztę przejął z dobrodziejstwem inwentarza, niewiele się nią interesując. Był przecież dużo ważniejszy cel – zakończyć rządy PiS. I tak już zostało, tylko że dziś chodzi o powstrzymanie recydywy pisowskich rządów.

W tegorocznym rozdaniu Tusk unikał otwartego wskazywania swoich faworytów. Bardziej już próbowano zabiegać o jego poparcie, co nie było takie proste, bo mało kto w KO ma bezpośredni dostęp do premiera. Z jego najbliższego otoczenia kandydował zresztą tylko szef kancelarii Jan Grabiec, którego pozycji na Mazowszu nikt nie zagrażał. Co najwyżej w nielicznych przypadkach zdarzyło się Tuskowi gdzieś między wierszami zasugerować, kogo wolałby na stanowisku regionalnego lidera. Nie tyle jednak kierowały nim wtedy polityczne kalkulacje, ile osobista sympatia.

Tak było w przypadku ubiegającej się o przywództwo na Dolnym Śląsku wicemarszałkini Sejmu Moniki Wielichowskiej, która mimo to przegrała sześcioma głosami z wiceministrem rozwoju Michałem Jarosem. Ta rozgrywka formalnie pozostaje zresztą nierozstrzygnięta, gdyż Wielichowska złożyła protest wyborczy, domagając się ponownego przeliczenia głosów. Do drugiej spornej doszło na Podkarpaciu, gdzie Paweł Kowal wyraźnie pokonał posłankę Joannę Frydrych, która jednak podała w wątpliwość legalność części głosów oddanych na rywala.

Wygrana Kowala to bodaj największa niespodzianka. Polityk związany przed laty z PiS, a później z partią Jarosława Gowina, nigdy nie należał do Platformy, funkcjonując wcześniej jako bezpartyjny poseł w klubie KO. Chadzał tam przeważnie własnymi ścieżkami. Dopiero jesienna konsolidacja PO, Nowoczesnej oraz Inicjatywy Polskiej, z czego wyłoniła się Koalicja Obywatelska, skłoniła go do wystąpienia o partyjną legitymację. I od razu przystąpił do budowania pozycji na Podkarpaciu, skąd pochodzi i od lat kandyduje, chociaż mieszka w Warszawie. Dosyć nieoczekiwanie zdołał wbić się w lokalny układ. I jeżeli jego zwycięstwo zostanie formalnie potwierdzone, będzie to jedyny taki przypadek. W pozostałych regionach liczyli się w rozgrywce już wyłącznie dawni platformersi.

Budzących większe emocje potyczek było niewiele. A czasem wręcz głosowania miały tylko zatwierdzać wynegocjowany wcześniej podział wpływów. Chociażby w Łodzi, gdzie zawarty został nieformalny kontrakt: przywództwo w regionie dla wiceszefa MON Cezarego Tomczyka, a struktury miejskie dla łódzkiej prezydentki Hanny Zdanowskiej. Trochę inaczej z kolei w Małopolsce, gdzie partia za bardzo nie miała innego wyjścia, jak wybrać na szefa struktur Aleksandra Miszalskiego, którego należało wzmocnić przed referendum w sprawie odwołania ze stanowiska prezydenta Krakowa.

Poza Wrocławiem ściągała uwagę głównie Wielkopolska, gdzie lokalny poseł Jarosław Urbaniak rywalizował z wiceszefem MSZ Marcinem Bosackim. Mówiło się, że temu ostatniemu miał sprzyjać premier, tyle że robił to raczej bezobjawowo. Bez wątpienia wspierał za to swojego bliskiego współpracownika Radosław Sikorski, który od wyborów prezydenckich mocno zabiega o budowanie własnej pozycji w partii. Tyle że Bosacki dosyć wyraźnie przegrał, gdyż – jak później to interpretowano – partia wolała mieć lokalnego lidera z krwi i kości.

Sporo złej krwi utoczono w Lubuskiem. Przeciwko wieloletniemu szefowi regionu i posłowi Waldemarowi Sługockiemu zawiązała się koalicja sfrustrowanych ignorowaniem ich interesów samorządowców, której patronowała Elżbieta Polak, od niedawna też posłanka, a wcześniej marszałkini województwa. Wystawiony przez ten układ wojewoda Marek Cebula pokonał Sługockiego, ale konflikt nadal eskaluje.

Partyjna równina płaska jak stół

Jednak już w skali ogólnopolskiej dominowali politycy szczebla krajowego. Połowę regionów objęli posłowie i senatorowie, niekiedy pełniący też rządowe stanowiska (czyli wspomniani już Grabiec, Tomczyk i Jaros). A do tego doszło jeszcze dwoje ▶

© BEATA ZAWRZEL/REPORTER, JACEK SŁOMION/REPORTER (2), BARTOSZ BAŃKA/AGENCJA WYBORCZA.PL, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, KRZYSZTOF ZATYCKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, MICHAŁ ŻEBROWSKI/EAST NEW

eprasa.pl 56e4ba20b9





▶ eurodeputowanych. Pięć województw przypadło samorządowcom, przeważnie silnym w swoich regionach marszałkom. Chociaż zalicza się do tego grona również kontrowersyjny członek zarządu województwa opolskiego Robert Węgrzyn. Parę lat temu jako poseł zasłynął rubasznym wyznaniem, że „lubi sobie popatrzeć na lesbijki", za co zapłacił paroletnią banicją.

Średnia wieku regionalnego lidera KO to nieco ponad 50 lat. Seniorem jest Mieczysław Struk z Pomorza (65 lat), a juniorem – Krzysztof Truskolaski z Podlasia (36 lat). Dominują typowi partyjni baronowie i załapała się tylko jedna baronessa, czyli eurodeputowana Marta Wcisło, która wygrała na Lubelszczyźnie. Chyba że niekorzystny werdykt zdoła jeszcze odwrócić Wielichowska, którą jednak – jak ostatnio słychać – Tusk zaczął przymierzać do innej partyjnej funkcji.

Od lat jest bowiem problem z obsadą stanowiska sekretarza generalnego. Siłą rozpędu sprawuje je nadal szef MSW Marcin Kierwiński, do czego od dawna nie ma czasu i głowy. Praktycznie rzecz biorąc, partia pozostaje bez sekretarza, toteż silne jest w regionach oczekiwanie, że Tusk wskaże wreszcie kogoś bardziej dyspozycyjnego. Do tej pory krążyło na giełdzie nazwisko Izabeli Leszczyny, ale od jakiegoś czasu przymierzana bywa również Wielichowska. Chociaż to najczęściej tylko spekulowanie, które kończy się zastrzeżeniem, że „wszystko w głowie Donalda". Tyle wiadomo, że szef lubi pracować z kobietami.

Sama kwestia uchodzi jednak za newralgiczną. Sekretarz generalny to kluczowa postać w każdej organizacji partyjnej, rodzaj pasa transmisyjnego między krajowym kierownictwem a strukturami na dole. Bez jego aktywności trudno na bieżąco koordynować działania i artykułować oddolne oczekiwania. Tymczasem większość partyjnych notabli z KO ma dostęp do Tuska co najwyżej przy okazji posiedzeń zarządu krajowego partii, którego skład został tak rozdęty, że spełni on funkcję dekoracyjną. Niemniej wybór do tego ciała pozostaje łakomym kąskiem, gdyż uczestnicząc w posiedzeniach, można się zaczaić na lidera, żeby choć spróbować zainteresować go jakąś sprawą. Jeszcze w dawnej Platformie krążyły anegdoty o specjalistach od nagabywania Tuska w toalecie. Ale oczywiście zawsze lepiej kontaktować się przez sekretarza generalnego, który odbiera telefon.

Zwarta niegdyś formacja z czasem stała się czymś w rodzaju federacji regionów. Szef niepodzielnie nad nimi panuje, ale zarządzają się już przeważnie same, skupiając się niemal wyłącznie na drobnych interesach, gonitwie za stanowiskami, przepychankach z koalicjantami. Można to było dostrzec przy okazji partyjnych wyborów. W strukturach KO praktycznie nie funkcjonują żadne ponadregionalne frakcje. Ostatnim takim wewnętrznym kręgiem była „campusowa" drużyna Trzaskowskiego, która po klęsce w wyborach prezydenckich przestała odgrywać polityczne znaczenie. Jej główny organizator Sławomir Nitras znalazł się w głębokiej niełasce i nie ma nawet pewności, czy będzie dla niego miejsce na liście wyborczej.

To inny obraz niż za poprzednich rządów Tuska, kiedy życie wewnętrzne Platformy było jeszcze nadzwyczaj bogate. Premier namiętnie zwalczał grupę Grzegorza Schetyny, a między nimi zwinnie lawirował tkający własną „spółdzielnię" Cezary Grabarczyk. Do tego wywierali nieustanną ideologiczną presję konserwatyści z frakcji Jarosława Gowina, a swoje trzy grosze czasem jeszcze wrzucał ośrodek prezydencki Bronisława Komorowskiego. Dzisiejsza KO wydaje się płaska niczym mazowiecka równina, na której gdzieniegdzie wyrastają niewielkie pagórki, lecz nie układają się w żadne pasmo.

Wszystko w głowie i rękach Donalda

Ewolucja KO wydaje się szczególnie paradoksalna w porównaniu ze zmianami w PiS. Bo Jarosław Kaczyński w odróżnieniu od Tuska miał zawsze obsesyjne pragnienie kontroli nad każdym partyjnym detalem. Wytrwale rozstawiał figury i pionki na szachownicy. Co rusz narzucał zmiany w statucie, usuwał potencjalnych rywali i potem ich przywracał, kolekcjonował donosy, organizował wymiany elit, polerował hierarchie na dole, zdarzało mu się osobiście rozstrzygać nawet powiatowe konflikty. A sięgając po władzę, pozwolił upartyjnić całe państwo i plądrować jego zasoby. Gdy jednak jego przywództwo osłabło, partia i tak zaczęła rozłazić mu się w szwach niczym znoszona koszula.

I trudno tłumaczyć to wyłącznie metryką, bo obecny premier też ma już przecież swoje lata. Nie widać jednak, żeby ta niepewność spędzała sen z powiek politykom KO. Wydają się usatysfakcjonowani pozycją sondażowego lidera, która daje im względne poczucie pewności siebie i pozwala spokojnie konsumować profity z władzy. A że te same sondaże nie dają wyraźnej większości całemu demokratycznemu blokowi? Pytania o kondycję koalicjantów i kształt przyszłych list najczęściej już wpadają w próżnię. Bo przecież Donald coś wymyśli, kiedy przyjdzie pora...

Inna sprawa, że uchodzi to za wybór taktyczny. Teraz jest opcja na zbliżenie z Lewicą, ale jeśli pojawi się jakiś nowy ruch – czy to samorządowców, czy biznesu – być może trzeba będzie zmienić kurs. A jak otworzą się możliwości, to i z Konfederacją być może trzeba będzie negocjować. Jak w korporacji, jedynym kryterium jest optymalizacja wyniku. Nastawienia ideowe nigdy nie były w tym środowisku silne, ale teraz wyparowały. Raz jeszcze: wszystko w rękach Donalda.

Takie uzależnienie od przywódcy jest Tuskowi na rękę. Od początku był politycznym solistą, świadomym jednak, że bez partyjnego zaplecza nie rozwinie skrzydeł. Partie zawsze go mimo wszystko ograniczały, nawet gdy stał na ich czele – najpierw w KLD, a później w Platformie. Interesował się nimi o tyle, o ile konieczne to było do utrzymania własnej dominującej pozycji, w czym kiedyś bywał zresztą brutalny. Ale na co dzień wolał izolować się w wąskim kręgu gdańskich liberałów, później w słynnym platformerskim „dworze", a po jego rozgonieniu – w szczelnie zamkniętej grupie nieformalnych doradców. Tylko że partia, nad którą nikt nie sprawował realnej kontroli, wcześniej czy później musiała sprawić szefowi jakiś poważny polityczny kłopot, czego najlepszym przykładem była afera z podsłuchami u Sowy.

Aż po latach Tusk trochę mimowolnie skonstruował strukturę z jego punktu widzenia idealną. Niezadającą pytań i mało wymagającą. Skupioną na liderze i nauczoną ograniczać indywidualne ambicje, żeby nie zaszkodzić wielkiemu „projektowi", czyli kolejnej wojnie o wszystko z PiS. Czego Kaczyński musi dziś Tuskowi bardzo zazdrościć, bo w perspektywie najbliższych wyborów taka partia to czyste złoto. Tylko trzeba te wybory wygrać.

RAFAŁ KALUKIN

© PIOTR KAMIONKA/REPORTER (2)

eprasa.pl 56e4ba20b9

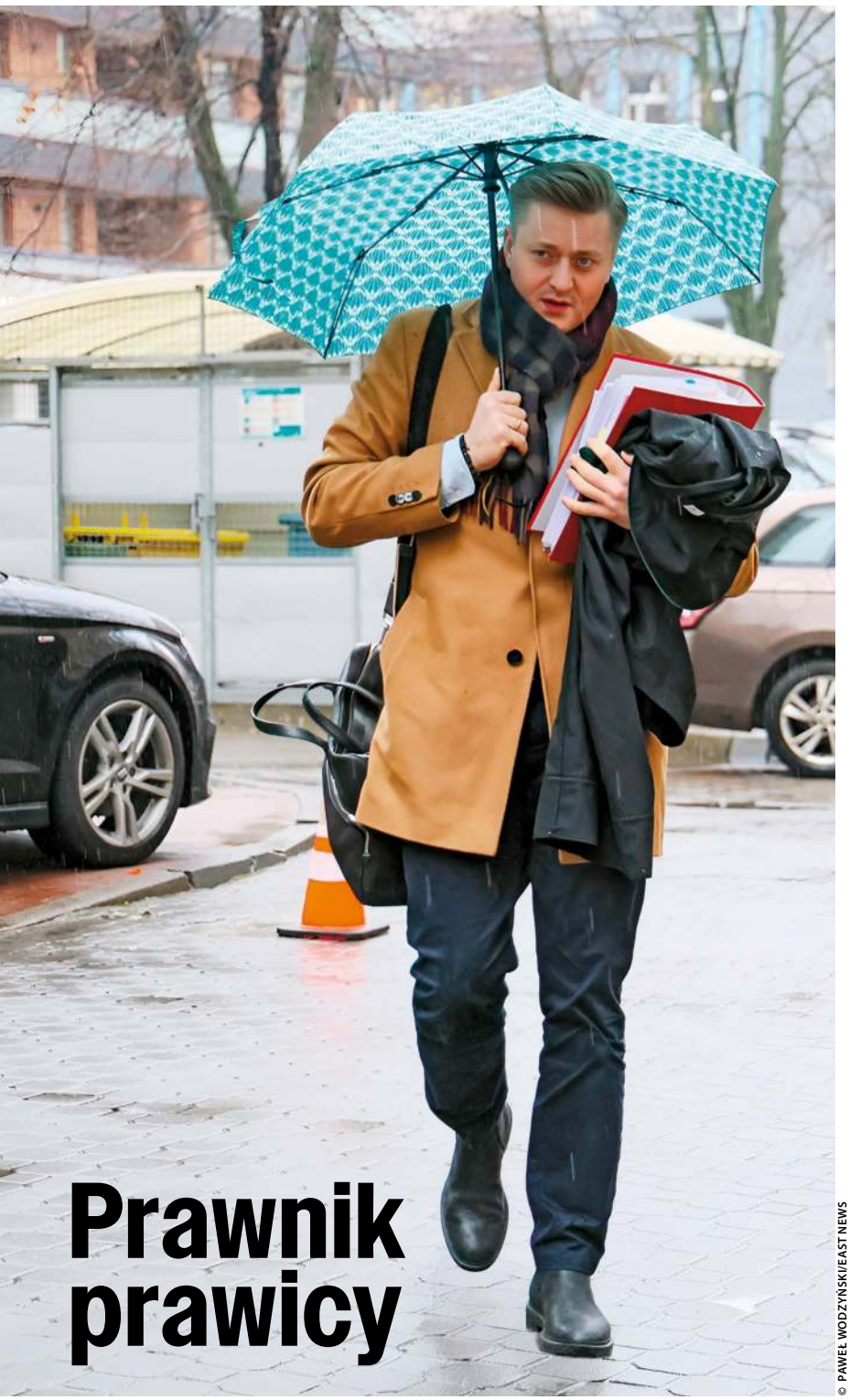

© PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

Prawnik prawicy

ANNA DĄBROWSKA, KLEMENTYNA SUCHANOW

Bartosz Lewandowski występuje w najważniejszych sprawach związanych z prawicowymi politykami. Skąd taka kariera tego związanego z Ordo Iuris prawnika?

Ledwo zdobył uprawnienia adwokackie i już dostał zlecenia z Ministerstwa Sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry. Dziś jest obrońcą zbiegłych na Węgry polityków PiS. Ostatnio okazało się, że jest też współautorem projektu prezydenta, który ma zalegalizować neosędziów. Występował na konwencji PiS w Katowicach i był wśród gości na inauguracji prezydenta Karola Nawrockiego. Wygłasza liczne oświadczenia polityczne, np. „o największym po 1989 r. festiwalu bezprawnych działań obecnego rządu". Twierdzi, że rząd Tuska nie tylko rozpoczął nagonkę na niego, ale też próbuje zniszczyć jego kancelarię, sugerując „że jesteśmy ruskimi agentami". Z drugiej strony przyznaje, że musiałby wyłożyć miliony na taką reklamę, bo teraz jest już rozpoznawalny na ulicy i z perspektywy działalności adwokackiej ma to swoje plusy.

Prawnik Ordo Iuris

Kariera Lewandowskiego (rocznik 1988), pochodzącego z Lublina, związana jest od początku z fundacją Ordo Iuris, powstałą latem 2013 r. Najpierw student UW, potem doktorant prof. Aleksandra Stępkowskiego na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, założyciela i pierwszego prezesa OI, dołączył do młodego zespołu i od razu został dyrektorem Centrum Interwencji Procesowej. W 2017 r. uzyskał papiery adwokackie, w 2018 r. obronił doktorat o koncepcji państwa czeskiego filozofa prawa Františka Weyra (1879–1951) z Brna. W doktoracie – jak wskazuje jeden recenzent Bogdan Szlachta – pochylił się Lewandowski nad przeniesieniem kategorii suwerenności na porządek prawny. Drugi recenzent Mirosław Granat zwrócił uwagę, że „tezy Weyra mają znaczenie obecnie w Polsce i gdzie indziej, w sytuacji niechęci do kontroli sądowej lub dyskusji nad rolą sądów konstytucyjnych".

Poprzez żonę ormiańskiego pochodzenia, „pasjonatkę nowoczesnej stomatologii" po Warszawskim Uniwersytecie Medycznym, Lewandowski wszedł w środowisko Ormian i w 2018 r. otworzył kancelarię wspólnie z Babkenem Khanzadyanem. Z czasem posadę dyrektora w fundacji zamienił na fotel rektora w Collegium Intermarium, szkole założonej przez OI, która zasłynęła z głośnego otwarcia, a potem braku studentów.

Prywatnie Lewandowski pasjonuje się historią. W szkole działał w Stowarzyszeniu Rekonstrukcji Historycznej Cytadela 39. Od gimnazjum był zafascynowany twórczością Jacka Kaczmarskiego: – *I to mnie ukształtowało, uformowało w wymiarze tożsamościowym.* ▶

eprasa.pl 56e4ba20b9

▶Sprawy, które przechodziły przez kierowane przez Lewandowskiego Centrum Interwencji Procesowych, wzbudzały wiele emocji, jak np. sprawa drukarza z Łodzi, któremu zarzucano odmowę wykonania usługi dla fundacji LGBT, czy pracownika IKEI potępianego za niewybredny komentarz na ten sam temat. Później Centrum zabrało się do tzw. VIP-ów. Radka Sikorskiego (za wyrażenie „fundamentalistyczna sekta") czy Martę Lempart (za słynne zdanie o OI jako sponsorowanych przez Kreml fundamentalistach). Obie te sprawy OI przegrało, a w ostatnim przypadku Sąd Okręgowy w Warszawie zauważył, że ma do czynienia z tzw. SLAPP-em (nękaniem pozwami). Dodał też: „Sąd odmówił wiarygodności jedynie zeznaniom Prezesa Zarządu Fundacji Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris Jerzego Kwaśniewskiego w zakresie, w jakim wskazał, że nigdy na rachunek fundacji nie wpłynęły w sposób pośredni pieniądze pochodzące z Federacji Rosyjskiej, oraz że organizacje, z którymi współpracuje Ordo Iuris, nie były finansowane przez osoby powiązane z władzą rosyjską".

Rysuje się tutaj taki model: Ordo Iuris pozywa sławną osobę albo podejmuje donośną sprawę, mobilizuje do wpłat swoich zwolenników, po czym sprawy i zebrane pieniądze trafiają do kancelarii zewnętrznych, głównie do Parchimowicz & Kwaśniewski albo Khanzadyan & Lewandowski. Lewandowski przyznaje, że przyjmuje zlecenia przez Centrum Interwencji Procesowych OI: – *Wciąż obsługujemy Fundację jako kancelaria, co wiąże się z wynagrodzeniem, ale są to kwoty niewygórowane jak na standardy warszawskiego rynku.*

Prawnik władzy

Pomiędzy założeniem kancelarii a objęciem funkcji rektora w życie Lewandowskiego mocno weszła polityka. Od kwietnia 2019 r. zaczął współpracę z resortem Ziobry, podpisując pierwszą umowę na 100 tys. zł na „doradztwo prawne i zastępstwo procesowe". Podobno do ministerstwa młodego prawnika sprowadził Sebastian Kaleta (poseł PiS), wiceminister sprawiedliwości. Poznali się w czasach licealnych, w 2007 r. na centralnym etapie olimpiady historycznej w Gdańsku.

Kogo reprezentował młody adwokat? Samych ministrów, poczynając od Zbigniewa Ziobry, Marcina Romanowskiego, Michała Wosia, Marcina Warchoła, Patryka Jakiego, i kolegę – Sebastiana Kaletę. Jego praca dotyczyła głównie pozywania dziennikarzy krytycznych wobec ministrów. W sumie z kasy publicznej na obronę dobrego imienia urzędników do kancelarii Lewandowskiego w latach 2019–23 wpłynęło 733 tys. zł.

Naturalne stało się więc, że Lewandowski podjął się reprezentacji Marcina Romanowskiego, a potem Zbigniewa Ziobry, gdy pojawiły się zarzuty o nadużycia w Funduszu Sprawiedliwości, obu zbiegów pod orbanowskie skrzydła. Wcześniej był pełnomocnikiem w dwóch sprawach (do 2022 r.) zbiegłego na Białoruś sędziego Tomasza Szmydta w aferze hejterskiej. Ale lista jego politycznych klientów jest dłuższa, są na niej także: Mateusz Morawiecki, Adam Glapiński, sędzia Łukasz Piebiak oraz Sławomir Cenckiewicz. Elita tamtej władzy.

W lutym 2019 r. jego były promotor prof. Aleksander Stępkowski został mianowany przez Andrzeja Dudę sędzią Sądu Najwyższego. Po zmianie władzy Lewandowski został zaś obrońcą Małgorzaty

> Z kasy publicznej na obronę dobrego imienia urzędników do kancelarii Lewandowskiego w latach 2019–23 wpłynęło 733 tys. zł.

Manowskiej, neosędzi i I prezeski SN, której zarzuty chce postawić Prokuratura Krajowa, m.in. za przekroczenie uprawnień. Zablokował uchylenie jej immunitetu przez Trybunał Stanu. Dzięki temu, a także wygrywając początkowe (głównie proceduralne) potyczki z prokuraturą w sprawie Ziobry i Romanowskiego, u wielu wyrobił sobie opinię utalentowanego adwokata. Pytamy o to jednego z adwokatów: – *Sprawnie operuje przepisami, ale mam wrażenie, że jest tubą całego grona bardziej zawodowo doświadczonych ludzi związanych politycznie z PiS. Część z nich nie powinna się tym w ogóle zajmować, bo zasiada np. w Sądzie Najwyższym, który ma cele stojące w sprzeczności z obrończymi celami mecenasa Lewandowskiego.*

Zaraz po wyborach w 2023 r. odnajdujemy Lewandowskiego w Narodowym Instytucie Wolności, gdzie ówczesny dyrektor Wojciech Kaczmarczyk zapłacił jego kancelarii 44 tys. za „sporządzenie 3 opinii prawnych (...) mających na celu zakwestionowanie uprawnień nadzorczych (...) wobec działań Dyrektora NIW". Dyrektor Kaczmarczyk nie chciał przekazać do Kancelarii Premiera, która nadzoruje NIW, wówczas nieujawnionych publicznie wyników kontroli NIK.

Konsultant pro bono

Obecny dyrektor NIW Michał Braun tłumaczy: – *NIK wskazywał na działania nielegalne i niecelowe, co dawało Kancelarii Premiera argument do natychmiastowego odwołania dyrektora. Kaczmarczyk, zamiast przekazać dokumenty instytucji, która go nadzoruje, zapłacił mec. Lewandowskiemu, aby ten przygotował ekspertyzy dające prawne argumenty przeciw udostępnieniu dokumentów. Cel był jasny – utrzymać władzę w Instytucie jak najdłużej po wyborach, żeby zdążyć rozdać środki, z których wiele miało trafić do organizacji powiązanych z PiS.* Podobnie odnajdujemy Lewandowskiego przy betonowaniu władzy w KRS, gdzie od razu w grudniu 2023 r. zaczął dostawać ponad 10 tys. miesięcznie za „obsługę prawną". Ostatnia umowa została podpisana w lutym 2026 r. Najgłośniejsza stała się jednak sprawa pojawienia się nazwiska Lewandowskiego w projekcie ustawy Karola Nawrockiego dotyczącej sądów, tzw. kagańcowej 2, bo zakładającej kary do 10 lat więzienia i usuwanie z zawodu sędziów za podważanie wprowadzonych przez PiS zmian w sądach i stosowanie prawa UE. Kancelaria Prezydenta zapewnia POLITYKĘ: „Mec. Bartosz Lewandowski konsultował zmiany w zakresie skargi na przewlekłość postępowania, a konsultacja miała charakter pro bono".

Propozycja Lewandowskiego sprowadza się m.in. do tego, że zwiększa z 2 do 6 tys. zł minimalną sumę pieniężną dla obywatela za zbyt długo trwające postępowania, ale tylko wtedy, kiedy nie kwestionuje statutu neosędziów. Według Przemysława Rosatiego, prezesa Naczelnej Rady Adwokackiej, to nieakceptowalne: – *Obywatel dostaje ofertę od ustawodawcy, wręcz propozycję swoistego układu, że jeżeli nie będzie dbał o realizację konstytucyjnego prawa do sądu ustanowionego ustawą, niezależnego i bezstronnego, to w zamian za to będzie premiowany w przypadku kiedy jego sprawa zostanie dotknięta przewlekłością.*

Lewandowski należy do Środkowoeuropejskiej Sieci Profesorów, czyli prawicowej międzynarodówki prawników.

eprasa.pl 56e4ba20b9

Dowiedzieliśmy się o tym ze zdjęć na portalu X, na których obok Lewandowskiego stali Łukasz Piebiak i Przemysław Czarnek. Są w Sieci także Aleksander Stępkowski, były wiceprezes Trybunału Konstytucyjnego, Mariusz Muszyński oraz Bogumił Szmulik z IPN. Sieć organizowana jest przez orbanowskie instytucje, w tym Center for Fundamental Rights, które współpracuje od lat z Ordo Iuris i przygarnęło Romanowskiego. Ich celem jest budowa alternatywnej doktryny prawa międzynarodowego i konstytucyjnego, wspierającej antyunijną agendę. Lewandowski dostaje za to wynagrodzenie.

Na liście ambasady

Kilka tygodni temu było głośno o tym, że kancelarię Lewandowskiego rekomendowała swoim obywatelom ambasada rosyjska w Polsce. Ujawnił to jeden z internautów, a na X podał to dalej rzecznik rządu Adam Szłapka. Lewandowski uznał to za atak na niego jako adwokata – za obronę Ziobry i Romanowskiego. Okręgowa Rada Adwokacka wydała stanowisko w tej sprawie: „atakowanie adwokata za działania podejmowane w konkretnej sprawie jest niedopuszczalne". Dziekan ORA dr Katarzyna Gajowniczek-Pruszyńska w rozmowie z POLITYKĄ mówi, że stanowisko miało charakter uniwersalny. Lewandowski zapewniał, że ambasada rekomendowała jego kancelarię bez jego zgody, i przesłał nam mail, w którym prosił w połowie stycznia o usunięcie go z listy. Do dziś na niej figuruje.

Jego zdaniem znalazł się tam, bo obsługuje klientów rosyjskojęzycznych. W styczniu 2026 r. Klementyna Suchanow opisała w „Gazecie Wyborczej" jedną z takich spraw. Kilka lat temu Lewandowski pomógł obywatelowi Rosji Denisowi Lisowowi, który uciekł ze Szwecji do Polski z córkami. Zabrał je z rodziny zastępczej. Lisow celowo miał wybrać Polskę. Wtedy rządził PiS, który był na wojnie kulturowej z UE. Chciał od razu z Polski polecieć do Rosji, ale wystawiono za nim ENA i został zatrzymany na lotnisku.

Polski sąd musiał rozpoznać sprawę o wydanie Lisowa Szwecji, ale sędzia Dariusz Łubowski odmówił. To ten sam sędzia, który w grudniu 2025 r. uchylił ENA dla Romanowskiego (którego obrońcą też jest Lewandowski). Dlatego adwokat broni Łubowskiego, który nie będzie już rozpoznawał spraw o ENA w stołecznym sądzie.

W rosyjskich mediach pisano, że Lewandowskiego miał polecić Lisowowi rosyjski konsul, Lewandowski twierdzi, że to funkcjonariusz z lotniska zadzwonił do OI. W listopadzie 2019 r. poleciał razem z Lisowem i jego dziećmi do Moskwy, na lotnisku zgotowały im przyjęcie reżimowe media rosyjskie. Budowano narrację, że Zachód jest zły, bo nie chroni rodzin. Przed odlotem do Moskwy na Okęciu towarzyszył im Władimir Jefremow, rosyjski konsul w Warszawie. Zaangażowana była też ówczesna rzeczniczka praw dziecka Anna Kuzniecowa, a sprawę rodziny od 2017 r. monitorowało rosyjskie MSZ. Lewandowski ze wspólnikiem – jak twierdzi – na prośbę Lisowa spotkali się z Kuzniecową. W 2021 r. wyznaczona została przez Putina na jednego z pięciu liderów jego partii Jedna Rosja (z ministrem obrony Siergiejem Szojgu i spraw zagranicznych Siergiejem Ławrowem). Dzisiaj objęta jest sankcjami.

Lewandowski oburza się, że teraz wyciąga mu się tę sprawę i wizytę w Moskwie,

> Przy betonowaniu władzy w KRS Lewandowski od razu w grudniu 2023 r. zaczął dostawać ponad 10 tys. miesięcznie za „obsługę prawną".

pokazuje papiery, że za bilety lotnicze płaciła jego kancelaria: – *Sugerowanie, że mam jakieś związki ze służbami rosyjskimi, to cios poniżej pasa. W 2019 r. praktycznie wszystkie media pisały pozytywnie o uratowaniu dzieci Lisowa. Pierwszy atak na mnie za reprezentację Lisowa i jego dzieci rozpoczęli dopiero w maju 2022 r. Klementyna Suchanow i Tomasz Piątek. Spotkanie z rosyjską rzeczniczką praw dziecka w warunkach 2019 r. nie budziło wątpliwości. Wtedy do Moskwy jeździli nawet czołowi przywódcy UE. Pani patrzy na to z perspektywy 2026 r. i wojny w Ukrainie, co nie jest perspektywą właściwą.*

Zależy mu na podaniu informacji, że jego kancelaria współpracuje z Forum Polsko-Ukraińskim, że pomagał Ukraińcom, gdy wybuchła wojna. À propos Ordo Iuris przekonuje, że „zarzucanie Fundacji oraz jej pracownikom sympatii rosyjskich jest kompletnie nieuprawnione". Ale na pytanie, czy po publikacjach na temat związków OI z siecią organizacji zinfiltrowanych przez Rosję (m.in. w książce „To jest wojna", Klementyny Suchanow, o tym, jak fundamentalistyczna międzynarodówka walczy z prawami kobiet, czy Tomasza Piątka w „Gazecie Wyborczej") sprawdzał, czy coś nie jest na rzeczy, odpowiada, że „nie ma do tego podstaw".

A jest co sprawdzać. Poznał się ze swoim wspólnikiem Babkenem Khanzadyanem, kiedy ten przeniósł się do Warszawy. Khanzadyan pochodzi z ormiańskiej rodziny, która była znana w Gdyni w latach 90. z handlu przeróżnymi towarami. Pod koniec 2013 r. założył w stolicy firmę Foks Consulting świadczącą usługi prawne. Wtedy reprezentował spółkę Delta-Gas (paliwa, gaz), potem przejętą przez Delta-Gas Group, w której głównym udziałowcem została Odesia Group z tajemniczym Piotrem Gorbatovem z Federacji Rosyjskiej jako beneficjentem rzeczywistym. W tym układzie powiązanych spółek z polskimi i ormiańskimi nazwiskami pojawiła się jeszcze ADK, którą przejął obywatel Ukrainy z Ługańska Siergiej Krawcow, po czym zniknął. Wszystkie te spółki, w tym firmę Khanzadyana, łączył ten sam warszawski adres na ul. Solec. Khanzadyan w 2015 r. opuścił Foks Consulting i w 2018 r. odnajdujemy go jako wspólnika w kancelarii z Lewandowskim.

Ostatnio minister Waldemar Żurek przy okazji krytyki projektu prezydenta o neosędziach powiedział w Sejmie: „Federacja Rosyjska w swojej rekomendacji wskazuje, że ta kancelaria jest rekomendowana na pierwszym miejscu. Więc ja chcę zapytać, kto pisze projekty ustaw: czy Kancelaria Prezydenta, czy pisze obrońca ministra Ziobry, który dzisiaj przebywa w Budapeszcie, czy obrońca pana Szmydta, który przebywa na Białorusi?". Żurek tłumaczy: – *Musimy wiedzieć, kto pisze takie projekty dla prezydenta, które chcą wsadzać sędziów do więzienia za stosowanie prawa. A obywatele muszą wiedzieć, jakie to są osoby*. Lewandowski zapowiada wobec Żurka pozew. I zapewnia, że niczego się nie obawia.

Pytany o to, co by zrobił, gdyby PiS w przyszłości zaproponował mu zostanie ministrem sprawiedliwości, stwierdza: – *Nie sądzę, aby taka propozycja była złożona, to spekulacja. Nie zamierzam wchodzić do polityki.*

ANNA DĄBROWSKA
KLEMENTYNA SUCHANOW

eprasa.pl 56e4ba20b9

Odstawione dzieci

Dzieciństwo bez smartfona jawi się już jako koszmar. Pytanie, dla kogo bardziej: dla uzależnionych od ekranów rodziców czy żądnych cyfrowych wrażeń dzieci? Są jednak sposoby, żeby wychować dziecko bez cyfrowej dopaminy.

JOANNA PODGÓRSKA, ANNA DOBROWOLSKA

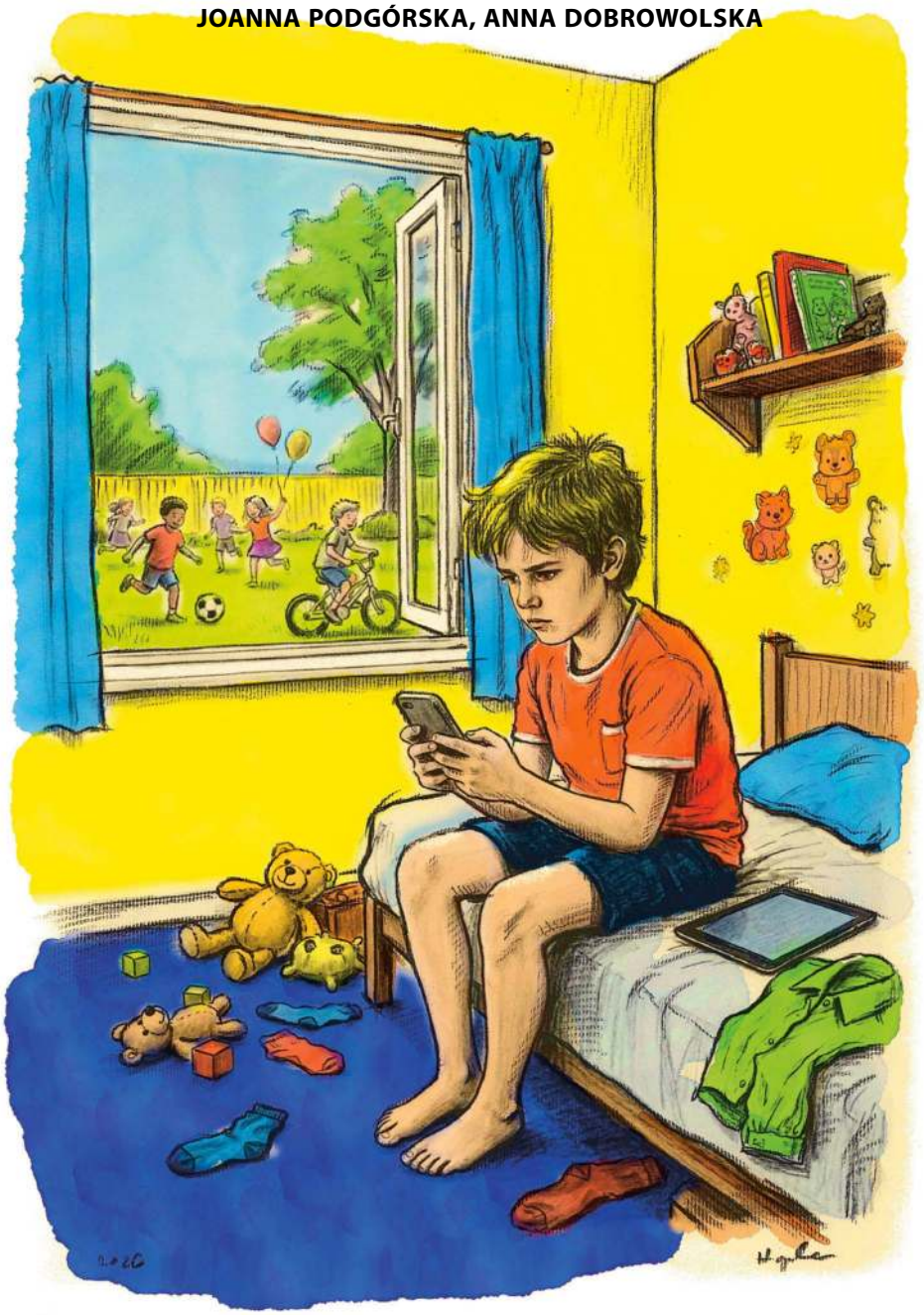

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

Ośmiolatek, który nie potrafi zawiązać butów, jakoś specjalnie nie dziwi. Ale to samo dziecko bez smartfona już tak. Coraz więcej dzieci dostaje telefon do ręki, zanim mają dość siły, żeby go utrzymać. Dwulatki wgapione w ekran to żaden fenomen, to codzienność. Rodzice kupują sobie trochę spokoju. Tyle że kosztem zdemolowania emocji dziecka, ale o tym przekonają się dopiero później. Z badań „Brzdąc w sieci", prowadzonych regularnie przez Akademię Pedagogiki Specjalnej w Warszawie, wynika, że ponad połowa dzieci do 6. roku życia używa narzędzi mobilnych z dostępem do internetu. Jeśli chodzi o uczniów szkół podstawowych, dotyczy to już ponad 90 proc. Wypisują się z realu średnio na ponad cztery godziny dziennie. Trudno oczekiwać, że przy takim zaangażowaniu w sieci znajdą czas na sięgnięcie po książkę czy pokopanie piłki. Dzieci tyją, obniża się ich inteligencja emocjonalna. A przecież same sobie tych telefonów nie kupiły.

Telemorele

Co bardziej świadomi dorośli mają świadomość zagrożeń, jakie wiążą się z niekontrolowanym dostępem najmłodszych do internetu – dostęp do szkodliwych treści, w tym pornografii, narażenie na hejt, nękanie, próby wykorzystywania seksualnego. I coraz częściej zadają sobie pytanie: a może by tak nie kupować dziecku smartfona; mimo argumentu, że „wszyscy mają". Najstarsza córka Agaty ma dziś 13 lat i nigdy jeszcze nie miała swojego telefonu.

– *Momentem przełomowym jest klasa komunijna, bo wtedy wiele dzieciaków dostaje smartfony w prezencie albo kupuje je sobie za otrzymane pieniądze. U nas zaczęły się też klasowe wycieczki zagraniczne, no a telefon to przecież świetna forma kontaktu* – wspomina. – *Uznaliśmy z mężem, że jeśli kupimy Teresie smartfon, bo jedzie na wycieczkę do Grecji, to już się z tego potem nie wycofamy. Czytaliśmy o uzależnieniach behawioralnych czy autyzmie cyfrowym, widzieliśmy wokół siebie mnóstwo*

eprasa.pl 56e4ba20b9

przykładów dzieci, które korzystają z komórek w sposób nadmierny, bezmyślnie grzęzną w ekranach.

Agacie szczególnie utkwiły w pamięci dwa obrazki. Podczas wakacji nad morzem korzystali ze stołówki. Pojawiała się tam też para z półtorarocznym, góra dwuletnim dzieckiem, które żeby w ogóle cokolwiek zjadło, musiało mieć odpalony telefon z bajką. Siedziało w foteliku hipnotycznie wpatrzone w ekran. Scena druga to korytarz szkoły muzycznej, gdzie T. chodziła na zajęcia dodatkowe. W oczekiwaniu na kolejne zajęcia dzieciaki siedziały koło siebie w fotelach, każde z telefonem w ręku, bez żadnej interakcji między sobą. – *Intuicja rodzicielska podpowiada nam, że im później dziecko dostanie własny telefon, tym lepiej. Na razie zakładamy, że to potrwa do końca podstawówki. Znajomym, którzy pytają, czy to nie przesada, odpowiadam: a jakie korzyści ona by z tego miała na tym etapie?* – opowiada Agata. – *To nie tak, że wychowujemy cyfrową amiszkę czy analfabetkę. Teresa ma dostęp do mojego telefonu czy laptopa zawsze, gdy tego potrzebuje, żeby skontaktować się ze znajomymi albo przygotować jakiś szkolny projekt.*

Kwestie logistyczne udaje się rozwiązywać bez problemu. Teresa bez korzystania z aplikacji wie, jak dojechać na różne zajęcia dodatkowe, nawet w odległych rejonach miasta. Gdy kończy późno, odbierają ją rodzice. Wie, co zrobić, gdy się zgubi. Parę lat temu była taka sytuacja w Centrum Kopernika. Agata pobiegła za młodszymi dziećmi i Teresa się zapodziała. Poprosiła pracownika ochrony, żeby zadzwonił do mamy. Numer znała na pamięć i wiedziała, że nie powinna się zwracać do przypadkowej osoby. A kwestie towarzyskiego wykluczenia? Z tym Teresa – jak sama deklaruje – nie ma żadnego problemu. Jest indywidualistką, kontestatorką i nie przeszkadza jej, że wyróżnia się z tłumu; wręcz przeciwnie.

– *Zwracamy uwagę na to, czy nie podlega ostracyzmowi. Pamiętam, jak przygotowywała z koleżanką jakiś projekt i podała jej mój numer. Koleżanka spytała: rozumiem, że to twój telefon, i Teresa odpowiedziała, że tak. Zapaliła mi się czerwona lampka* – wspomina Agata. – *Pytałam ją potem: czy ci wstyd, że to nie twój telefon? Zapewniła, że nie ma z tym żadnego problemu i powiedziała tak odruchowo. Nie jest zresztą tak zupełnie samotna. Jej dobra koleżanka z klasy ma co prawda telefon, ale typu „cegła", bez dostępu do internetu.*

Pobudzone, zawieszone

Nie zawsze bywa tak prosto. Rodzice dyskutują o tym na forach. Z jednej strony można tam znaleźć przestrogi. Choćby przedszkolanki, która przekonuje, że najwięcej problemów wychowawczych jest z dziećmi, które mają dostęp do tabletu czy smartfona: „Są pobudzone, nie potrafią się bawić, mają problemy z komunikacją, często reagują krzykiem na zakazy. Trudno je czymś zaciekawić, »zawieszają się«, mają problemy na zajęciach edukacyjnych, wolniej się uczą". Swoimi doświadczeniami dzieli się też mama dwójki w wieku przedszkolnym, która czasem udostępniała im tablet: „Obecnie nie korzystają. To działa na dzieci jak narkotyk. Mimo że miały limitowane, to i tak później o niczym innym nie potrafiły rozmawiać i przeżywały każdą grę. I tylko czekały, aż znów przyjdzie czas, gdy dostaną go do ręki – o niczym innym nie były w stanie myśleć".

A jak wygląda druga strona medalu? „Mam dziecko – syna, jest w wieku 11 lat, uczy się przeciętnie, jednak nie to jest powodem jego wyśmiewania ze strony rówieśników. Jest nim brak telefonu, mimo że wszystkie inne dzieci w klasie go mają. Jako rodzice celowo mu go nie kupujemy, ponieważ uważamy, że jest jeszcze na to zbyt młody, nie są to kwestie finansowe, ponieważ jesteśmy ludźmi średniozamożnymi. Dzieci, często z ubogich rodzin, które posiadają już telefon komórkowy, wyśmiewają naszego syna, drwiąc z niego, że jest biedakiem" – pisze na forum jedna z mam.

„Dla nich telefon to rodzaj pokazania statusu w klasie. Ponadto nauczycielka, która jest wychowawcą klasy, w jego odczuciu poważa bardziej dzieci, które należą do zamożniejszych, toteż w klasie istnieje podświadoma akceptacja na gloryfikację bogactwa ich rodziców (dla dzieci szczególnie na podstawie modelu komórki). Nasze dziecko chodzi smutniejsze, czeka od weekendu do weekendu, nienawidzi przerw czy czasu w szatni przed wuefem, gdzie dochodzi do bezpośredniej konfrontacji z rówieśnikami, jak mówi, szkołę traktuje jak pracę, której nie lubi. Czy powinniśmy ulec i mimo naszej idei kupić dziecku telefon, żeby poczuło się częścią klasy, czy nie kupować i wciąż tłumaczyć mu, że jest na to jeszcze za mały i żeby nie martwił się złośliwymi komentarzami znajomych?".

Otoczenie rodzinne też nie zawsze sprzyja decyzjom, by odciąć dziecko od ekranu. – *Zdecydowaliśmy z żoną, że najdłużej, jak się da, będziemy trzymać syna z daleka od telefonu czy laptopa. Argumentów za tym, by tak robić, jest z dnia na dzień więcej* – deklaruje Oskar, tata 9-latka. – *Jednak teściowa uznała chyba, że w ten sposób chcemy zaoszczędzić na dziecku, i kupiła mu na urodziny wypasionego iPhone'a. Tego już nie dało się cofnąć. Każda próba odebrania urządzenia to był histeryczny płacz. Wcześniej nie był szczególnie roszczeniowy, ale w internecie zobaczył rzeczy, o których istnieniu wcześniej nie wiedział, i uznał, że są mu niezbędne do życia.*

Prof. Jacek Pyżalski przyznaje, że nie ma prostych rozwiązań. Dziecko nie żyje w próżni, nie da się całkowicie kontrolować jego kontaktu z internetem. – *Dopóki dziecko używa takich mediów z rodzicami, nie ma problemu. Problem zaczyna się wtedy, gdy zostaje z tymi mediami samo* – przekonuje.

Współuzależnieni

Dr Radosław Kaczan, psycholog rozwojowy z SWPS, szansę dla dzieci paradoksalnie widzi w kłopotach rodziców – dorośli są coraz bardziej przerażeni sami sobą w kontaktach z telefonem. Coraz powszechniejsze jest poczucie winy, że trwoni się tak czas, osłabia relacje. A na to nakłada się poczucie winy za dzieci. Ciężko być autorytetem, samemu mierząc się z cyfrowym uzależnieniem. – *Nie raz, podróżując pociągami, widziałam takie scenki: mama podłącza swój Netflix, kilkuletnia córka odpala bajki i jest super. Podróż szybko mija. Czasem mnie korci, żeby zwrócić uwagę, porozmawiać, ale myślę: co komu do domu – i milczę* – opowiada Agata. Przebodźcowani i przemęczeni rodzice, dając dziecku telefon, kupują sobie chwilę spokoju. – *Wychowanie bez telefonu bywa trudniejsze dla rodziców niż dzieci* – mówi dr Kaczan. – *Bo odcinając dziecko od wirtualnego świata, rodzic musi kreatywniej i na własną rękę dostarczać stymulacji, przez ruch, rozmowę czy analogowe rozrywki.*

A smartfon to bardzo wygodna niańka. Ze wspomnianych badań „Brzdąc w sieci" wynika, że trzy czwarte rodziców daje 5- i 6-latkom swoje telefony do zabawy. Większość tych urządzeń ma otwarty dostęp do internetu. Co drugie małe dziecko ogląda, klika, scrolluje podczas posiłków. Prawie dwie trzecie rodziców udostępnia dziecku smartfon „w nagrodę" albo w sytuacjach, gdy maluch płacze czy marudzi. Magdalena Bigaj, badaczka, działaczka społeczna i prezeska Fundacji „Instytut Cyfrowego Obywatelstwa", podkreśla, ▶

eprasa.pl 56e4ba20b9

▶ że to właśnie obserwacja i naśladownictwo rodziców odgrywają w procesie budowania relacji z nowymi technologiami niebagatelną rolę. – *Rodzice, zwłaszcza małych dzieci, sięgają po telefon, by znaleźć wytchnienie czy pomoc w trudach wychowania, zazwyczaj jako regulator emocji. A to jest sytuacja bardzo ryzykowna dla najmłodszych. Jeśli uczymy dziecko, że telefon jest regulatorem emocji i lekarstwem na nudę, stres czy złość, sprawiamy, że wejście dziecka w uzależnienie jest dużo prostsze. Dziecko, które widzi, że rodzic ciągle patrzy w telefon, częściej i szybciej będzie się domagało własnego.*

Dzieci bez komórek to margines. Według najnowszych badań w ramach europejskiej sieci EU Kids Online – kierowanych przez prof. Jacka Pyżalskiego z Wydziału Studiów Edukacyjnych UAM – na reprezentatywnej próbie dzieci w wieku 10–16 lat, jedynie 0,5 proc. nigdy i 0,6 proc. prawie nigdy nie używało smarfona do łączenia się z internetem w ciągu roku poprzedzającego badanie. 1,4 proc. używa telefonu rodziców. Wśród młodszych w wieku 10–11 lat dotyczy to 4,5 proc. 63 proc. badanych ma telefon na wyłączny użytek. Inni dzielą go np. z rodzeństwem.

Wydaje się jednak, że liczba rodziców chcących przynajmniej mocno ograniczyć obecność dzieci w sieci będzie rosła, bo o zagrożeniach coraz głośniej. I nie ma się co łudzić, że problem rozwiąże zapowiadany już od dwóch lat zakaz używania komórek w szkołach podstawowych, o czym mówi ministra edukacji. Konsumpcja internetu przez dzieci i młodzież w największym stopniu odbywa się poza szkołą. Trudno jeszcze mówić o efektach australijskiego eksperymentu, polegającego na zakazie korzystania z platform społecznościowych do 16. roku życia, ale już słychać głosy, że wychowane w cyfrowym świecie pokolenie potrafi go sprawnie omijać.

Piłka jest po stronie rodziców. Według Magdaleny Bigaj jedno ostre cięcie nie załatwi sprawy. Ważne jest konsekwentne budowanie pozytywnych nawyków. Temu poświęciła swoją najnowszą książkę „Twój telefon, twoje zasady". Jej zdaniem dzieci do 10. roku życia w ogóle nie powinny posiadać własnych urządzeń. Wraz z usamodzielnianiem się i np. samotnymi powrotami ze szkoły można wyposażyć je w pierwsze, najprostsze urządzenia; ważne, żeby nie były podłączone do internetu. Z czasem można na urządzenie wgrać np. kilka prostych gier – takich, które mają jakiś walor edukacyjny, choć rekomenduje granie na komputerze, nie na telefonie. Urządzenie powinno być podpięte pod tzw. kontrolę rodzicielską, która umożliwia sprawdzenie, ile czasu i z jakich funkcji dziecko korzystało. Rozmowy o takiej kontroli trzeba zacząć prowadzić z dzieckiem znacznie wcześniej. U najmłodszych nadzór powinien być jawny, bo dla dziecka powinno być naturalne, że rodzic, zaglądając mu przez ramię, chce wiedzieć, w co gra, co ogląda, z kim koresponduje. Im dziecko jest starsze, tym kontrola powinna się stawać subtelniejsza. W aplikacji kontroli rodzicielskiej nie chodzi bowiem o inwigilację (rodzic nie ma wglądu np. w treść wiadomości na komunikatorach), ale o pomoc w zbudowaniu zdrowej relacji z urządzeniem. Dziecko nie ma jeszcze naturalnie wykształconych mechanizmów samokontroli.

Powrót do dumb phone'a

Magdalena Bigaj zwraca uwagę, że bardzo wiele szkodliwych, a nawet traumatyzujących dzieci treści pojawia się na klasowych grupach, np. na WhatsAppie czy Discordzie. I chodzi tu o pierwsze klasy podstawówki, już wtedy dzieci potrafią wrzucać treści pedofilskie, zoofilskie czy akty brutalnej przemocy. Gdy sygnał o nich dotrze do rodziców, ci są zaskoczeni, a nierzadko zrozpaczeni. W końcu co zostało zobaczone, ciężko „odzobaczyć". – *Te grupy powinny być zamknięte. Zgodnie z regulaminami to są produkty dla osób powyżej 13. roku życia. Wielu rodziców nie ma jednak wiedzy na ten temat, więc nie widzi problemu. W takiej sytuacji bardziej świadomi rodzice powinni stamtąd zabrać swoje dzieci* – tłumaczy.

Kolejny krok to dostęp do mediów społecznościowych. Dziecko nie powinno mieć tam własnego konta do momentu ukończenia 13. lat. – *Zachęcam dorosłych, żeby się przeklikali przez profile dziewczynek na TikToku lub Instagramie. I zobaczyli, że np. pod postami ośmioletniej dziewczynki, która transmituje swoją codzienną rutynę, są komentarze nacechowane seksualnie, nierzadko bardzo wulgarne. Nie trzeba być psychologiem, żeby zdać sobie sprawę, że to jest ogromnie obciążające dla dziecka* – przekonuje Magdalena Bigaj. – *Gdy dzieci są już w odpowiednim wieku i zdecydujemy się na ich obecność na takich platformach, zaczynajmy stopniowo – od jednej platformy. TikToka i Twittera zdecydowanie odradzam, bo ze względu na interfejs i algorytmy bywają najbardziej angażujące i infekujące* – sugeruje.

Kilka lat temu część osób przytłoczonych wszechobecnym nadmiarem informacji i rozpraszaczy zaczęła wyciągać z szuflad swoje pierwsze komórki, tzw. dumb phone'y. Okazało się, że wciąż działają i doskonale się z nich dzwoni. Jest to jakieś rozwiązanie dla rodziców chcących być w stałym kontakcie z dzieckiem, bez narażania go na cyfrowe rafy. Nie ma nieustannych powiadomień, social mediów i innych sieciowych pokus.

Nie trzeba było długo czekać, by na tę potrzebę zareagował rynek. Mamy już w Polsce producenta, który wytwarza urządzenia ułatwiające zachowanie cyfrowej higieny: smartfon z nieobciążającym wzroku ekranem i bez dostępu do dziesiątek systemowo zainstalowanych aplikacji.

Inne antidotum na aplikacje też już wymyślono. Najpopularniejsze to aplikacje blokujące inne aplikacje. Na urządzenia pobiera je miliony osób, co wskazuje, jak silna jest stojąca za tym potrzeba. Rynek oferuje też małe urządzenia, kształtem przypominające dziecięce figurki lub breloczki, które położone na smartfonie pełnią podobną funkcję – blokują na pewien czas wybrane aplikacje. Ich odblokowanie wymaga ponownego przyłożenia urządzenia do telefonu. Jak reklamuje na swojej stronie producent tego gadżetu, „Ogranicza ono scrollowanie Instagrama lub TikToka nawet o 70 proc.".

Magdalena Bigaj zwraca uwagę, by do takich urządzeń czy aplikacji podchodzić jednak krytycznie. – *Moja rekomendacja, nie tylko jako ekspertki, ale też jako mamy, jest taka, że w dzisiejszych czasach najlepsze, co możemy dać naszym dzieciom, to dzieciństwo bez smartfona. Sprzyja budowaniu relacji, umiejętności swobodnej zabawy, kreatywności. Świat cyfrowy jest tak atrakcyjny, że dziecko, które dostaje telefon na własność, prawdopodobnie już nigdy żadnego innego przedmiotu nie uzna za równie atrakcyjny.*

Ludzie ze szczytów big techów wiedzą o tym od dawna. Dyrektorzy Snapchata i Google'a radykalnie ograniczają własnym dzieciom dostęp do komórek i ekranów. Prezes YouTube odciął swoje od platform społecznościowych, bo – jak twierdzi – szkody wynikające z przebywania w sieci przez młodych ludzi narastają. Dzieci Billa Gatesa nie miały własnych komórek do osiągnięcia pełnoletności.

JOANNA PODGÓRSKA
ANNA DOBROWOLSKA

eprasa.pl 56e4ba20b9

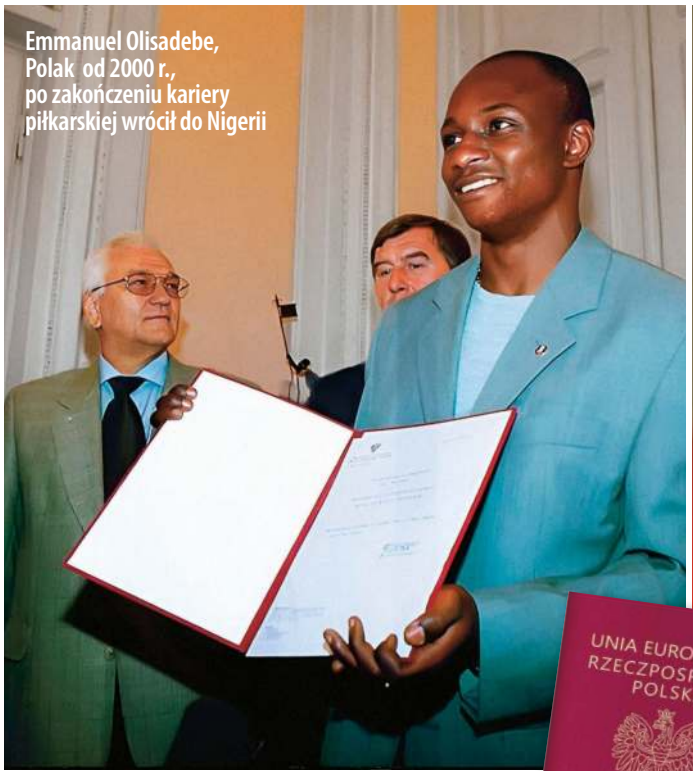

Emmanuel Olisadebe, Polak od 2000 r., po zakończeniu kariery piłkarskiej wrócił do Nigerii



Jesse Eisenberg, aktor i reżyser, obywatel RP od 2025 r.



Casting na Polaka

Polski paszport jest w cenie. Daje przepustkę do Unii Europejskiej, pozwala uciec przed wojną, jest obietnicą lepszego życia. Im więcej daje, tym trudniej go dostać.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Prof. Victor Ambros to nie tylko laureat Nagrody Nobla z 2024 r. w dziedzinie medycyny za odkrycia dotyczące mRNA. To także kandydat na Polaka. Syn robotnika przymusowego w Trzeciej Rzeszy i pierwszy naukowiec w rodzinie polskiego emigranta, który po wojnie wyjechał do Stanów Zjednoczonych, o swoich korzeniach przypomniał sobie już jakiś czas temu, intensywnie współpracując z polskim środowiskiem naukowym. Od roku jest przewodniczącym Rady Naukowej Międzynarodowego Instytutu Mechanizmów i Maszyn Molekularnych (IMol) Polskiej Akademii Nauk. Tydzień temu z okazji Polskiego Dnia Chorób Rzadkich wygłosił wykład w warszawskim Pałacu Staszica. Później spotkał się z premierem Donaldem Tuskiem. I wtedy powiedział, że stara się o polskie obywatelstwo. W wianie wnosi nie tylko Nobla, lecz także swoje kontakty i pozycję w świecie nauki. Samo obywatelstwo, jak stwierdził, byłoby dla niego uhonorowaniem ojca Longina Ambrosa, urodzonego w Dordziszkach w województwie wileńskim, ale też ciotki i dziadków.

Kto ty jesteś? Polak nowy!

Z takimi mocnymi kartami zapewne obywatelstwo dostanie. Formalnie od prezydenta Polski, czyli bez żadnych warunków. Takie są prezydenckie prerogatywy. Taką ekstraordynaryjną ścieżką Polakiem został aktor i reżyser Jesse Eisenberg. Nie musiał nawet jechać do Polski. W marcu 2025 r. prezydent Andrzej Duda uczynił mu ten zaszczyt w Stałym Przedstawicielstwie RP przy ONZ w Nowym Jorku.

Eisenberg nie został jednak Polakiem na ładne oczy. Kluczowe znaczenie miały korzenie. Jego prababka ze strony matki, Hyman „Herman" Mendelsohn, urodziła się w Krasnymstawie. Z Polski pochodził jeden z pradziadków ze strony ojca – Sam, czyli Samuel. Aktor złożył wniosek w 2023 r., po drodze został honorowym obywatelem Krasnegostawu w 2024 r., na ekrany wszedł jego film „Prawdziwy ból" o podróży dwóch kuzynów do kraju pochodzenia ukochanej babci, czyli do Polski właśnie. Film w tej Polsce zebrał entuzjastyczne recenzje, a sam Eisenberg (znany z roli Marka Zuckerberga, twórcy Facebooka) w wywiadach podkreślał, że chce odnowić swoje relacje z ojczyzną przodków, którzy mieszkali tu setki lat.

O polskim obywatelstwie myśli też dziewczyna Lee Ranaldo, gitarzysty Sonic Youth, który rok temu gościł na festiwalu Wschód Kultury – Inne Brzmienia w Lublinie. ▶

© WOJCIECH OLKUŚNIK/AGENCJA WYBORCZA.PL, SHUTTERSTOCK, PAP/RADEK PIETRUSZKA

eprasa.pl 56e4ba20b9

▶Jednak to nie ludzie nauki ani kultury mają najbardziej biorące karty. Najłatwiej polski paszport dostaje się, a jak mówią niektórzy – kupuje, za sportowe sukcesy. Polskie obywatelstwo mają już: Linda Klimovičová – czeska tenisistka startująca w polskich barwach, Kryscina Cimanouska i Maria Żodzik – lekkoatletki z Białorusi. Najsłynniejszy był chyba transfer czarnoskórego piłkarza Emmanuela Olisadebe z Nigerii, który grał w Polsce od 1997 r., a w 2000 r. w trybie przyspieszonym otrzymał polskie obywatelstwo od prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. W biało-czerwonych barwach zadebiutował 16 sierpnia 2000 r. w meczu przeciwko Rumunii i od razu zdobył gola, co dało jego nowej ojczyźnie remis (1:1).

Coraz więcej chętnych

Gola nie zdobył Amdżad – Palestyńczyk, czyli bezpaństwowiec, który studiował w Polsce technologię żywności na Politechnice Łódzkiej. Obywatelstwo polskie dostał od tego samego prezydenta co Olisadebe. Po studiach wrócił do Strefy Gazy, gdzie pracował w ministerstwie rolnictwa jako szef laboratorium. W Polsce jest od maja 2025 r. – *Polski paszport ma znaczenie, ale mi nie pomógł. Jako Palestyńczyk z „hadżdż", czyli zielonym dowodem osobistym, nie miałem wjazdu do Izraela. I nikogo tam moje polskie obywatelstwo i polski dokument nie interesowały. Nie mogłem więc wyjechać do Tel Awiwu i dalej na lotnisko Ben Guriona* – opowiada. Żonę i dwoje dzieci udało mu się wysłać do Egiptu przez Rafah. On sam starał się o wyjazd z bombardowanej Gazy poprzez ambasadę polską, ale usłyszał, że siły zbrojne Izraela nie wydadzą mu zgody na wyjazd do Egiptu. W końcu zapłacił 5 tys. dol. firmie organizującej wyjazdy ze strefy wojny. I wylądował z rodziną na lotnisku w Warszawie. – *Przechodziłem przez bramkę dla Polaków* – mówi, nie kryjąc, że jako polskiemu obywatelowi i imigrantowi w jednej osobie wcale nie jest mu łatwiej. Udało mu się znaleźć pracę na zlecenie w szkole językowej – uczy arabskiego. Muzułmanie, z którymi ma stały kontakt we Wrocławiu, gdzie osiadł, podpowiadali mu, żeby jeździł na taksówce, ale cały czas jest na lekach. Z jego domu nie została nawet cegła.

W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji (MSWiA), gdzie trwają prace nad nową ustawą o polskim obywatelstwie, przyznają, że nasz paszport jest coraz atrakcyjniejszy. Wpływ na to mają „rosnące możliwości rozwoju zawodowego i społecznego, jak i korzyści posiadania obywatelstwa UE". Dane mówią same za siebie: w 2025 r. prezydent RP nadał polskie obywatelstwo 996 osobom, w przypadku 18 076 podjęto administracyjną decyzję o uznaniu obywatelstwa (uprawnienie nabyte drogą administracyjną). Kolejnym 279 osobom przywrócono obywatelstwo utracone przed 1 stycznia 1999 r. To wstępne informacje z centralnego rejestru danych o nabyciu i utracie obywatelstwa polskiego. Pełna skala ma być znana do końca marca. Z analizy liczb z lat poprzednich wynika, że wniosków administracyjnych składanych do wojewodów jest coraz więcej. W 2024 r. obywatelstwo tą drogą uzyskało 14 828 osób, w 2023 – 7280, w 2021 – 5085. W 2015 r. było ich zaledwie 1640. Statystyki mówią same za siebie. Mówią również trochę za historię, bo w ostatnich 10 latach więcej było nadań prezydenckich i przywróceń, o które starała się przede wszystkim emigracja pomarcowa z 1968 r. i posierpniowa z 1981 r. Tych z kraju wyproszono, a czasem wręcz wypchnięto.

Prof. Mikołaj Pawlak z Instytutu Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji Uniwersytetu Warszawskiego przyznaje, że kiedy w latach 90. powstawały konstytucja i zręby nowego ustroju, chyba nikt nie wyobrażał sobie, że nabywanie polskiego obywatelstwa będzie zjawiskiem rosnącym: – *To była wyłączna prerogatywa prezydenta, tak samo zresztą jak prawo łaski. Kiedy zaczęto wykuwać ścieżkę administracyjną, ze strony Lecha Kaczyńskiego był duży opór. Ówczesny prezydent uważał, że traci swoje uprawnienia. Dzisiaj czekają nas jednak kolejne zmiany. I nie mówię tylko o planowanej ustawie, ale przede wszystkim o tym, że liczba osób ubiegających się o polski paszport cały czas rośnie.*

W październiku 2025 r. MSWiA zaprezentowało założenia projektu nowelizacji przepisów ustawy o obywatelstwie polskim. Oparto je na czterech filarach: długości pobytu w Polsce, złożeniu oświadczenia o lojalności, rezydencji podatkowej i teście obywatelstwa. Ówczesny wiceminister Maciej Duszczyk, który do resortu trafił jako ekspert od migracji, tłumaczył, że wzięto pod uwagę doświadczenia międzynarodowe, choć reakcje chociażby na test obywatelski były raczej krytyczno-kpiące niż entuzjastyczne.



Victor Ambros, noblista z medycyny, stara się o obywatelstwo kraju przodków

Tym bardziej że sam resort jako jedno z przykładowych pytań wymieniał datę bitwy pod Grunwaldem, zastrzegając jednocześnie, że całość będzie konsultowana z ekspertami. Na swoim profilu na Facebooku ministerstwo rozwinęło istotę testu: będzie się składał nie tylko z pytań zamkniętych dotyczących historii Polski, języka czy najnowszych wydarzeń politycznych, ekonomicznych i społecznych. Znajdą się w nim również pytania otwarte dotyczące m.in. podstawowych wartości i zasad polskiego życia społecznego. Przykład: „Czy przyjęte jest wręczanie drobnych kwot policjantom, aby nie otrzymać mandatu za wykroczenie np. przekroczenie prędkości?". Można więc powiedzieć, że pytania będą podchwytliwe.

Minimalny czas pobytu w Polsce uprawniający do podjęcia starań o obywatelstwo to osiem lat, z czego trzy to pobyt czasowy, a pozostałe pięć – stały. W dyskusji o nowych przepisach pojawiła się siłą rzeczy kwestia polskich repatriantów i posiadaczy Karty Polaka – ci pierwsi straciliby prawo do nabycia obywatelstwa po przekroczeniu polskiej granicy i będą musieli mieszkać w Polsce rok; ci drudzy – minimum trzy lata (w świetle obowiązujących przepisów wystarczy rok).

Vitalii Stotski przyjechał do Polski w 2020 r. po protestach na Białorusi po sfałszowanych przez Aleksandra Łukaszenkę wyborach prezydenckich. Miał Kartę Polaka, prawo pobytu dostał więc szybko. Przez rok pracował w fabryce, żeby móc ściągnąć do Polski żonę Irinę i córeczkę Viktoryję. Złożył dokumenty o przyznanie Irinie i małej prawa pobytu w Polsce – i zaczęły się schody. W styczniu 2024 r., po trzech latach

eprasa.pl 56e4ba20b9



Kartikey Johri, konsul honorowy Indii w Polsce, nasz obywatel od ponad 20 lat

czekania, wojewoda dolnośląski odmówił Irinie i Viktoryi tego prawa. Urząd na podjęcie decyzji ma pół roku. Stotscy napisali więc skargę do Rzecznika Praw Obywatelskich. W rezultacie Viktoryia, która po tacie ma polskie pochodzenie, prawo pobytu dostała, ale Irina czekała na decyzję w swojej sprawie przez kolejne miesiące. Vitalii chce się starać o polskie obywatelstwo, choć egzamin z polskiego zawalił. – *Oblał część pisemną. Ale będzie brał korepetycje* – zapewnia Irina, która nie kryje, że polski paszport to stabilizacja i to nie tylko dlatego, że nikt z ich znajomych rodaków, którzy osiedli w Polsce, na Białoruś wracać nie zamierza. – *Paszport i obywatelstwo, bo przecież jedno z drugim się wiąże, dają oczywiście możliwość swobodnego poruszania się po Europie, ale nie tylko. Polska dzisiaj to naprawdę bezpieczne miejsce na ziemi. A obywatelstwo człowieka zakorzenia. Nie tylko w świadomości, ale przede wszystkim w codziennym życiu. Mam tu na myśli lekarza, szkołę czy podatki.*

Irina przyznaje zresztą, że sama zaczyna się uczyć polskiej historii, więc test obywatelski na Polkę może zdawać za kilka lat. Powód jest jasny. – *Córka. Kiedy wraca ze szkoły i pyta mnie o coś z historii właśnie, to jestem zła na siebie, bo nie umiem jej pomóc i wytłumaczyć. Znam historię Białorusi, wiem, że wiele z tej historii mamy wspólnego, ale z polskiej mam jednak wiele braków* – mówi Irina.

Z dalekiego kraju

O historii mówi też Anna, która od roku jest mężatką, ma maleńkie dziecko i męża z Chin, gdzie uczyła angielskiego. – *Kiedy zaszłam w ciążę, było oczywiste, że przyjedziemy do Polski. Chcemy tu zostać, ale łatwo nie jest. W Polsce urzędy nie uznają mojego zatrudnienia w Chinach. Mąż nie mógł znaleźć pracy, bo musiałby przedstawić promesę z firmy gotowej go zatrudnić – i czekać na decyzję trzy miesiące. Kto zamrozi na tyle czasu stanowisko pracy?* – pyta retorycznie Anka, dodając, że kluczową barierą dla męża będzie język, dla Chińczyka bardzo trudny do opanowania. No i test z historii i kultury Polski. Jest przekonana, że oblałoby go wielu Polaków. – *Chińczycy nie mogą mieć podwójnego obywatelstwa. Jeśli starają się o inne, muszą ze swojego zrezygnować, ale gdybyśmy zostali w Chinach, to ja po pięciu latach mogłabym pójść do urzędu i od ręki dostałabym chiński paszport, oddawszy polski. Cudzoziemcy są tam zresztą inaczej traktowani. Krócej pracują, mają lepsze zarobki* – przyznaje Anka.

Beata ma narzeczonego z Indii. Barid przyjechał do Polski na studia medyczne. Miał 17 lat, a dla rodziców była to inwestycja w przyszłość jednego z dwóch synów – drugi studiuje dziś w Mumbaju informatykę. Barid jest lekarzem, pracuje w szpitalu klinicznym, a jego koledzy z Indii, z którymi mieszkał na stancji, też zostali w Polsce. – *To prawda, że polskie obywatelstwo dzisiaj to dobry paszport w ręce, ale musiałbym zrezygnować z obywatelstwa indyjskiego* – przyznaje Barid, który jeszcze nie wie, czy podejmie taką decyzję, choć język polski zna, musiał przecież zdawać egzamin w izbie lekarskiej. Ojciec Beaty, czyli teść *in spe*, tłumaczy mu zawiłości polskiej polityki, a Beata szykuje się do obejrzenia z nim „Ogniem i mieczem". – *Nie wiem, czy wszystko będzie dla niego jasne, ale wątek miłosny na pewno zrozumie* – żartuje.

W MSWiA nie mają wątpliwości, że obywatelstwo polskie jest zaszczytem. „To wybór wspólnoty, języka, historii, wartości i lojalności wobec państwa, a także obowiązek wobec państwa i polskiego narodu". Nie ukrywają również, że chcieliby dostęp do tego zaszczytu uszczelnić. Nowe rozwiązania powstają na podstawie przyjętej przez Radę Ministrów strategii migracyjnej „Odzyskać kontrolę. Zapewnić bezpieczeństwo. Kompleksowa i odpowiedzialna strategia migracyjna Polski na lata 2025–2030" – jak wyjaśnia biuro prasowe resortu, uzupełniając, że trwają konsultacje i przygotowywana jest ocena skutków regulacji, a sam projekt nowelizacji będzie przedstawiony po uzgodnieniach z przedstawicielami resortów (m.in. Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego) oraz prezydenta RP.

Będą testować? Będą zatrudniać!

– *Głównym problemem jest dzisiaj to, co się dzieje przed nadaniem czy przyznaniem obywatelstwa. Mówię oczywiście o olbrzymich zatorach, z jakimi zderzają się osoby starające się o czasowy czy stały pobyt. A przecież w tej proponowanej przez ministerstwo nowej ścieżce uznania obywatelstwa trzeba mieć odpowiednią liczbę lat zgromadzonych na statusach pobytowych* – prof. Pawlak przypomina, że w kilku województwach, przede wszystkim dolnośląskim i mazowieckim, państwo polskie łamie prawo, bo decyzje o prawie pobytu powinno wydawać szybko w trybie administracyjnym, a czas oczekiwania sięga nawet kilku lat. Problem pogłębiają braki kadrowe w urzędach. Dla Pawlaka dyskusja o obywatelstwie jest więc tematem zastępczym wobec rosnącej liczby osób wypychanych w Polsce w półlegalność.

– *Powinniśmy rozmawiać o tym, jak nasze państwo chce się sprawniej wywiązywać z zapewnienia stabilnego pobytu ludziom, którzy tu przebywają czasowo lub stale. I nie będąc polskimi obywatelami, przykładają się do naszej gospodarki i jej wzrostu* – naukowiec z UW nie ma wątpliwości, że wprowadzenie czterech filarów uruchomi słynną polską przedsiębiorczość. I po wejściu znowelizowanej ustawy w życie pojawią się firmy przygotowujące do testu obywatelskiego. Trzeba będzie też zatrudnić ludzi do organizowania i sprawdzania takich testów. Pawlak samego pomysłu egzaminu nie krytykuje, bo podobne rozwiązania mają Niemcy, Amerykanie czy Brytyjczycy.

Kartikey Johri, konsul honorowy Indii w Polsce, obywatelstwo ma od ponad 20 lat. Przyjechał tu na studia. I jak żartuje, jest żywym dowodem, że może łączyć ponad politycznymi podziałami, bo stypendium, dzięki któremu mógł studiować, dał mu generał Wojciech Jaruzelski, dzięki premierowi Tadeuszowi Mazowieckiemu mógł zacząć robić w Polsce interesy. A Polakiem został decyzją prezydenta Lecha Kaczyńskiego. – *Zrzekłem się obywatelstwa indyjskiego. Czuję się Polakiem, bo zakochałem się w Polsce i w Polce. I to zanim paszport polski stał się cenny dzięki naszemu wejściu do Unii Europejskiej* – uśmiecha się konsul Johri.

KATARZYNA KACZOROWSKA

© HANDOUT/AFP/EAST NEWS, JUSTYNA ROJEK/EAST NEWS

eprasa.pl 56e4ba20b9

Przedemeryci

Polacy, jeśli przewidują ostatnią ćwiartkę swego życia, to przeważnie na zasadzie „jakoś to będzie”. Przytłaczająca większość nie robi kompletnie nic, by do starości przygotować się zdrowotnie, finansowo, mieszkaniowo, psychicznie. Czas, by to zacząć zmieniać.



ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

EWA WILK

Człapiąca od lekarza do lekarza babinka, wsparta na inwalidzkim balkoniku. Polujący po supermarketach na przecenione konserwy dziadunio. Uzależniona od telewizora zjadaczka ckliwych seriali. Zgorzkniały, całodobowy konsument jadowitych portali informacyjnych. To niby masz być ty? Żadną miarą! To tylko czarny stereotyp polskiego emeryta. To popatrzmy na realia.

Ponad połowa spośród 6,5 mln emerytów nie dociąga do równowartości choćby minimalnej płacy (w ub.r. sięgała 4666 zł). Widać też jednak emerycką klasę średnią. 44 proc. mężczyzn i 16 proc. (o zgrozo – tylko) kobiet pobiera z kasy ZUS co miesiąc ponad 5 tys., powyżej 7 tys. – 620 tys. Polaków seniorów; powyżej 10 tys. zł plasuje się 130-tysięczna czołówka. Pierwsza emerytura jest na średnim poziomie 54 proc. ostatniej pensji (nazywa się to stopą zastąpienia dochodu).

Próg

Głównie średniakami się tu zajmiemy, nie strasząc zbytnio 22-latków właśnie rozpoczynających pracę, że według OECD „przechodząc na emeryturę w obecnie obowiązującym wieku, przy założeniu, iż ich wysokość zarobków równa byłaby średniemu wynagrodzeniu, uzyskaliby stopę zastąpienia w wysokości 28 proc. w przypadku mężczyzn i 22 proc. w przypadku kobiet”. Tak przestrzegają autorzy książki raportu „Przygotowanie do starości. Polacy w wieku przedemerytalnym o swojej przyszłości” (Instytut Pracy i Spraw Socjalnych). Badano tu osoby, które próg emerytalny przekroczą za 5–10 lat. Będziemy odwoływać się do tych pierwszej świeżości danych tutaj niejednokrotnie.

Generalny wniosek: Polacy przygotowują się do starości słabo, jeśli w ogóle. Średniacy – głównie wielkomiejscy, z wyższym wykształceniem – nieco się wyróżniają, staranniej dbając np. o formę fizyczną lub ćwiczenia umysłowe czy też zamierzając nieco dłużej popracować. Powszechnie jednak obowiązuje strategia (jeśli to słowo ma tu zastosowanie): przejść na garnuszek ZUS tak szybko, jak się da; jeśli popracować dłużej, to góra dwa–trzy lata i zająć się po prostu nicnierobieniem. Wstajesz rano, zaparzasz kawkę, wracasz do łóżka z książką, raczej tabletem.

eprasa.pl 56e4ba20b9

Piotr Łącki, psycholog, specjalizujący się w utrzymaniu sprawności umysłowej i fizycznej u osób po 60. roku życia (prowadzi portal psychologdlaseniora.pl), powiada, że tak właśnie ten początkowy stan upojenia wolnością opisuje wiele osób, z którymi pracuje. Błogie milczenie telefonów, brak zadań na wczoraj, koniec chronicznego pośpiechu – przypomina to stan zakochania; niektórzy nawet mówią o emeryckim miodowym miesiącu, roku, dwóch. On nieuchronnie minie. Ale neutralizuje stres związany z przekroczeniem emerytalnego progu.

To „przekroczenie progu" zwykle wygląda tak: pracodawca zaprasza na „przyjacielską" kawkę i opisuje kryzys w branży, prawdziwe oblicze finansów firmy, konieczność cięcia kosztów i wszelakie inne ponure realia rynkowe, np. krwiożercze stawki składki zdrowotnej i zusowskiej od każdego grosza wypłaconego etatowcowi. Czyli tobie też. Żaden mobbing czy ejdżyzm; dużo komplementów na temat twoich kompetencji, talentu i zasług. Więc zabierasz z biurka ładną lampkę, kubek, kosmetyczkę z szuflady, poduszkę z krzesła. Niewiele tych śladów 30-letniej, 10-godzinnej obecności w firmie każdego roboczego dnia plus niedzielne dyżury. Boisz się nie tyle demontażu miejsca, które de facto było miejscem twego życia przez trzy dekady, ile demontażu tożsamości...

Piotr Łącki mówi, że ta ambiwalencja myśli i emocji jest naturalna – człowiek powinien uznać, że jest OK. Inaczej może bowiem w tym stanie rozchybotania się zawiesić, co bywa niebezpieczne. Zmienia się rytm codzienności, dezaktualizują stare nawyki, przybywa czasu. Część zauroczonych ową wolnością doznaje swoistego przyspieszenia, przypływu energii: remont, wyjazd, wreszcie prawdziwy odpoczynek bez obawy, że szef zawróci cię z urlopu. Niestety, przychodzi coś, co gerontolodzy nazywają fazą rozczarowania. Nadmiar czasu zaczyna męczyć. Młodsi koledzy, z którymi jeszcze łączą cię stare zażyłości, tego nie rozumieją. Powinieneś zdefiniować się na nowo. Ale jak?

Większość spośród nas nie ma na to pomysłu. Jak wynika z przytaczanego tu Raportu, spora grupa przedemerytów zamierza spędzić swoje emeryckie lata na dosłownym nicnierobieniu. Badani zostali zapytani o pięć aktywności, którym zamierzają się oddawać. Tylko co czwarty wymienił pięć, reszcie przyszły do głowy zazwyczaj trzy. 7 proc. wybrało jedną: „po prostu nie będę robić nic, będę tylko odpoczywać". I nawet ci, którzy coś jeszcze dodatkowo poczną, aż w 70 proc. wysoko na liście zajęć lokują owo nic. Drugie miejsce zajęło oglądanie telewizji, słuchanie radia, korzystanie z internetu (połowa respondentów). Kobiety wyraźnie częściej niż mężczyźni wymieniały jako priorytet opiekę nad rodziną (23 proc. nad wnukami i 13 proc. nad innymi członkami rodziny).

Kolejne aktywności – ale już tylko z kilkunastoma procentami wskazań – to zajmowanie się ogrodem lub działką oraz czytanie książek i rozwiązywanie krzyżówek, potem podróżowanie, a także korzystanie z instytucji kulturalnych, aktywność fizyczna i samorozwój (rozumiany głównie jako czytanie). Połowa tych, którzy za życia zawodowego korzystają z instytucji kulturalnych i działają społecznie, zamierza to kontynuować, czyli połowa zamierza rzucić.



Podczas gdy co najmniej 60 proc. mieszkańców zachodniej Europy angażuje się w wolontariat, a seniorzy stanowią trzon ochotników, to według raportu Charities Aid Foundation Polska plasuje się na przedostatnim, 142. miejscu – jedynie 7 proc. spośród nas dzieli się z innymi pieniędzmi, czasem, kompetencjami. Do pandemii aktywność seniorów rosła – stanowili trzecią część polskich, relatywnie nielicznych wolontariuszy, po pandemii ich udział w generalnej liczbie spadł do 22 proc. Wolontariat znalazł się na ostatnim miejscu na liście warunków udanej starości, przedstawionej polskim przedemerytom, wskazało go ledwie 3,8 proc. respondentów. Wyprzedziły go zdrowie, samodzielność, pozytywne myślenie, a dalej – dobre relacje z partnerem i szerszą rodziną, i już na końcu – kontakty z sąsiadami, przyjaciółmi i udział we wspólnocie religijnej.

Schody

Ty nawet myślisz czasem – komentuje psycholog – że jak już będziesz miał czas, to coś dobrego zrobisz – dla chorych dzieci albo bezpańskich psów. Ale zderzasz się z prozą życia. Nadmiar czasu powoduje, że wszystko – ze zdumieniem to stwierdzasz – robisz wolniej. Albo nie robisz, odkładasz w nieskończoność powyrzucanie niemodnych i niepotrzebnych ciuchów (no bo ile ci tego potrzeba, skoro i tak większość dni przechodzisz w byle jakim dresie albo piżamie), przejrzenie stert papierów, odchudzenie domu z nikomu niepotrzebnych poobijanych talerzyków i dziurawych koców. Co się dzieje? Aż tak gwałtowny ubytek sił? A może jakieś uogólnione „nie chce mi się".

Nieliczni dochodzą do wniosku, że właściwie to trzeba by zadziałać radykalnie ▶

eprasa.pl 56e4ba20b9



▶ przeprowadzić się ze swego trzeciego, czwartego bezwindowego piętra niżej. Albo z trzykondygnacyjnego segmentu przenieść się do bloku, z którego z taką radością 30 lat temu emigrowaliście z wtedy jeszcze czteroosobową rodziną pod własny skrawek nieba i własną, teraz ośmiometrową sosnę. Rachunek kosztów i zysków, od finansowego po psychologiczny, cały czas wychodzi na remis. Domek kosztuje, ale blokowe czynsze wręcz paraliżują swoją wysokością. Sił ubywa, a systematyczne grabienie igieł spod ukochanej sosny zamienia się w gehennę. Ale w bloku, zwłaszcza nowym, zawsze ktoś z sąsiadów coś boruje, burzy, instaluje – ani chwili ciszy. Więc jednak dom. Winda by się marzyła, w internecie kuszą nawałem ofert i odstraszają ceną: najmarniej 65 tys. zł. Odpada. Wanna z drzwiczkami, super rozwiązanie, żeby się nie połamać przy forsowaniu starej. 15 tys. zł. Odpada. Może by tak przynajmniej solidniejsze poręcze na strome schody...

Autorzy raportu zapytali przedemerytów, czy coś przedsięwzięli (albo wkrótce zamierzają) w sprawach mieszkaniowych, czyli teraz – kiedy mają na to siły. Czy badani wykonali – lub planują – remont mieszkania? Owszem, już go niedawno zrobiło albo planuje wkrótce 29 proc. Czy jego celem było(by) dostosowanie do potrzeb seniorów? Tak, ale tylko dla 3,9 proc. respondentów (głównie problem łazienki). Sporadycznie pojawiały się takie „rewolucje", jak poszerzenie drzwi, wymiana mebli, likwidacja poddasza, które służyło jako pokój, czy przebudowa schodów. W tzw. inteligentne mieszkania, wyposażone w systemy monitorujące funkcjonowanie seniorów w czasie rzeczywistym, zainwestowało 1,6 proc.

A poza wszystkim ponad 90 proc. badanych nie bierze w ogóle pod uwagę przeprowadzki; woli nawet swoje bezwindowe trzecie czy czwarte piętro niż ryzyko wyprawy w nieznane. Ten opór psychiczny przed wykorzenieniem, obcym sąsiedztwem, wręcz utratą tożsamości, znajduje wyraz w powiedzeniu „starych drzew się nie przesadza" – ma ono w cytowanych badaniach aż nadto wyraziste potwierdzenie.

Spacerniak

Badacze zadali też przedemerytom pytanie, czy w jakiś sposób przygotowują się do ewentualnego pojawienia i pogłębiania ograniczeń w samodzielnym funkcjonowaniu. 89 proc. nie robi w tym kierunku kompletnie nic.

Ograniczenia w funkcjonowaniu? No, na pewno to nie twój przypadek. Na 70. urodziny dostałeś od żony T-shirt z dumnym napisem „70 lat na chodzie bez części zamiennych". I to by było na tyle – powiedziałeś sobie w duchu rok później, kiedy niezbędna okazała się endoproteza stawu biodrowego. W renomowanej klinice badania przedoperacyjne, operacja o wzorowym przebiegu, rehabilitacja – staranna, profesjonalna. Poszło ok. 35 tys. zł. Utwierdzałeś się jednak w przekonaniu, że biodro było tylko epizodem, ale masz świetne długowieczne geny. W następnym roku młoda ambitna lekarka podstawowej opieki zdrowotnej rozkazała ci wreszcie zrobić wszystkie podstawowe analizy – od morfologii po kolonoskopię. Okazało się, że w zasadzie nic ci nie jest. Jednakowoż otrzymujesz recepty na nadciśnienie, coś na spory cholesterol, coś na za wysoki cukier... Przechadzka do apteki coraz częściej jest czymś w rodzaju rytualnego spacerniaka w więzieniu, bo jak już człowiek zmobilizuje się, żeby wyjść, to trzeba po coś. Chadzasz sam, gdyż żona niechybnie weźmie jeszcze coś na wątrobę, coś na sen, coś na nerwy, coś na stawy, coś na kaszel, coś kompletnie bezskutecznego na zmarszczki i kolejne minus 500 zł świeci jaskrawo na komputerowym stanie konta...

Niestety przytłaczająca większość naszych rodaków nie ładuje żadnych fizycznych akumulatorów nawet wtedy, gdy jeszcze nie ogarnia człowieka nieuchronne zmęczenie, znużenie, opór przed nadmierną fatygą; gdy w spacerach nie wadzą jeszcze haluksy, a w jeździe na rowerze – zwyrodnienia kolan (tzw. gonartoza jest najczęstszą przyczyną niepełnosprawności osób starszych; na zwyrodnienia stawów cierpi w Polsce 8–9 mln osób). W cytowanych badaniach niewielka 11-procentowa grupa przedemerytów mogła się pochwalić bieganiem, spacerami, uczęszczaniem na zajęcia sportowe (najczęściej mężczyźni z wielkich miast, z wyższym wykształceniem) oraz ćwiczeniami umysłu (częściej kobiety niż mężczyźni).

Znów wracamy do klasycznych typowych opisów. Jesteś wzorową emerytką z pięcioletnim stażem, wciąż dorabiasz w zawodzie, można powiedzieć – przykładnie spakowałaś kieszeń finansową na starość. 42 lata historii składkowej, emerytura na poziomie średniej krajowej i górka usypywana comiesięcznie w lokatach i obligacjach. Miała zabezpieczyć cię przed dreptaniem od enefzetowskiego lekarza do lekarza, wysiadywaniem na przychodnianych zydelkach, polowaniem na przecenione konserwy, jałowym nicnierobieniem. Topnieje jak arktyczne lodowce. Odkładasz podróż do wymarzonej Japonii (40 tys. za dwa

eprasa.pl 56e4ba20b9

tygodnie), bo trzeba się wreszcie zabrać za obsługę uzębienia (protetyka, pójdzie 20 tys. zł). Może pozasezonowy relaks we względnym luksusie nad Bałtykiem (w lutym, w dobrym hotelu najmarniej 500 zł za noc). Chyba lepiej na razie kupić dobre aparaty słuchowe (15 tys., NFZ zwróci z 1 tys.)...



Kieszeń

No tak, hrabiowskie zachcianki! – zakrzyknie teraz chór emerytów, bo typowość w Polsce – jak konstatują badacze w Raporcie – to oczekiwanie, że państwo ma psi obowiązek wziąć swoich seniorów na godziwy garnuszek – cechuje ona większość sondowanych przedemerytów. Autorzy badań zauważają jaskrawą sprzeczność między tym przekonaniem a jednoczesną skrajną nieufnością do jego instytucji. Tym, że tak wiele osób, odczuwając wysoki poziom stresu finansowego, nie podejmuje żadnych przygotowań do starości, jednocześnie przejawiając radosny optymizm co do własnej przyszłości. Racjonalizacja tego, że kieszeń jest i będzie pusta, brzmi zazwyczaj: nie ma po co, nie ma z czego i nie wolno temu państwu wierzyć, bo wiadomo, jak było z OFE, bo inflacja, bo denominacja, bo wojna.

Toteż 27 proc. przedemerytów nie korzysta i nie planuje skorzystać w ciągu najbliższego roku z takich możliwości, jak – najprostsze – odłożenie czegokolwiek na koncie bankowym, ponad 80 proc. nie kupi obligacji Skarbu Państwa, podobny odsetek nie myśli o zakupie akcji i nie włoży grosza w lokaty bankowe. Ledwie kilka procent jest zainteresowane takimi propozycjami państwa, jak Indywidualne Konto Emerytalne i Indywidualne Konto Zabezpieczenia Emerytalnego (IKE/IKZE; dobrowolne składki owocujące potem zwolnieniami podatkowymi). Ogromna większość nie wie, co te skróty oznaczają.

Niefrasobliwość finansowa przejawia się też w braku nawyków kontrolnych nad własną kasą – najwyżej co czwarty, piąty przedemeryt zaprząta sobie głowę planowaniem i notowaniem wydatków czy zleceniem regulowania rachunków swojemu bankowi. I – przypomnijmy – nie są to bynajmniej wykluczeni sieciowo staruszkowie; badani mają ledwie 50–55 lat.

Pocieszające, że nasz naród, myślący o sobie jako o zapobiegliwej zbiorowości, pozabezpieczał się na inne sposoby. Co dziesiąty przedemeryt ma ogródek działkowy, podobny odsetek – działkę rekreacyjną, tyle samo – działkę budowlaną i też ok. 10 proc. – dodatkowe mieszkanie. Zysk z wynajmu jest zresztą główną podpórką dla emerytów, i to wcale nie tylko z najwyższych szczebli na drabince ZUS, lecz np. tych, którzy długie lata spędzili na saksach i lokowali zarobki właśnie w nieruchomościach. Nawiasem, 2 proc. polskich przedemerytów ma dom lub mieszkanie za granicą.

Sztuka trwania

Byłoby dobrze, gdyby ludzie przygotowali się do emeryckiego etapu życia, choćby zawczasu zadbawszy o niezbędne dokumenty, np. świadectwa pracy; zasięgali odpowiedniej informacji. Jak utrzymują badacze, niewiedza i niechęć zdobycia jakichkolwiek danych na temat realiów emerytalnych jest zatrważająco powszechna.

Piotr Łącki, psycholog, powiada, że najgorsze, co można zrobić, gdy w perspektywie jest próg emerytalny albo się już go przekroczy, to nic nie robić. Powinno się obmyślić nowy rytm codzienności, koniecznie znajdując pomysł na wyjście z domu. Urealnić oczekiwania, np. jak podróż, to nie dookoła świata, tylko mniej fatygująca objazdówka gdzieś w Europie. Przede wszystkim jednak warto zabrać się za swoją głowę: obserwować emocje, nazywać je i wsłuchiwać się we własny monolog wewnętrzny. Czego jest tam więcej: pochwał czy krytyki? Ględzenia i utyskiwania na własny temat czy delektowania się tym, co dobrego nas spotkało. A tym dobrem może być świetne pieczywo, po które warto pójść do trochę odległej piekarni, czy kawa w eleganckiej porcelanie.

Wszelkie znaki – demograficzne, socjologiczne, polityczne, ekonomiczne – powinny mobilizować już nawet tych, którzy dopiero pracę zaczynają, do stopniowego pakowania ewakuacyjnego plecaka emerytalnego. Jednak świadomość, że człowieka za kilkadziesiąt, ba, nawet kilka lat, czeka walka o przetrwanie, a raczej długotrwałe trwanie w rozmaitych dyskomfortach, z trudem przebija się do większości umysłów. Co znajduje – zauważają autorzy Raportu – niejakie usprawiedliwienie w ewolucyjnie zaprogramowanych defektach mózgu, jak hiperboliczne dyskontowanie, czyli przedkładanie natychmiastowych korzyści nad większe nagrody w przyszłości. Albo też: brak empatii do „przyszłego ja" – badania fMRI pokazują, że kiedy ludzie myślą o sobie za kilkadziesiąt lat, ich mózg reaguje tak, jakby myśleli o obcej osobie. Więc rada Piotra Łąckiego: z góry się polubić. – *Bo jak głosi trafny aforyzm: jesteś tą osobą, z którą na pewno spędzisz całe życie.*

Również 220 miesięcy dalszego ciągu, przewidywane dziś przez zusowskie tabele dla przeciętnego 65-latka.

EWA WILK

eprasa.pl 56e4ba20b9

KATARZYNA KACZOROWSKA

Test po rosyjsku

Pytania, które po cichu zadają sobie ludzie, są proste: a co, jeśli wykolejają pociąg, w który wsiadam, czy podpalą sklep, w którym robię zakupy? Rosjanie lubią siać panikę, ale ciągle jeszcze boją się siać śmierć.



Uszkodzone tory przy stacji Mika w powiecie garwolińskim. Pod przejeżdżającym pociągiem towarowym zdetonowano ładunek wybuchowy.

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

W nocy z 16 na 17 lutego w okolicach Puław młody mężczyzna zaciągnął hamulce ręczne w trzech wagonach składu towarowego. Trzymając się tego, co oficjalnie mówił minister spraw wewnętrznych Marcin Kierwiński, sprawa była więcej niż poważna. Zaciągnięte hamulce nie są w stanie zatrzymać składu. Ale siła tarcia zablokowanych kół jest w stanie doprowadzić do tego, że stal rozgrzewa się do czerwoności. A jeśli w składzie przewożony jest olej napędowy, to łatwo sobie wyobrazić dalszy ciąg tej historii. Warto dodać, że cel też nie był przypadkowy, bo tak się składa, że towar miał trafić do walczącej Ukrainy.

Tyle że do zatrzymania 25-letniego Mołdawianina doszło niemal na jego własną prośbę. Kluczowy udział miał maszynista, który zawiadomił służby o nietypowej prośbie nieznajomego mężczyzny, który wszedł do lokomotywy i zapytał, czy go podwiezie. Sprawę badają Służba Kontrwywiadu Wojskowego i Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Zarzuty i potencjalna kara są mrożące. Przedstawiono mu zarzut sprowadzenia bezpośredniego niebezpieczeństwa eksplozji materiałów łatwopalnych, co zagrażało życiu lub zdrowiu wielu osób lub mieniu. Grozi za to osiem lat odsiadki. Mężczyzna przyznał się do zatrzymania pociągu. Ale nie powiedział, dlaczego to zrobił. I czy zrobił to, bo takie dostał zlecenie z Rosji.

Operacja „TOR”

Włodzimierz Kiełczyński, dyrektor Biura Bezpieczeństwa Polskich Linii Kolejowych, w szczegóły zabezpieczenia i transportów kolejowych, i infrastruktury wchodzić nie chce – czy też raczej

eprasa.pl 56e4ba20b9

nie może. W sumie może to nawet lepiej. Właśnie ze względów bezpieczeństwa nie będzie mówił o tym, czy maszyniści mają system ostrzegania, jeśli ktoś np. manipuluje przy hamulcach w wagonach. Zapewnia za to, że po zdarzeniu z listopada 2025 r., mającym charakter terrorystyczny, PLK SA wdrożyły wiele działań technicznych, organizacyjnych i kadrowych, aby podnieść poziom bezpieczeństwa przewozów pasażerskich i towarowych.

– *Kolej funkcjonuje nieprzerwanie, a pracownicy dbają o bezpieczne prowadzenie ruchu pociągów. Straż Ochrony Kolei stale współpracuje z policją i innymi służbami odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo. Organizowane są patrole łączone, prowadzona jest bieżąca wymiana informacji. Wszystkie podejmowane przez PLK SA działania mają na celu zapewnienie pełnego bezpieczeństwa podróżnym oraz przewożonym towarom* – przekonuje dyrektor Kiełczyński.

Przywołane zdarzenie z listopada 2025 r. to tak naprawdę trzy sytuacje. Z czego najgroźniejsza była ta z 16 listopada. Tego dnia Koleje Mazowieckie na swoim profilu na platformie X poinformowały: „Od godziny 7.30 trwa zamknięcie toru numer 1 na odcinku Dęblin–Życzyn po stwierdzeniu ubytku w torze o długości około 100 cm przez maszynistę pociągu 12713 KM Warszawa Zach.–Dęblin. Prawdopodobnie doszło do celowego uszkodzenia szyny poprzez detonację ładunku wybuchowego". Dziurę w szynie zauważył maszynista, który w porę wyhamował skład. Tak się składa, że w pobliskim Życzynie zlokalizowany jest pododdział 3. Regionalnej Bazy Logistycznej, a w niej wojskowe składy paliwowe. Dzień wcześniej w miejscowości Mika w powiecie garwolińskim zdetonowano ładunek wybuchowy pod przejeżdżającym pociągiem towarowym na trasie Warszawa Wschodnia–Dorohusk. Była godzina 20.58. Użyto materiału o nazwie C4. To głównie heksogen. Taki towar trudno zdobyć nawet w darknecie, więc trudno mówić o amatorach. Do jego detonacji potrzebny jest zapalnik, ale za to C4 wykazuje dużą niezawodność i wytrzymałość. Jest też plastyczny, można go więc bez problemu włożyć w szczelinę. Na przykład w torach kolejowych.

Tego samego dnia w miejscowości Gołąb w powiecie puławskim sprawcy uszkodzili sieć trakcyjną. I zamontowali na szynie jednocześnie dwa metalowe elementy, które miały doprowadzić do wykolejenia przejeżdżających pociągów.

Akcje w Mice i Gołębiu nagrały kamery. A prokuratura błyskawicznie, bo już kilka dni później, postawiła dwóm obywatelom Ukrainy zarzut aktów dywersji o charakterze terrorystycznym na rzecz Federacji Rosyjskiej. Oleksandr K. (ur. 1986 r.) i Yevheni I. (ur. 1984 r.), jak osobiście poinformował premier Tusk, zbiegli na Białoruś. Co oznacza, że dla polskiego wymiaru sprawiedliwości są praktycznie niedostępni. Zarzuty to jak list pisany na Berdyczów.

Aby uspokoić opinię publiczną, rząd poinformował, że Polska prowadzi największą operację ochrony kolei w historii (od listopada, a więc od obu zdarzeń na trasie Warszawa Wschodnia–Dorohusk). Że w działaniach „TOR", bo taki nadano im kryptonim, uczestniczy już ponad 100 tys. policjantów, żołnierzy i funkcjonariuszy Służby Ochrony Kolei. Temat był też grzany medialnie. Patrole policji na torach filmowała każda stacja. Mało która zadała jednak pytanie, dlaczego torów nie patrolują np. drony. Wojna propagandowa toczy się już w dwie strony.

Incydenty prawie kinetyczne

Szef ochrony na jednym z większych polskich lotnisk, były policjant, zastrzegając dane, mówi wprost: – *Te kilka wykrytych spraw to wierzchołek góry lodowej. Bo są próby działań, które z różnych powodów się nie udały, a więc nie wliczymy ich do statystyki. Są też takie, których służby nie nagłaśniają. I rzecz nie w tym, by popadać w paranoję i wszędzie widzieć dywersanta, ale żeby w obecnej rzeczywistości po prostu być uważnym.*

Były kontrterrorysta przyznaje, że monitorowanie pod kątem zagrożenia terrorystycznego dworców czy lotnisk, gdzie ludzie mogą spędzać od kilku minut do kilku godzin, nie budząc zainteresowania, jest jak szukanie igły w stogu siana. Dlatego każdy powinien być czujny na wszelkie dziwne zachowania. Z drugiej strony ostrzega przed popadaniem w paranoję. Fakt, że nikt nie zginął, świadczy o tym, że Rosja ciągle jest w fazie straszenia i testowania procedur bezpieczeństwa, a nie zabijania. Podobne wnioski wynikają z raportów niezależnych instytucji.

Rok temu globalne zainteresowanie wzbudził raport Międzynarodowego Centrum ds. Zwalczania Terroryzmu (ICCT) i think tanku GLOBSEC dotyczący wojny hybrydowej prowadzonej przez Rosję. Punktem wyjścia był wybuch pełnoskalowej wojny w Ukrainie, raport obejmował więc czas od lutego 2022 r. do lipca 2025 r. Analitycy zidentyfikowali w Europie 110 incydentów kinetycznych, jak nazywają różne działania dywersyjne: 89 przeprowadzono pomyślnie, 21 udaremniono. Większość miała miejsce w Polsce.

– *Ale eksperci, z którymi rozmawialiśmy, podkreślali, że rzeczywista liczba udaremnionych spisków najprawdopodobniej jest wyższa* – mówi Kacper Rękawek z GLOBSEC i od razu dodaje, że nowy raport, który ukazał się w ostatnich dniach, pokazuje, że rośnie liczba zdarzeń. – *Możemy mówić wręcz o gwałtownym wzroście rosyjskich działań sabotażowych i operacji wpływu w całej Europie, do których wykorzystuje się siatki przestępcze jako narzędzie wojny hybrydowej.*

Od jesieni ub.r., a więc zaledwie w ciągu pół roku, odnotowano 41 przypadków więcej. – *I cały czas mówimy tylko o tych, które z różnych powodów zostały ujawnione opinii publicznej. Sprawców też jest więcej, bo to już 172 osoby* – dodaje Rękawek, podkreślając, że najważniejszym czynnikiem przy wyborze celu w europejskiej wojnie hybrydowej prowadzonej przez Rosję jest wsparcie dla Ukrainy. To dlatego Polska jest od kilku lat najbardziej dotknięta incydentami (31), kolejna na liście jest Francja (20), za nią Litwa (15) i Niemcy (15).

Z raportu, którego współautorem jest Kacper Rękawek, wynika, że podejmowane działania to z jednej strony cyberpropaganda, a z drugiej podżeganie do nienawiści etnicznej. U Francuzów szczują na Żydów i muzułmanów, w Polsce na Ukraińców. Na samym szczuciu się jednak nie kończy. Są już podpalenia oraz próby podpaleń i uszkodzeń centrów logistycznych. Dla przeciętnego zjadacza chleba kluczowa jest wiadomość, że ponad połowa zidentyfikowanych sprawców to ludzie niezwiązani formalnie z rosyjskimi służbami specjalnymi.

– *Rekrutowani są nieletni albo młodzi mężczyźni w trudnej sytuacji materialnej. Motywacja jest prosta – pieniądze. Najczęściej są to Białorusini czy Ukraińcy, co jest dodatkowym czynnikiem w wojnie hybrydowej. Bo po zatrzymaniu takiego Ukraińca czy Białorusina od razu pojawiają się komentarze „pomagamy im, a oni nam tu dywersję robią". Ale dla jasności, werbuje się też osoby z przeszłością kryminalną, ultrasów związanych ze środowiskami chuliganów piłkarskich* – tłumaczy Rękawek, ▶

eprasa.pl 56e4ba20b9

▶ dodając, że rekrutacja prowadzona jest poprzez portale społecznościowe, najczęściej TikTok i Telegram.

Dr Filip Bryjka z Polskiego Instytutu Studiów Międzynarodowych uzupełnia: – *Jeszcze dwa–trzy lata temu w tej rekrutacji prowadzonej najczęściej online nie mówiono wprost, jaki jest cel ani że te cele będą eskalowały w miarę realizowania. Dzisiaj nikt już nie owija w bawełnę. Od razu jest jasne, że werbunek dotyczy dywersji.*

Z raportu ICCT i GLOBSEC wynika, że rosyjska kampania nabrała tempa od lata 2025 r. i nic nie wskazuje na to, by miała wygasnąć. „Wykorzystanie elementów przestępczych jako agentów rezerwowych pozwala Rosji prowadzić dynamiczne operacje na terytorium Unii Europejskiej przy stosunkowo niskim ryzyku, ale z dużym wpływem na bezpieczeństwo i spójność społeczną" – napisali jego autorzy.

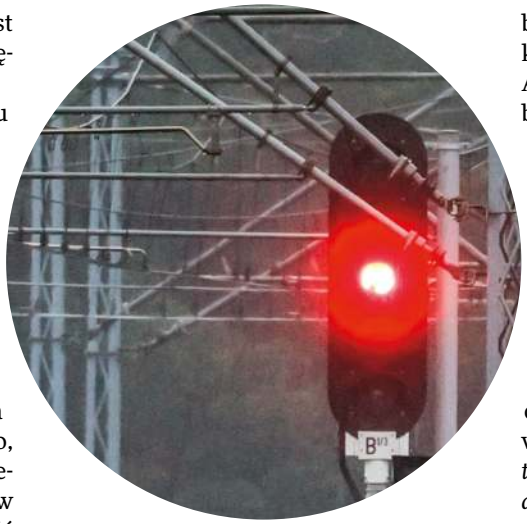

Hybryda, czyli z czym to się je

Dr Michał Piekarski, politolog z Uniwersytetu Wrocławskiego, podkreśla, że działań hybrydowych nie wymyślili Rosjanie i nie są one szczególnie charakterystyczne dla Europy ostatnich lat. – *Owszem, w 2014 r. Rosjanie zajęli Krym, wykorzystując do tego tzw. zielone ludziki. Ale Żeligowski zajął Wilno w 1920 r., pozorując bunt dywizji piechoty na Litwie, a Amerykanie szkolili kubańską opozycję, by przeprowadzić desant w Zatoce Świń, który, jak wiadomo, o mało nie doprowadził do wybuchu trzeciej wojny światowej, a i tak nie obalił Castro. Dzisiaj jednak postęp techniczny dał większe możliwości* – tłumaczy dr Piekarski, dodając, że dezinformacja przywoływana jako jeden z elementów wojny hybrydowej też istniała, odkąd ludzie wojny prowadzą. – *Ale jej zasięg i oddziaływanie zintensyfikowały internet i media społecznościowe. Podobnie jest zresztą w przypadku infrastruktury krytycznej, bez której dzisiaj nie wyobrażamy sobie codziennego życia. Jest jej więcej i choćby dlatego łatwiej ją atakować.*

Naukowiec pytany o to, jak traktować np. niedawne ostrzeżenie Europejskiego Banku Centralnego, by zabezpieczyć w domu gotówkę na wypadek możliwego braku dostępu do kont, z westchnieniem odpowiada, że przeciętny Europejczyk taki komunikat może odebrać jako zapowiedź wojny. Ale jakąś kwotę warto jednak zacząć ze sobą nosić. Piekarski przyznaje, że w politologicznej bańce od pięciu lat krąży prześmiewczy mem z hasłem „wojna za trzy lata". On sam pamięta wypowiedź gen. Wiesława Kukuły, byłego dowódcy Wojsk Obrony Terytorialnej, obecnie szefa Sztabu Generalnego, który dwa lata temu publicznie mówił, że współczesne pokolenie będzie musiało walczyć za ojczyznę. – *Jestem sceptyczny wobec tych horyzontów czasowych, bo stają się one jednym z narzędzi wojny hybrydowej* – tłumaczy dr Piekarski.

Zarówno Piekarski, jak i Bryjka podkreślają: działania hybrydowe z jednej strony testują siłę państwa i sprawność służb, z drugiej angażując te służby, osłabiają je. Dr Bryjka: – *Ujawniane zdarzenia, takie jak choćby wysadzenie torów kolejowych czy fala pożarów, tworzą poczucie chaosu i niepokoju w społeczeństwie. I ten chaos jest tu bardzo ważny.* Politolog z Uniwersytetu Wrocławskiego też nie ma wątpliwości, że mówiąc o wojnie hybrydowej, trzeba mówić o konkretnym zysku dla Rosji, która tę wojnę prowadzi – to dezintegracja i polaryzacja społeczeństwa. I od razu przywołuje kryzys uchodźczy na granicy białoruskiej.

– *Dzisiaj takim narzędziem jest oskarżanie się wzajemne w elitach politycznych o bycie ruskim agentem* – dodaje dr Piekarski, podkreślając, że służby angażowane są tak samo do poszukiwania podpalaczy Hali Marywilskiej, jak i kogoś, kto za pieniądze napisze 100 razy na murach NATO WON. Trzeba poświęcić czas na przeprowadzenie czynności, nawet jeżeli okaże się, że zwerbowany przez Telegram agent dał się nagrać na kamerach, bo był tak głupi, że zaparkował auto pod kamerą i widać jego tablice rejestracyjne. A równolegle mogą się dziać rzeczy dużo bardziej niebezpieczne, wymagające zaangażowania służb, które właśnie tropią amatorów z Telegrama.

Gotowi na gotowość

Dla Bryjki jest jasne, że Rosja wciąż nie wykorzystuje wszystkich zasobów, jakie ma w dyspozycji do prowadzenia bardzo poważnych aktów dywersji i sabotażu za liniami wroga, czyli np. w Polsce. A Kacper Rękawek mu wtóruje: – *Gdyby jakiekolwiek incydenty związane z infrastrukturą krytyczną, do jakich doszło w Niemczech, Czechach czy we Francji, skończyły się czyjąś śmiercią, bylibyśmy dzisiaj w zupełnie innej rzeczywistości. Przez dekady w Europie nie było wojny. 15–10 lat temu mówiliśmy politykom i analitykom z Zachodu o zagrożeniach, jakie mogą przyjść ze Wschodu. Nie wierzyli. Po 2022 r. mój poziom frustracji się obniżył, bo w końcu przestali na nas patrzeć jak na wariatów wszędzie widzących dywersantów.*

O tym, jak łatwo uważność zmienia się w przeczulenie, przekonała się para Brazylijczyków, którzy fotografowali się na tle przejazdu kolejowego w Przemyślu. Zostali aresztowani i przesłuchani. Dostało się również kilku nastolatkom w wieku od 12 do 15 lat złapanym na fotografowaniu pociągów.

Ludzie i służby mają coraz krótszy lont, bo wojna nerwów trwa już w najlepsze. I nie jest na niby. W grudniu 2023 r. Sąd Okręgowy w Lublinie skazał 14 oskarżonych, głównie Ukraińców – prokuratura zarzuciła im działalność szpiegowską na zlecenie Rosji. Mężczyźni zakładali przy torach kamery pozwalające obserwować pociągi z pomocą humanitarną dla Ukrainy, prowadzili obserwację lotniska w Jasionce, dworca kolejowego w Rzeszowie, przejść przy granicy z Ukrainą i kluczowych magistral kolejowych. Werbował ich i instruował przez Telegram niejaki Andriej, który planował m.in. wykolejenie pociągu z transportem wojskowym. W grudniu 2025 r. prokuratura wydała za nim list gończy – ustalono, że Andriej to 28-letni Michaił Wiktorowicz Mirgorodski z rosyjskiej FSB. Siatka, którą zbudował, liczyła co najmniej 30 osób. Kiedy na planszy pojawią się już tacy zawodnicy, gra staje się dużo brutalniejsza.

KATARZYNA KACZOROWSKA

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 56e4ba20b9



Sex shop przy ul. Marszałkowskiej w Warszawie, 2008 r.

© DOMINIK PISAREK/REPORTER

Ostro o porno

Rozmowa z Dominikiem Mądrachowskim, muzykiem, menedżerem studia tatuażu, o tym, jak się wychodzi z uzależnienia od pornografii.

JULIUSZ ĆWIELUCH**: – Pamięta pan swój pierwszy obejrzany film pornograficzny?**

DOMINIK MĄDRACHOWSKI: – Takich rzeczy się nie zapomina. „Linie 606", francuska produkcja. Nawet z jakąś szczątkową fabułą.

Opowie pan kawałek tej fabuły?

Nie było jej za wiele. Łatwo ją zresztą samemu dopisać, bo się kończy zaraz po tym, jak stewardesa wchodzi do kabiny pilotów. Za to do dziś pamiętam bardzo silne nowe doznanie, którego nie rozumiałem, ale które bardzo mi się podobało. No i jak się okazało, zostało w moim życiu na bardzo długo. A później to życie zaczęło mi nawet rujnować. Ale ten pierwszy film był właściwie niewinny. Nie trafiło mi się najgorzej, choć to nie był mój wybór. Jak większość chłopaków w moim wieku po prostu podebrałem ojcu jego dyżurny film dla dorosłych. Oglądałem go na wideo. Co pewnie części osób należałoby wytłumaczyć.

Dużo wątków. Każdy ciekawy. To może zacznijmy od ojca.

Źle pan wybrał, bo to akurat dla mnie temat najtrudniejszy.

W mediach społecznościowych wprost pan napisał, że od trzech lat jest wolny od nałogu pornografii, a mówi pan, że ojciec to trudny temat.

Z pornografią się zmierzyłem, odbyłem intensywną 10-miesięczną terapię w klinice prof. Woronowicza. Najlepiej wydane pieniądze w moim życiu. Od trzech lat jestem czysty. Nie powiem, że mam to poukładane, bo z nałogami masz jak ze sprzątaniem. Nie możesz raz umyć podłogi i powiedzieć, że masz to już z głowy do końca życia. Ale z ojcem to u mnie trudna sprawa. Była przemoc, był alkohol, a na koniec jego prochy przywiózł mi kurier z Grecji. Chyba rozumie pan, że to nie jest prosta historia. ▶

eprasa.pl 56e4ba20b9

▶ Rozumiem. Pornografia też nie jest prostą sprawą. Z badań przepływu treści wynika, że 40 proc. polskich internautów regularnie sięga po treści pornograficzne. Kilka milionów Polaków robi to każdego dnia.

Ja byłem w tych kilku milionach. Zdarzało się, że oglądałem kompulsywnie. Czasem wystarczyło mi, że sięgnąłem rano, żeby rozładować napięcie. Miałem taki swój rytuał, że rano brałem kąpiel i niejako przy okazji dawałem nura w jakiś filmik. Zakręciłem śmigłem...

Mówi pan o masturbacji?

Tak. Wiele osób tak funkcjonuje, ale niewiele o tym opowiada. Ja sam przez wiele lat w ogóle nie zauważałem, że mam problem z pornografią. Diagnozowałem różne swoje problemy. Z różnymi się zmagałem. Z niektórymi wygrałem. Od 2007 r. jestem trzeźwym alkoholikiem. A piłem już tak, że pewnego dnia szef wezwał mnie do siebie i położył na biurku dwie kartki. Na jednej był numer telefonu i adres terapii odwykowej. Na drugiej prośba o zwolnienie. Położył je i powiedział: wybierz, którą wolisz. Wybrałem właściwą.

A z pornografią jak było?

Inaczej. Musi być wstęp, bo to też opowieść o tym, dlaczego zdecydowałem się z panem porozmawiać, i to pod nazwiskiem. W mediach społecznościowych przeczytałem wpis kolegi muzyka, dosyć znany człowiek. Zrobił wyliczankę, ile już lat nie pije, ile lat nie bierze dragów, ile lat bez pornografii. Pamiętam, że uderzyło mnie to. Bez picia to rozumiem, ale o co mu chodzi z tą pornografią, w czym jest problem?

Znajoma psycholog powiedziała mi, że z pornografią jest jak z alkoholem. Jak wypijesz dwa kieliszki na imieninach, to może nawet jest to miłe. Ale te kieliszki pomnożone, pite latami, bez kontroli, z przyjemnością nie mają już nic wspólnego.

W zasadzie opowiedział pan, czym to jest.

Mówiła jeszcze, że po pornografię sięga się z poczucia winy, z powodu niskiej samooceny, dla regulacji emocji.

To pierwsze to nie o mnie. Drugie już zdecydowanie tak. Tyle że u mnie to wszystko jest jeszcze bardziej skomplikowane, bo ja jestem biseksualny. Jak urodziłeś się w połowie lat 70. zeszłego wieku w Zielonej Górze, to zapomnij, że możesz tak po prostu powiedzieć: wiecie, ja też się rozglądam za dziewczynami, ale podobają mi się również chłopcy. Po czymś takim byłbym skończony, wyklęty. A w pornografii mogłem znajdować to, co w realu realizowałem w postaci jakiegoś szybkiego, często przypadkowego i mało romantycznego seksu z chłopakami. A jednocześnie w wieku 19 lat zaszliśmy w ciążę z moją dziewczyną. No i trzeba się było żenić.

A rozmawiał pan o seksie ze swoimi rodzicami?

W moich czasach nie za bardzo się rozmawiało z rodzicami. Na dodatek ojciec, jak już wspomniałem, był trudny, a później już całkiem nieobecny, bo uciekał przed dłużnikami. Ciągle mi powtarzał, że ze mnie nic nie będzie. Mówił: skończysz w więzieniu na Łużyckiej, bo w Zielonej Górze na tej ulicy był kryminał. I jeszcze dopowiadał, że ja będę jak Januszek z tego serialu „Ballada o Januszku".

Pamiętam ten serial, wywarł na mnie bardzo silne wrażenie. Bardzo nie chciałem być Januszkiem.

Ojciec wzorców mi nie dał. Na pewno nie takie, które warto byłoby przekazać dalej. Mama pierwszą rozmowę o seksie odbyła ze mną, jak miałem 19 lat i właśnie zostałem ojcem. Można powiedzieć, że się spóźniła o parę miesięcy. Ale tak na serio, to spóźniła się o jakieś 10 lat. U mnie kwestie seksu były od początku bardzo pogmatwane. Szukałem mocnych wrażeń. Ale to nie tylko ja tak miałem. Ten filmik „Linie 606" najpierw oglądaliśmy z kolegami, można powiedzieć, tak normalnie. A później to już regularnie się zbiorowo do niego onanizowaliśmy.

Szukał pan mocniejszych wrażeń?

W seksoholizmie to standard. Dostajesz coś, sięgasz po więcej. W latach 90. branża porno wjechała do Polski na pełnej bombie. Monika Orłowski, gwiazda niemieckiej pornografii z polskimi korzeniami, rządziła naszą wyobraźnią.

W cuglach wygrałaby każde wybory w tym kraju, taka była wtedy popularna.

Cicciolina, inna gwiazda filmów dla dorosłych, weszła do włoskiego parlamentu. Bardzo utalentowana aktorka. Znałem sporą część jej dorobku, że tak powiem, scenicznego. Tyle że internet przeorał nie tylko takie nazwiska, ale też całą branżę i ludzkie mózgi. Dostępność tych treści, ale też ich różnorodność, była przygniatająca. No i pojawiały się coraz mocniejsze treści. Już nie pan i pani. Pan i dwie panie czy jedna pani i pięciu panów, ale też jakieś zwierzęta. Ja w takich filmach nie nurkowałem.

A w takich z dziećmi?

Tym bardziej. Nigdy nie szukałem takich treści i nigdy się na nie natknąłem. Jeśli już, to jakieś udawanki w stylu młoda dziewczyna udająca dużo młodszą. Sądząc po liczbie takich filmików, muszą się cieszyć sporą popularnością.

A co jeszcze się cieszy popularnością?

Ja na przykład lubiłem filmy z kobietami dojrzałymi.

Obecnie trzecia pozycja w rankingu wyszukiwań w Polsce. W ostatnim czasie wzrost rok do roku o 600 proc.

Czyli byłem modny, zanim się to stało modne. A tak serio, to oglądałem też dużo treści gejowskich, więc raczej nie byłem standardowym polskim odbiorcą.

Jeśli wpisywałeś, żeby to były treści ze słowem Polska, np. polscy geje, to byłbyś bardzo w mainstreamie, bo Polacy nawet w pornografii szukają polskości.

Nie wpisywałem słowa Polska, polskie ani polskość. Szukałem czegoś innego. Był taki moment, że mocno wpadłem w treści ocierające się o poniżanie. Chyba nie ma sensu wchodzić w szczegóły. Doszło do tego, że miałem takie momenty, że zacząłem się tego bać. Zacząłem się bać samego siebie w tym wszystkim. Wchodzisz w to, tarzasz się w tym, masz z tego jakąś frajdę. Ale w tym samym momencie czujesz się brudny, czujesz się jak szmata. Wszystko jednocześnie. Ciężkie tematy.

A to wszystko jest na wyciągnięcie ręki, nie trzeba nawet płacić.

Rachunek wystawia ci później życie. Ale na początku wchodzisz w to, bo czemu nie. Swoją pierwszą gazetkę gejowską kupiłem chyba w 2002 czy 2003 r. Zdecydowałem się tylko dlatego, że byłem w delegacji, w obcym mieście. A i tak myślałem, że dostanę zawału. Poprosiłem. Złapałem to i nawet nie zabrałem reszty. To były takie emocje. Teraz mogą się wydawać śmieszne. Ale dziś są inne czasy.

Są takie czasy, że z badań wynika, że co piąty chłopiec w wieku od 12 do 14 lat regularnie ogląda pornografię. To tam uczą się wzorców, tam budują swoje oczekiwania wobec swoich dziewczyn.

Nie jestem specjalistą, nie jestem seksuologiem, nie będę się wymądrzał. Wiadomo, że tam nie ma wzorców, że to nierealne. Ale też rozumiem, że ktoś się nabiera, że ma później jakieś wyobrażenia. Zresztą

eprasa.pl 56e4ba20b9

sama branża w to mocno wchodzi. Jest całe mnóstwo filmików sprzedawanych jako „gorące taśmy z ukrytej kamery" albo „nie wiedzieli, że w biurze jest monitoring". Albo filmy udające, że zaczepiają dziewczyny na ulicy i proponują im tysiąc euro za numerek. I one się godzą, ale udają, że jednak się trochę wstydzą. Myślę, że wielu facetów to może mocno podniecać.

Rosjanie się w tym specjalizowali. Polską specjalnością byli normalsi – „on z brzuchem, a ona z kożuchem". Pisałem kiedyś tekst o parze, która grała w takich filmach. Powiedzieć, że byli przeciętnej urody, to nic nie powiedzieć. Ale w Japonii film z nimi miał spore wzięcie. Klienci chwalili, że ona nie była wydepilowana, a on dobrze zbudowany. No i miał brudne stopy, co również zostało docenione, bo było sygnałem, że to naturalna produkcja, a nie jakaś kolejna taśmowa szmira.

W pornografii nie ma dziś tabu. Co wpiszesz, to dostaniesz.

Czego ludzie tam szukają?

Emocji. Szczęścia, przyjemności, sam pan wie czego. Tego, czego chcą w życiu.

I można to tam znaleźć?

Teraz wiem, że nie można. Albo inaczej – to, co znajdujesz, udaje, że jest tym, czego szukałeś. Tak jak aktorki udają orgazmy.

Wie pan, my wszyscy nie byliśmy na to przygotowani. W 1989 r. nagle zrobiliśmy przeskok z komunizmu w kapitalizm. To był skok na głęboką wodę. W swojej pierwszej pracy zarabiałem naprawdę duże pieniądze. Dużym kosztem, ale wtedy tego tak nie liczyłem. Miałem służbowy samochód, służbowego laptopa i nielimitowany dostęp do internetu. Każdej nocy spałem w innym hotelu.

A żona?

Zdradzałem ją na wszelkie możliwe sposoby. Z czego nie jestem dumny, czego się wstydzę. Ale tak było. I jeśli mam nie żyć w kłamstwie, to muszę teraz to wszystko opowiedzieć. Te filmy bardzo namieszały mi w życiu, namieszały mi w głowie. Jak się ma jakieś obrazki z 20 chłopakami w jednym filmie, to może pan sobie wyobrazić, co się tam działo. Miałem wrażenie, że mózg od tego eksploduje.

A w domu jedna zwykła żona.

Ludzie, którzy nałogowo sięgają po pornografię, żyją w dwóch różnych światach.



Dominik Mądrachowski

To jest jak schizofrenia, bo oczekiwania z jednego świata zaczynają przenikać do drugiego. Te światy zaczynają przeciekać.

W ramach reportażu wcieleniowego nająłem się kilka lat temu do pracy w sex shopie. Kilka lat za późno, bo branża już była w zgliszczach po tym, jak zrujnował ją internet. Ale pamiętam, że największą grupą klientek były młode, pod każdym względem przeciętne dziewczyny, które przychodziły kupić dildo, bo chłopak się naoglądał filmów dla dorosłych i chciał, żeby w ich sypialni było tak samo jak w filmach.

W związku podstawą jest szczerość. Ja pięć lat temu o wszystkim żonie powiedziałem. Zaakceptowała mnie takim, jakim jestem. Myślę, że ta jej akceptacja dała mi siłę, żeby coś z tym zrobić, żeby pójść na terapię. Każdemu to doradzam. Życie w kłamstwie jest koszmarne.

Polacy są 12. konsumentami treści porno na świecie. Można powiedzieć, że w pornograficznym G-20 mamy mocną i niezagrożoną pozycję. A jednocześnie politycy stają na głowie, żeby czasem nie wprowadzić edukacji seksualnej w szkole. No to dzieci mają edukację z internetu.

Ja jeszcze parę lat temu opowiadałem, że pornografia jest świetna, że to właśnie edukuje, pokazuje różne ludzkie potrzeby. Dziś wiem, że to były potrzeby fałszywe, bo jak już poznawałem jakąś dziewczynę czy chłopaka, to w zasadzie nie interesowało mnie, jacy oni są, ale jak ich przelecieć. Takie miałem w głowie mechanizmy, tak się sam zaprogramowałem całym tym gównem, które sobie wciskałem przez ponad 30 lat do oczu i głowy. To jest długa droga, żeby się z tego oczyścić, uwolnić. Nie wystarczy po prostu zablokować sobie telefonu. Ja np. nie mam już smartfona. Wcześniej miałem telefon niemal przyklejony do ręki. Wrzucasz sobie jakiś szybki filmik, bo czemu nie. Miliony facetów tak funkcjonują.

I ok. 3,5 mln kobiet w Polsce.

O tym nie miałem pojęcia. Szczerze mówiąc, myślałem, że mniej.

To wszystko jest szara strefa. Szacunki są ogólne. Temat mało opisany, ale ludzie są samotni. Dla wielu filmik jest prostym sposobem na podniecenie.

Terapia otworzyła mi oczy nie tylko na problem, ale i na siebie. Mój mózg potrzebuje chyba silnej stymulacji. Jak przestałem pić, to zacząłem kompulsywnie kupować płyty winylowe. Potrafiłem wydać na to 5 tys. zł miesięcznie. A później ich nawet nie słuchałem. Zresztą do dziś zmagam się z zakupoholizmem. Później zacząłem biegać. Ale tak ekstremalnie, że porobiłem sobie straszną krzywdę. O mało kaleką nie zostałem.

Do czego pan zmierza?

Do tego, że przez całe życie z jednego nałogu przeskakiwałem w drugi. Z jednego mocnego doznania w drugie. Wszystko na maksa. A dziś wiem, że to była maska, ucieczka. Że czułem się gorszy, niekochany, bez wartości. Ta rozmowa to jest taka moja pokuta. Takie ostrzeżenie, że jak ktoś siedzi w tym samym gównie, to niech szuka w sobie siły, żeby się z niego wygrzebać, bo prawda jest taka, że w tym świecie pornografii tak naprawdę nic nie ma. Jest tylko wielka pustka. Wielka czarna dziura zasysająca energię.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ ĆWIELUCH

W Polsce nie ma infolinii pomocowej dedykowanej tylko dla osób uzależnionych od pornografii, ale można z takimi problemami dzwonić na ogólną infolinię uzależnień behawioralnych na numer 801 889 880, codziennie w godz. 16–21 (również w weekendy). Pomocy można również szukać pod adresem internetowym: uzaleznieniabehawioralne.pl.

© MAGA ĆWIELUCH

eprasa.pl 56e4ba20b9

Ile złotych za srebro?

Zdobywców olimpijskich medali i miejsc blisko podium czeka w kraju jeszcze jeden, decydujący wyścig – do kasy po premie, nagrody i stypendia. Bywa morderczy.

MARCIN PIĄTEK

19-letni Kacper Tomasiak trzy razy skoczył na igrzyskach olimpijskich po medale. I rozbił bank. Przed startem imprezy Polski Komitet Olimpijski obiecał medalistom rekordowe nagrody za medale: 500 tys. zł za złoto, 400 tys. za srebro i 300 tys. za brąz. Do tego jeszcze dojść miały środki w nowej kryptowalucie, powołanej do życia po pozyskaniu sponsora z tej branży, za co prezes PKOl Radosław Piesiewicz był tak wdzięczny, że zrównał w prawach patronów komitetu nowego dobroczyńcę, czyli firmę zondacrypto, z Janem Pawłem II. Medalistom obiecano za złoto, srebro i brąz tokenową równowartość odpowiednio 250, 200 i 150 tys. zł.

Narciarski skok na ministerstwo

Tomasiak jeszcze nie zdążył ochłonąć po swoich wyczynach na igrzyskach (zdobył srebro i brąz w konkursach indywidualnych oraz srebro w duecie z Pawłem Wąskiem) i przyzwyczaić się do nagłego bogactwa (zarobił na nagrodach PKOl łącznie 1,45 mln zł), gdy podczas wizyty w studiu TVN przedstawiciel sponsora PKOl, tym razem z branży deweloperskiej, dołożył mu klucze do dwupokojowego mieszkania pod Warszawą, wycenianego na mniej więcej 800 tys. zł. Pierwotnie taka nagroda miała przysługiwać tylko za złoty medal, ale sponsor uznał, że medale Kacpra są jak złoto i własne cztery kąty mu się należą.

Tej góry pieniędzy młody multimedalista dotąd jednak nie dostał, gdyż prezes Piesiewicz rwał się do obietnic, ale teraz twierdzi, że nie ma z czego wypłacić nagród. Podobnie było po igrzyskach w Paryżu, a medaliści czekali na pieniądze pół roku. Wówczas prezes ogłosił, że to wina spółek Skarbu Państwa. W związku z rażącym brakiem przejrzystości w wydatko-



Kacper Tomasiak zdobył dwa srebrne medale olimpijskie w skokach narciarskich. I jeden brązowy.

eprasa.pl 56e4ba20b9

waniu przez Piesiewicza przekazanych przez państwowe firmy 66 mln zł (do związków sportowych trafiła co najwyżej połowa tej kwoty, gdzie się podziała reszta – nie wiadomo do dziś), wypowiedziały one bowiem umowy sponsorskie.

Teraz z kolei winny jest Polkomtel, który na początku lutego zerwał współpracę z PKOl. Firma już jesienią zapowiedziała, że nie chce mieć z firmowanym przez Piesiewicza PKOl nic wspólnego, i rozpoczęła proces ewakuacji, co jednak nie przeszkodziło prezesowi obiecać przyszłym medalistom astronomicznych wypłat. W końcu kierowany przez niego komitet ma również kilku innych sponsorów, w tym województwo lubelskie (po linii politycznej, marszałkiem jest tam Jarosław Stawiarski z PiS, z kasy województwa poszło do PKOl już niemal 11 mln zł), a od niedawna wspomnianą kryptowalutową giełdę, która miała sypnąć groszem. Coś chyba z tym nie wyszło, bo na nagrody nie ma, ale wystarczyło na podwyżkę dla Piesiewicza (do 58 tys. miesięcznie). Konflikt Piesiewicza z Polkomtelem okazał się zresztą dla medalistów oraz dla dwukrotnie czwartego na igrzyskach panczenisty Damiana Żurka opłacalny, gdyż komórkowy operator niespodziewanie ogłosił przyznanie im nagród za wyniki (od 100 do 275 tys. zł), dając jasno do zrozumienia: nas stać na premiowanie mistrzów, a prezes PKOl jest goły i niewesoły.

Na razie Tomasiak, pozostali zimowi medaliści olimpijscy (skoczek Paweł Wąsek i panczenista Władimir Semirunnij) oraz inni sportowcy, którzy na włoskich igrzyskach zajęli miejsca w pierwszej ósemce, mogą być pewni wypłat z Ministerstwa Sportu. Kacper i tu rozbił bank – jako podwójny medalista spełnił kryteria wypłaty nagrody specjalnej (163 tys.), a za srebro będzie inkasował ministerialne stypendium – co miesiąc 15,4 tys. Stypendia te wahają się obecnie od 6,7 tys. za miejsce ósme do 17 tys. za złoto i wypłacane są przez dwa lata dla medalistów i przez półtora roku dla zdobywców premiowanych miejsc za podium.

Stypendia przysługują również za miejsca 1–8 na imprezach rangi mistrzowskiej, ale to olimpijskie wyczyny ministerstwo ceni najwyżej – za tytuł mistrza świata przewidziano 11 tys. zł, tyle co za piąte miejsca na igrzyskach. Panczenista Damian Żurek, który na igrzyskach przegrał o setne części sekundy nie tylko medal, lecz także prawo do olimpijskiej emerytury (wypłacanej po ukończeniu 40. roku życia niezależnie od koloru zdobytego medalu; obecnie wynosi ona 5,1 tys. zł), na otarcie łez dostanie przez najbliższe półtora roku niemal 12 tys. co miesiąc.

Z jego punktu widzenia – przedstawiciela niszowej dyscypliny, mającej swoje pięć minut tylko przy okazji igrzysk – oznacza to małą stabilizację. Nagrody za zwycięstwo w zawodach Pucharu Świata zaczynają się od 750 dol. Dla porównania za wygraną w zawodach Pucharu Świata w narciarstwie alpejskim dostaje się 55 tys. euro, w biathlonie 20 tys. euro (w obu dyscyplinach stawka jest taka sama dla mężczyzn i kobiet), a w skokach narciarskich 15 tys. franków (kobiety otrzymują prawie trzy razy mniej). Kacper Tomasiak ani razu nie stanął w tym sezonie na podium pucharowych zawodów, ale i tak na jego koncie widnieje premia w wysokości 60 tys. franków.

Polskie medalowe dyscypliny olimpijskie, czyli skoki narciarskie i łyżwiarstwo szybkie, to dwa światy, jeśli chodzi o finansowe realia przekładające się na stan posiadania zawodników. Z pozoru to paradoks, bo na łyżwach jeżdżą rekreacyjnie miliony, a na nartach skaczą tylko zawodowcy (lub kandydaci na nich), a choć skoki uprawiane są na poważnie w pięciu krajach na krzyż (w przeciwieństwie do łyżwiarstwa), to jednak dużo lepiej sprzedają się w telewizji, a dynastia polskich mistrzów tej specjalności, na czele z Adamem Małyszem i Kamilem Stochem, przyciągnęła potężnego sponsora, czyli Orlen, który przelewa na konto Polskiego Związku Narciarskiego 15 mln zł rocznie.

PZN musiał się przy okazji igrzysk tłumaczyć z tego, że Eliza Rucka-Michałek, która morderczy dystans biegowego maratonu na 50 km sensacyjnie skończyła na ósmym miejscu, przygotowywała się do igrzysk na własną rękę i dzięki zbiórce w mediach społecznościowych pozyskała 30 tys. zł. Według działaczy brak finansowania dla Elizy wynikał z obranej przez nią drogi przygotowań poza kadrą. A gdyby się nie separowała i spełniła wynikowe minimum, wystarczyłoby i dla niej. PZN stać bowiem nie tylko na zabezpieczenie potrzeb kadrowiczów, ale i własne stypendia dla zawodników oraz klubów, co jest w polskich sportach zimowych rzadkością. Jak informuje Tomasz Grzywacz, sekretarz generalny PZN, co roku na tzw. wsparcie środowiska (w zamian za wyniki) przeznaczone jest łącznie 2 mln zł, ok. 30 proc. kwoty trafia bezpośrednio do zawodniczek i zawodników, poza tym w sezonie olimpijskim najlepsi na igrzyskach otrzymują dodatkowe premie. Więc i tutaj Tomasiak odetnie największy kawałek tortu.

Zawsze wygrywają działacze

Polski Związek Łyżwiarstwa Szybkiego żadnych nagród ani premii dla swoich podopiecznych nie funduje, gdyż jego państwowy patron, Polska Grupa Energetyczna, wspiera go kwotą niespełna 1 mln zł. W 2022 r. federacja panczenów zarobiła na tzw. innych przychodach statutowych, czyli w praktyce od sponsorów (w tym PGE), 3,8 mln. Piesiewicz szedł do władzy w PKOl, obiecując, że od państwowych spółek załatwi związkom sportowym 300 mln zł. Jak wyszło na tym łyżwiarstwo szybkie, widać gołym okiem, jednak prezes panczenów Rafał Tataruch uchodzi za jednego z mocnych stronników obecnego układu w PKOl i podczas ostatniego prezydium głosował za podwyżką pensji dla Piesiewicza.

Towarzystwo wzajemnej adoracji sportowych działaczy na czele z Piesiewiczem ma się świetnie, tymczasem pomny biedarealiów w panczenach Damian Żurek musi po igrzyskach kuć żelazo póki gorące. Czyli znaleźć sponsora. W tym celu wynajął menedżerkę Aidę Bellę, byłą reprezentantkę Polski w short-tracku, która swego czasu zyskała ogólnopolską rozpoznawalność, biorąc udział wraz z koleżanką z toru Martą Wójcik w sesji dla „Playboya". Komentowano to wówczas z przekąsem, że na polskim lodzie jest taka bieda, że reprezentantki kraju muszą rozbierać się przed obiektywem. Było w tym trochę racji (bohaterki opowiadały o tym w POLITYCE 46/13), zwłaszcza że Aida i Marta, jak również kilkoro innych zimowych olimpijczyków mających w perspektywie igrzyska w 2014 r. prowadzili internetową zbiórkę pod hasłem „X dni do Soczi".

Dotychczasowe wysiłki menedżerki, by znaleźć dla Damiana prywatne wsparcie, spełzły na niczym. Teraz, korzystając z popolimpijskiej rozpoznawalności oraz mając w dorobku pucharowe zwycięstwa i indywidualny brąz mistrzostw świata, jak również renomę człowieka, który doszedł do tego ciężką pracą, 26-letni Damian dysponuje przynajmniej argumentami na swoją korzyść. Jednak sześć lat temu, gdy dopiero wchodził do kadry narodowej, wciąż mieszkał z rodzicami w Tomaszowie ▶

© MADDIE MEYER/GETTY IMAGES

eprasa.pl 56e4ba20b9

▶ Mazowieckim i rozważał pracę na nocki w piekarni, żeby pogodzić to z treningami. Był wówczas bez grosza, bo z powodu pandemii nie odbywały się zawody i pozbawiono go stypendium od miasta. W końcu wyprosił wsparcie u lokalnego przedsiębiorcy Leszka Anteczka, producenta przyczep i lawet. Ale była to pomoc na miarę możliwości, uzależniona od tego, jak idzie biznes sponsora.

Żeby łyżwiarz nie został na lodzie

Przedstawiciele sportów niszowych skazani są na ciułanie środków na życie i zawodowe potrzeby, a powodzenie tej misji zależy od operatywności, znajomości oraz miejsca zamieszkania (wysokość stypendiów samorządów jest wprost uzależniona od zasobności gminy lub miasta) oraz podjęcia studiów, najczęściej na akademiach wychowania fizycznego (kolejne stypendia).

Przy okazji włoskich igrzysk znów dało się słyszeć lamenty reprezentantów kraju, którzy twierdzili, że trwają przy zawodowym sporcie tylko siłą rozpędu, a działacze sabotują ich kariery, skąpiąc na lepszy sprzęt.

Tym razem przodowali w tym saneczkarze. Zdzisław Ingielewicz, prezes saneczkowego związku, mówił w wywiadach, że najlepsi zawodnicy mieli wszystko, czego potrzebowali, łącznie z robionym na zamówienie sprzętem, dopasowanym również do ich aktualnych umiejętności, a na przygotowania kadry seniorów poszła rocznie ponad połowa budżetu związku, 2,3 mln zł. I że skoro satysfakcjonujących wyników nie ma, a zawodnicy, których stypendia oscylują wokół 10 tys. zł miesięcznie, są wiecznie niezadowoleni, to może kadrę seniorów należy rozwiązać, a wygospodarowane w ten sposób pieniądze przeznaczyć na najzdolniejszych juniorów, w perspektywie kolejnych zimowych igrzysk? I że to powinno być nowe otwarcie dla nowych ludzi, bo prezes Ingielewicz zadeklarował przy okazji, że w maju odchodzi ze stanowiska.



Panczenista Damian Żurek wrócił z igrzysk bez medalu. I szuka sponsora.

Jeśli chodzi o prywatne wsparcie sponsorskie, wszystko zależy od popularności i prestiżu konkretnej dyscypliny, jej obecności w telewizyjnych transmisjach oraz siły przyciągania widzów. Dlatego na innym biegunie są przebierający w reklamowych ofertach skoczkowie (tu Kacper Tomasiak też się obłowi) czy alpejka Maryna Gąsienica-Daniel, ciesząca się wsparciem firm z branż ubezpieczeniowej i budowlanej, a na innym biathloniści, panczeniści albo biegacze narciarscy, którzy co najwyżej reklamują w mediach społecznościowych odżywki białkowe lub sprzęt, wypełniając w ten sposób układ barterowy. W ich przypadku kasa z reklamowego skarbca może się otworzyć dopiero po olimpijskim medalu. Panczenista Zbigniew Bródka przed igrzyskami w 2014 r. również zbierał pieniądze na dofinansowanie przygotowań w ramach akcji „X dni do Soczi", ale gdy został tam mistrzem, reklamował mleko i golarki. Zastrzyk finansowy był słuszny, ale nie na tyle, żeby przeistoczyć go w rentiera; mistrz Bródka w dalszym ciągu jest zawodowym strażakiem.

Model równoległej kariery – obok zawodowego sportu pełen etat – jest zalecany jako najlepszy sposób na stabilny dochód i pomysł na siebie w posportowym życiu. Żeby jednak pogodzić treningi, zgrupowania, wyjazdy i starty z pracą na pełen etat, jak Bródka, który w ciągu miesiąca miał siedem i pół 24-godzinnych dyżurów w swojej strażackiej jednostce, trzeba nie lada determinacji i zdolności organizacyjnych.

Najprostsza i najbardziej atrakcyjna z punktu widzenia sportowców droga wiedzie przez inny mundur: wojskowy. Obecnie w skład Centralnego Wojskowego Zespołu Sportowego wchodzi ponad 200 zawodowych sportowców. – *A chętnych jest o wiele więcej. Trzeba przejść szkolenie zakończone przysięgą, otrzymać rekomendację macierzystego związku sportowego, mieć odpowiednie wyniki, dostać pozytywną ocenę komisji kwalifikacyjnej, a ostateczną decyzję o wcieleniu podejmuje dyrektor Centrum Operacyjnego MON* – mówi sierż. Magdalena Piekarska-Twardochel, rzeczniczka prasowa CWZS, a w poprzednim wcieleniu utytułowana szpadzistka.

Armia chwali się swoimi olimpijczykami – na włoskich igrzyskach było ich w 59-osobowej reprezentacji aż 21. Damian Żurek jest szeregowym Wojska Polskiego od grudnia, na akceptację wniosku czekał niemal dwa lata. Formalnie rzecz biorąc, wcieleni do tego zespołu pełnią służbę, ale w praktyce nie jest to etat z prawdziwego zdarzenia. – *Sportowcy są ambasadorami Wojska Polskiego w kraju i za granicą, przechodzą szkolenia ogólne i specjalistyczne. Są gotowi do realizacji żołnierskich zadań. W razie konieczności idą pod broń, przecież każdy z nich przysięgał* – dodaje sierż. Piekarska-Twardochel.

Prawdziwa jest za to pensja – szeregowy dostaje na początek 6,5 tys. zł brutto. Kusi też perspektywa kontynuacji służby w armii po zakończeniu sportowego życia, na razie w wojskowych strukturach pozostało 30 byłych podopiecznych CWZS. Finansowa stabilizacja, jaką oferuje wojsko, jest bardzo pożądana, gdyż stypendia, nagrody i premie nie są brane pod uwagę przy ocenie zdolności kredytowej. Kacper Tomasiak pytany o to, na co wyda miliony, jeśli w końcu się ich doczeka, odpowiadał, że pewnie zainwestuje w nieruchomości. Dla takiego Damiana Żurka etat w wojsku otwiera możliwość zaciągnięcia kredytu na mieszkanie. Ciasne, ale własne. Na lodzie nie byłby w stanie na nie odłożyć. Ale w Polsce do panczenów nikt nie idzie dla pieniędzy.

MARCIN PIĄTEK

© DEFODI IMAGES/GETTY IMAGES

eprasa.pl 56e4ba20b9

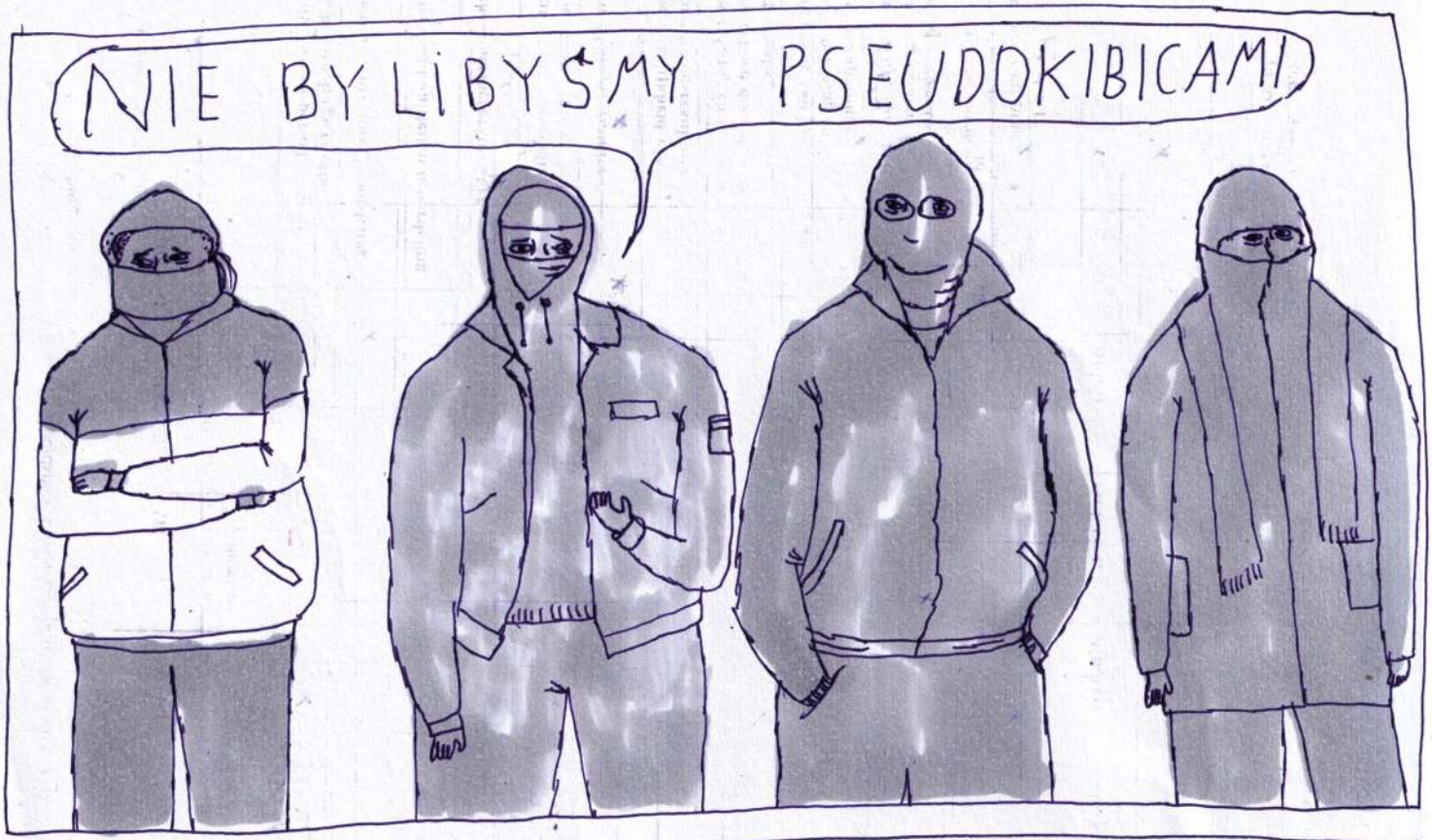



JANEK KOZA DLA tokfm

Na każdy temat z każdej strony
tokfm

eprasa.pl 56e4ba20b9

Jak Polacy Niemców wykupują

CEZARY KOWANDA

Ogromny, wciąż bogaty rynek – i sporo okazji do przejęć od właścicieli odchodzących na emerytury. Polscy przedsiębiorcy mają szanse za Odrą, jeśli nie przestraszą się biurokracji i twardo negocjujących pracowników.



© PAP/SEBASTIAN WILLNOW/DPA

Zaczęło się od obserwowania i dyskretnych rozmów. Mało znany w Polsce, ale za to bardzo istotny na niemieckim rynku HeiterBlick z Lipska szukał inwestora. Dotychczasowy właściciel spółki specjalizującej się w produkcji tramwajów zamierzał sprzedać firmę, a jego decyzję z pewnością przyspieszyły kłopoty z realizacją kontraktów. Z powodu opóźnień w dostawach tramwajów dla kilku niemieckich miast HeiterBlick potrzebował wsparcia. – *Do pierwszej fazy przetargu zgłosiło się dziesięć firm, w tym Pesa. Dlaczego to my ostatecznie wygraliśmy? Przekonaliśmy właściciela, że chcemy utrzymać produkcję tramwajów w Niemczech i będziemy solidnym partnerem. Pokazaliśmy, jak dobrze Pesa i HeiterBlick się uzupełniają. Oni mają świetne możliwości montażowe, a my produkujemy konstrukcje pojazdów, których niemiecka firma sama nie wytwarza i między innymi z tego powodu miała kłopoty, gdy zawiedli jej dostawcy* – wyjaśnia Krzysztof Zdziarski, prezes bydgoskiej Pesy, jednego z najważniejszych producentów tramwajów i pociągów w Europie Środkowo-Wschodniej.

W poprzedniej dekadzie sama Pesa miała poważne kłopoty. Uratowało ją upaństwowienie i wejście pod skrzydła Polskiego Funduszu Rozwoju. Teraz Pesa ratuje innych. Kwota przejęcia nie została ujawniona, ale HeiterBlick jest wyceniany na 100–150 mln euro. Dla Pesy to świetna okazja, bo do tej pory nie dostarczała tramwajów na niemiecki rynek. – *A jest on zdecydowanie największy w Europie, tramwaje jeżdżą w ok. 40 niemieckich miastach. Produkty HeiterBlick są bardzo dobrze zaprojektowane i starannie wykonane. Widać wysoką kulturę techniczną i rozwiązania przyjazne dla pasażerów. Z pewnością część z nich zastosujemy także w naszych tramwajach. Co ważne, nie ma tu ryzyka kanibalizacji. HeiterBlick oferuje np. pojazdy wysokopodłogowe, dostosowane do wyższych peronów, jakich my dotąd nie wytwarzaliśmy, bo nie było na nie popytu w Polsce* – mówi Krzysztof Zdziarski, który ma nadzieję, że dzięki tej transakcji Pesa wejdzie nie tylko na rynek niemiecki, ale także belgijski czy holenderski.

Takich okazji przybywa. – *Podstawą gospodarki niemieckiej jest Mittelstand, czyli średniej wielkości firmy, często o charakterze rodzinnym. Mówimy o nich często „hidden champions", czyli ukryci mistrzowie. To właśnie dzięki takim przedsiębiorstwom Niemcy odniosły ogromny sukces gospodarczy. Ale teraz właściciele idą na emeryturę i szukają następców. Niektórzy nie mają dzieci, w innych przypadkach kolejne pokolenie nie jest zainteresowane dalszym prowadzeniem firmy. Widziało bowiem na przykładzie rodziców, jak wielkich poświęceń to wymaga. Pozostaje zatem szukanie zewnętrznego inwestora. Najbardziej ceni się działającego w tej samej branży, który obiecuje utrzymać produkcję i miejsca pracy* – wyjaśnia dr Peter Slawek, ekspert z firmy konsultingowej KERN – Zukunft für Lebenswerke, który doradza niemieckim właścicielom szukającym inwestorów.

Podobnie jak Pesa także Colian wykorzystał na niemieckim rynku swoją dotychczasową pozycję i renomę. Firma specjalizująca się w produkcji słodyczy (należą do niej m.in. marki Jutrzenka, Goplana i Grześki) nawiązała w 2025 r. kontakt z niemiecką spółką Gubor Schokoladen. – *Byli otwarci na inwestora, który nie traktuje przejęcia wyłącznie finansowo i jest gotowy zadbać o ich dalszy rozwój. Nasze cele okazały się więc zbieżne. Ponadto oferta produktów Colian i Gubor Schokoladen idealnie się uzupełnia. My dostarczamy wysokiej jakości produkty markowe, a strona niemiecka znana jest z pysznych wyrobów okazjonalnych. Ponadto przekonaliśmy dotychczasowych właścicieli wizją współpracy. Od początku zależało nam, żeby Gubor Schokoladen nie był zarządzany zdalnie z Polski, lecz stał się ważną częścią naszego koncernu* – podkreśla Jan Kolański, założyciel i prezes Grupy Colian. Formalnie Polacy i Niemcy po zawarciu porozumienia mówili o fuzji, ale w rzeczywistości to raczej przejęcie, bo dominującym podmiotem jest Colian.

Przez lata scenariusz był raczej odwrotny – to Niemcy przejmowali polskie firmy i inwestowali w naszym kraju. Czy nowa rzeczywistość nie jest dla nich problemem? – *Reakcje na potencjalnych inwestorów z Polski bywają oczywiście różne. Przede wszystkim dlatego, że wiedza w Niemczech o Polsce jest wciąż bardzo niewielka. Stereotypy biorą się często właśnie z tego, że wschodni sąsiad pozostaje nieznany. Do tego dochodzą pewne różnice w mentalności. Współpracowałem np. z niemiecką firmą z branży grzewczej, która szukała inwestora. Był polski partner zainteresowany przejęciem, ale obie strony już na starcie miały inne oczekiwania. Niemcy chcieli najpierw usłyszeć kwotę, jaką oferują Polacy. A Polacy nalegali, by najpierw odwiedzić niemiecką firmę, poznać ją i dopiero potem rozmawiać o pieniądzach. Z transakcji nic nie wyszło, bo żadna ze stron nie chciała ustąpić* – wspomina dr Slawek.

eprasa.pl 56e4ba20b9



Spółka HeiterBlick z Lipska to znany producent tramwajów. Na początku tego roku przejęła ją bydgoska Pesa.

Jeżeli jednak przezwyciężymy się pierwsze problemy, okazji do przejęć w Niemczech nie brakuje. Także dlatego, że tamtejsza gospodarka od kilku lat pogrążona jest w marazmie – dopiero w tym roku powinien pojawić się zauważalny wzrost gospodarczy. Dzięki temu wycena niemieckich firm może być atrakcyjna, a polskie pochodzenie inwestora niekoniecznie przeszkadza. – *W niektórych przypadkach może nawet pomóc, bo dziś bardzo wielu chętnych do przejęć to firmy chińskie. Niemieccy właściciele zazwyczaj nie chcą sprzedawać swojego biznesu Chińczykom, w takiej konkurencji firma z Polski ma duże szanse na wygraną. Zwłaszcza gdy planuje utrzymanie produkcji w Niemczech i jest z tej samej branży* – podkreśla Peter Slawek.

Tego typu transakcją było ubiegłoroczne przejęcie niemieckiej Grupy GALA z siedzibą w Ansbach przez polską Grupę Trend, w której skład wchodzi radomska huta szkła Trend Glass działająca od 2003 r. Niemiecka firma specjalizuje się w produkcji świec, zapachów do wnętrz i dekoracji domowych. Wśród jej odbiorców są znane sieci handlowe, jak Ikea, Carrefour czy Action. Grupa GALA zatrudnia ponad 3 tys. osób, ma zakłady produkcyjne w Niemczech, Polsce, na Węgrzech i w Indiach, a jej roczne przychody to ponad 200 mln euro. Aby transakcja doszła do skutku, Grupa Trend dostała wsparcie od Polskiego Funduszu Rozwoju. Przejęcie okazało się ukoronowaniem wieloletniej współpracy Polaków i Niemców. Trend Glass produkuje m.in. słoje do świec, które wykorzystuje GALA.

Samo przejęcie nie jest oczywiście gwarancją sukcesu. Owszem, daje dostęp do ogromnego i wciąż bardzo bogatego rynku. Pozwala obejść wiele formalnych przeszkód, jakie są związane z rozwojem od zera. Jednak równocześnie wyzwań nie brakuje. Należą do nich wysokie ceny energii i koszty pracy.

– *Jakkolwiek szokująco to zabrzmi, uważam, że pod wieloma względami Niemcy są dzisiaj gorzej rozwinięte od nas. Widać to choćby w bankowości, gdzie obsługa klientów przypomina nasze rozwiązania z lat 90. Długa i trudna jest procedura finansowania leasingowego, a kryteria dostępu do kredytów są mocno wyśrubowane. Pracownicy bardzo cenią sobie różne socjalne przywileje i nie widzą, że kondycja ich gospodarki jest dużo gorsza niż kilkanaście lat temu. Patrzą na to, co pracodawca może im dać, a już nie na to, co oni mogą dać pracodawcy. Mamy w firmie program rotacyjny: część pracowników z Polski jeździ do Niemiec wspomagać tamtejszą kadrę i uczyć ich nowoczesnych rozwiązań, np. w zakresie sprzedaży* – opowiada Dariusz Cegielski, prezes firmy transportowej Trans Polonia, która od kilku lat ma spółkę córkę w Niemczech.

Inwestujący u zachodniego sąsiada muszą być przygotowani na starcie z legendarną niemiecką biurokracją. Czy to przeszkoda nie do pokonania? – *Niemcy są bardzo uporządkowanym rynkiem, z dużą liczbą procedur, regulacji i formalności. To bywa czasochłonne, ale z drugiej strony daje dużą przewidywalność. Jeśli ktoś jest przyzwyczajony do działania na skróty, może być sfrustrowany. My wolimy patrzeć na to jak na element stabilności systemu, który w długim okresie pomaga w planowaniu inwestycji. Od Niemców możemy na pewno uczyć się organizacji pracy, dyscypliny procesowej i konsekwencji w realizacji planów. Tam rzadziej spotyka się improwizację, wszystko jest dobrze poukładane. Z kolei polskie firmy często wygrywają elastycznością, szybkością podejmowania decyzji i umiejętnością działania w zmiennym otoczeniu. Mamy duże doświadczenie w radzeniu sobie w niestabilnych warunkach rynkowych, a to jest dzisiaj cenna kompetencja* – mówi Jan Kolański.

Wejście na niemiecki rynek nie jest ani tanie, ani proste. Jednak pod jednym względem polscy przedsiębiorcy mają u naszego zachodniego sąsiada łatwiej niż niemieckie firmy w Polsce. U nas partie prawicowe z PiS na czele ze swojej antyniemieckiej retoryki uczyniły oręż w walce o wyborców i wykorzystuję każdą okazję, aby nawoływać, by Polacy od Niemców niczego nie kupowali – bez względu na to, czy chodzi o sprzęt wojskowy, o pociągi czy o żywność. Na szczęście dla naszych firm politycy za Odrą nie prowadzą takiej kampanii nienawiści wobec polskich produktów czy przedsiębiorców. Inwestowanie w Niemczech to nie tylko szansa na rozwój, ale także na pokazanie, że polskie firmy – w przeciwieństwie do wielu polskich polityków – nie mają kompleksów. ■

eprasa.pl 56e4ba20b9



Partia armia

Obwód charkowski, ćwiczenia strzeleckie żołnierzy „Chartii"

Ta wojna kiedyś się skończy. Co się wtedy stanie z ponadmilionową armią obrońców Ukrainy? Wrócą do domów czy zechcą walczyć dalej – tym razem w polityce?

PAWEŁ RESZKA

Po ciężkiej zimie okopy toną w rozmiękłym błocie. Żołnierze, kiedy nie strzelają, nie kryją się przed rosyjskimi ostrzałami i dronami, rozmawiają. Okopy uwielbiają mówić o polityce, zawsze z potężną dawką sarkazmu: – Dowódco, mówią, że będą wybory. – Kiedyś na pewno. – Jak będziemy głosować, skoro od pół roku siedzimy w okopie? – Przez radiostację! – I kto będzie na liście? – Tylko Zełenski! – Ach, to nam ułatwia sprawę. Dialog miał miejsce w zeszłym tygodniu w obwodzie charkowskim, pod Kupiańskiem, gdzie trwają ciężkie walki o miasto.

System

Pytanie, czy gdy wszystko się skończy, „okopy" nie zechcą wyjść z loży szyderców i włączyć się do politycznego procesu. W sumie byłoby to bardzo logiczne. – *Przecież Siły Zbrojne Ukrainy składają się dziś w przeważającej mierze z ludzi, którzy wcześniej byli cywilami. Większość z nich najpewniej będzie chciała wrócić do zwykłego życia, którego częścią jest polityka. A autorytet osób, które walczyły na froncie, będzie bardzo wysoki w pierwszych powojennych wyborach* – tłumaczy w rozmowie z POLITYKĄ Serhij Tachmazow, oficer służący na Donbasie, w cywilnym życiu dziennikarz i reżyser.

W ukraińskim rządzie jest ministerstwo ds. weteranów. Według szacunków resortu, gdy zakończy się wojna, liczba weteranów oraz ich rodzin będzie się wahała między 5 a 6 mln osób. To blisko

eprasa.pl 56e4ba20b9

jedna szósta populacji. Ministerstwo konstruuje więc państwowy program, który ma obejmować rehabilitację medyczną, psychologiczną, zapewnienie mieszkania, edukację, zatrudnienie oraz rozwój przedsiębiorczości wśród zdemobilizowanych.

– *Program będzie działał, jeśli politycy nie rozkradną pieniędzy, czyli szanse są niewielkie* – mówi Wasyl, który od 2023 r. jest na wojnie. Taki sceptycyzm wobec elit politycznych jest zjawiskiem dość powszechnym w okopach. Żołnierze, dużo ostrzej niż cywile, na własnej skórze odczuwają, jak bardzo zepsuty jest system. Ministerstwem obrony co jakiś czas wstrząsają skandale korupcyjne. Na front docierała już zepsuta żywność albo taka, którą kupowano po wielokrotnie zawyżonych cenach.

Pomoc dla wojska była rozkradana, żołnierze widzieli wystawiony na sprzedaż w internecie sprzęt (kamizelki, hełmy, nakolanniki), który powinien był dotrzeć do ich oddziałów. Przekręty robiono na częściach do produkcji dronów i na systemach ochrony pancerza. Mobilizacja jest porażką, a od wojny można się wymigać, płacąc łapówki.



Były dowódca sił zbrojnych gen. Wałerij Załużny. Nadal jest na czele rankingów zaufania społecznego.



Gen. Andrij Biłecki. Znany z nacjonalistycznych poglądów, były deputowany do Rady Najwyższej.

Zaufanie

Polityczny potencjał wojskowych jest spory. Chodzi nie tylko o liczbę – wspomniane 5–6 mln weteranów „wielkiej wojny" i ich rodzin. Ale także o zaufanie społeczne. – *W Ukrainie nie ma partii politycznych, które cieszyłyby się autorytetem wyższym niż ukraińscy obrońcy* – mówi nam politolog Jewhen Magda. Potwierdzają to badania socjologiczne. Według niedawnego sondażu Centrum Razumkowa (listopad 2025 r.) armii ufa prawie 93 proc. pytanych. Na drugim miejscu jest Służba ds. Sytuacji Nadzwyczajnych, czyli strażacy i ratownicy. Na trzecim organizacje wolontariackie (popularne, bo pomagają żołnierzom i zagrożonym wojną cywilom). Dalej znów sami mundurowi: bataliony ochotnicze, Gwardia Narodowa, Wywiad Wojskowy, Pogranicznicy, SBU. Prezydent Ukrainy, który ciągle cieszy się sporym poparciem, jest dopiero na 12. miejscu.

Cywilne organy władzy znajdują się na antypodach tego rankingu. Partiom politycznym nie ufa 71 proc. społeczeństwa, rządowi 73 proc., administracji państwowej 75 proc., parlamentowi 76 proc. Wyniki wyglądają na alarmujące, ale trzeba pamiętać, że przed wybuchem „wielkiej wojny" zaufanie do rządu i Rady Najwyższej było na podobnie niskim poziomie. Wszystko to jednak nie wróży dobrze ani elicie politycznej, ani istniejącym partiom.

Partia abstrakcja

Otwiera za to szansę na zaistnienie nowym twarzom w polityce, mogą z niej skorzystać rozpoznawalni działacze organizacji pozarządowych, technokraci, a przede wszystkim wojskowi. – *Jestem przekonany, że po zakończeniu aktywnej fazy działań bojowych ukraińska polityka zazieleni się od mundurów* – mówi Jewhen Magda.

Nie ma w tym niczego nowego. Także po 2014 r., kiedy po aneksji Krymu i wybuchu rebelii w Donbasie Ukraina znalazła się w stanie faktycznej wojny z Rosją, wojskowi zainteresowali się polityką, a właściwie polityka zainteresowała się wojskowymi. – *Było modne, dobrze widziane mieć na listach wyborczych jakiegoś weterana. Tak do Rady Najwyższej trafił np. płk Julij Mamczur, legendarny dowódca, który stawiał opór Rosjanom chcącym zająć lotnisko i bazę Belbek na Krymie* – przypomina Igor, od 2023 r. oficer Gwardii Narodowej, w cywilu politolog.

Problem w tym, że wówczas nie był to projekt dla wojskowych udany – rozpłynęli się w politycznej magmie. W ugrupowaniach pełnili raczej funkcje dekoracyjne, bez wpływu na realne podejmowanie decyzji. Jak będzie tym razem? Wydaje się, że weterani będą mieli większe ambicje. Z drugiej strony Igor zwraca uwagę, że „partia wojskowych" jest tworem abstrakcyjnym: – *Taka formacja nie istnieje, a sondaże zaufania do armii wcale nie muszą się przekładać na wynik wyborczy. Nie będzie tak, że skoro wojskowi mają zaufanie 93 proc. społeczeństwa, to zajmą 93 proc. miejsc w parlamencie.*

Tradycyjne stronnictwa polityczne uważają jednak, że weterani mogą zamieszać na scenie politycznej, odebrać im kawałek tortu i wcale nie zamierzają składać broni. „Drużyna Zełenskiego już teraz skłania się ku postrzeganiu masowego napływu weteranów wojskowych jako zagrożenia dla politycznej przyszłości swojego lidera i jego partii" – pisze Konstantin Skorkin w analizie dla Carnegie Endowment. Partia prezydenta, czyli Sługa Narodu, zatomizowana, skłócona, targana skandalami korupcyjnymi, zapewne przejdzie przynajmniej rebranding, a być może zostanie rozwiązana. Na jej miejsce środowisko skupione wokół Wołodymyra Zełenskiego zechce zapewne stworzyć jakiś nowy projekt. Duże partie opozycyjne, jak Europejska Solidarność Petra Poroszenki czy Batkiwszczyna Julii Tymoszenko, budzą niechęć wyborców, ale mają silne struktury regionalne, zaplecze finansowe oraz doświadczenie w politycznej grze. Wojskowi takich atutów nie mają. Staną przed wyborem: przyjmować zaproszenia do startu na listach partyjnych czy tworzyć coś swojego?

Znany ukraiński politolog Wołodymyr Fesenko wierzy, że elita polityczna zostanie odnowiona poprzez wejście do niej weteranów i ludzi organizacji pozarządowych. Jednak według niego nie ma szans na jedną „partię wojskowych", nowi ludzie rozejdą się raczej po różnych projektach politycznych. „Weterani nie są jednorodną grupą i nie reprezentują konkretnego programu politycznego. Różnią się poglądami, wartościami oraz priorytetami" – pisze Wasyl Sehin w analizie dla Atlantic Council.

Samorządy

W Ukrainie wyborów nie było już od dawna – kadencje prezydenta i Rady Najwyższej upłynęły w 2024 r. Kadencja władz samorządowych – jesienią 2025 r. Zdecydowana większość Ukraińców (mimo nacisków ze strony Rosji i USA) odrzuca możliwość przeprowadzenia elekcji w warunkach trwającej wojny.

Jednak po zakończeniu działań wojennych – czy to pokojem, czy zawieszeniem broni – Ukrainę czeka prawdziwy wyborczy maraton. – *Weterani mogą najbardziej zaistnieć i mieć znaczący wpływ w wyborach samorządowych* – mówi Serhij Tachmazow. Jego zdaniem może to mieć zasadnicze znaczenie dla ▶

© VIACHESLAV MADIIEVSKYI/UKRINFORM/NURPHOTO/GETTY IMAGES, GLOBAL IMAGES UKRAINE/GETTY IMAGES, YOUTUBE

eprasa.pl 56e4ba20b9

▶ przyszłości kraju: – *Pamiętajmy, że lwia część najbardziej rażących nadużyć i problemów występuje właśnie na poziomie lokalnym.*

Ale na poziomie samorządowym na pewno się nie skończy. Wielu ekspertów przewiduje, że wirtualny „blok armia" przed wyborami może się podzielić na kilka formacji skupionych wokół dowódców i oddziałów. Z których każdy będzie miał różny program i różne ambicje polityczne. – *Niektóre jednostki Sił Zbrojnych Ukrainy wyglądają jak prototypy projektów partyjnych* – mówi politolog Jewhen Magda.

Jedne z najskuteczniejszych jednostek, jak np. 13. Brygada Operacyjna Gwardii Narodowej Ukrainy „Chartia", powstały jako formacje ochotnicze, za prywatne pieniądze. „Chartia" najpierw broniła rodzinnego Charkowa, gdzie do dziś jest jej dowództwo, potem walczyła pod Bachmutem, skutecznie odbijała Kupiańsk. Była zawsze lepiej zorganizowana, dowodzona i wyposażona niż przeciętna jednostka wojskowa. Można sobie wyobrazić, że wokół takiej jednostki albo jej dowódcy płk. Igora Obolenskiego (obecnie dowodzi już całym korpusem) wytworzy się jakiś polityczny projekt. Choćby lokalny, dotyczący samego Charkowa.



Gen. Kyryło Budanow. Kierował wywiadem wojskowym. Obecnie szef kancelarii prezydenta.



Gen. Denys Prokopenko. Bohater Ukrainy, dowódca legendarnej jednostki „Azow".



Płk Igor Obolenski. Dowódca świetnie zorganizowanej i wyposażonej jednostki „Chartia".

...i rządy

Dużo większe ambicje ma Andrij Biłecki, ostatnio awansowany na generała brygady. Biłecki to twórca i dowódca 3. Brygady Szturmowej. Znany z nacjonalistycznych poglądów, był deputowanym do Rady Najwyższej i wśród najwyższej kadry dowódczej jest jedynym człowiekiem o takim doświadczeniu.

Zasłynął jako świetny organizator. Jego 3. Brygada Szturmowa jest modelową jednostką ZSU. Uchodziła za najlepiej wyposażoną, świetnie wyszkoloną. Sama zajmuje się rekrutowaniem żołnierzy – przy drogach jest mnóstwo billboardów z namiarami jednostki. Mimo że Ukraińcy nie garną się na front, 3. Szturmowa nigdy nie miała problemu z uzupełnianiem składu. Jednostka była czymś w rodzaju elitarnej armii w armii. Brygada rozrosła się i została przemianowana na korpus, a Biłecki dostał generalskie lampasy. Większość analityków jest przekonanych, że wróci do polityki i na bazie podległych mu oddziałów zacznie tworzyć zalążek partii prawicowej.

Podobnym projektem może być Brygada i 1. Korpus Gwardii Narodowej „Azow". Kiedyś „Azowem" dowodził Biłecki, ale drogi z jednostką się rozeszły, a stosunki nie są najlepsze. Dziś „Azowem", rozrośniętym do rozmiaru korpusu, dowodzi Denys Prokopenko, bohater Ukrainy, ostatnio także awansowany na generała brygady. Prokopenko jest jednym z najbardziej znanych dowódców – bronił Mariupola, dostał się do niewoli, po powrocie do Ukrainy w ramach wymiany jeńców wrócił na wojnę.

Jest jeszcze kilku dowódców, którzy mogliby poprowadzić projekt polityczny. Najważniejszy to były dowódca sił zbrojnych gen. Wałerij Załużny – mimo że od lutego 2024 r. nie pełni tej funkcji, ciągle jest na czele rankingów zaufania społecznego. Drugie i trzecie miejsce w tych badaniach dzielą mistrz bokserski Ołeksandr Usyk oraz gen. Kyryło Budanow (IPSOS z lutego 2026 r.).

Budanow do niedawna kierował wywiadem wojskowym i był odpowiedzialny za wiele głośnych, zakończonych sukcesem operacji na tyłach wroga. Dziś jednak został szefem kancelarii prezydenta. Nie ma już wypływu na wywiad, nie ma samodzielności. Jest blisko Zełenskiego, dzieli z nim sukcesy i porażki.

Sam Zełenski jest dopiero na czwartym miejscu – ufa mu 49 proc. badanych. To nie jest zły wynik, gdyby nie to, że prezydent ma również bardzo wysoki odsetek tych, którzy mu nie ufają (38 proc). Niebawem zaczną mu deptać po piętach inni wojskowi. Dla przykładu Andrij Biłecki, którego zaufaniem darzy 26 proc. pytanych.

...i pan prezydent

Inni znani dowódcy nie są ujmowani w rankingach, bo nie działają w polityce i nie zdradzają takich chęci. Jednak regularnie pojawiają się w mediach, są rozpoznawalni i uznawani za bohaterów. A to oznacza, że mają potencjał. Potrafią także głośno wyrażać swoje zdanie. Kiedy prezydent Zełenski zdecydował się bez podania przyczyn wezwać do dymisji szefa SBU gen. Wasyla Maluka, w jego obronie wystąpili m.in. gen. Mychajło Drapaty, szef Połączonych Sił Zbrojnych, legendarny Robert Browdi (Madiar), dowódca Sił Systemów Bezzałogowych Ukrainy, a także Prokopenko i Biłecki.

– *Rozdmuchiwanie wizerunków Budanowa i Biłeckiego jako polityków przypuszczalnie rozpoczęło się w związku z obawami władz o wysoki rating Wałerija Załużnego* – mówi Jewhen Magda. Gen. Załużny jest uważany przez środowisko prezydenta za poważne zagrożenie i konkurencję, bo według sondaży jest w stanie wygrać w drugiej turze z Zełenskim. Pielgrzymują do niego politycy, którzy namawiają go do współpracy. Załużny może wygrać wybory prezydenckie i jednocześnie zmontować partię.

Sam Załużny w artykule „How to Defeat Putin and Build a Better Ukraine" (listopad 2025 r., „The Daily Telegraph"), który można uznać za zarys programu politycznego, napisał: „Weterani stanowią dużą i zmotywowaną część naszego społeczeństwa. Ich liczba, podobnie jak ich potencjał, będzie w przyszłości tylko rosła. Potencjalnie są najważniejszym zasobem naszego państwa. Przy dobrze przemyślanym podejściu to właśnie weterani mogą się stać motorem powojennego wzrostu gospodarczego Ukrainy oraz podstawą nowych elit, które będą się troszczyć o przyszłość naszego kraju".

Jest więc jasne, że generał będzie szukał zaplecza swojej formacji. Według przecieków z otoczenia Załużnego znaleźliby się w niej m.in. dawni współpracownicy dowódcy – ważni oficerowie sztabowi i liniowi, a także grupa młodych medialnych generałów. Do tego garść cywilów, by partia mająca aspiracje do wyborczego zwycięstwa nie wyglądała zbyt militarystycznie.

eprasa.pl 56e4ba20b9

Zdaje się, że otoczenie Zełenskiego ma podobny pomysł. Nowy projekt partii prezydenta mógłby się składać z technokratów, wolontariuszy i znanych wojskowych. Byłaby to „cywilna" partia z dużym udziałem wojska.

Trzecim blokiem mogłaby być np. „Partia 3 szturmowa" – silna ideologicznie, zorientowana na rządzenie krajem silną ręką.

Po wojnie o wojnie

Weterani powinni więc odegrać znaczącą rolę w wyborach. Można sobie wyobrazić, że następny parlament, rząd i administracja prezydenta będą pełne ludzi, którzy dopiero co zrzucili mundury. Pytanie, czy wojskowi, którzy zdobędą wpływ i władzę, za jakiś czas zgodzą się ją oddać? – *Pojawienie się wojskowej junty jest raczej mało prawdopodobne. Dotychczasowe doświadczenie Ukrainy pokazuje, że ograniczanie praw i wolności jest tutaj po prostu niemożliwe* – mówi Sierghij Tachmazow.

– *Siły Zbrojne Ukrainy są dziś formowane na zasadzie poboru; nasi wojskowi to nie tylko pełnoprawni obywatele, ale najlepsi z nich. Ukraińska armia jest rzeczywiście armią narodową. Dlatego jako osoba cywilna nie obawiam się zwiększenia wpływu wojskowych* – dodaje Jewhen Magda.

Wyniszczona wojną Ukraina będzie musiała liczyć na pomoc Zachodu i politycznie będzie dążyła do członkostwa w UE i NATO (ok. 85,5 proc. respondentów jest za wejściem do UE, ponad 70 proc. za przystąpieniem do NATO). Samo to powinno powstrzymywać polityków przed pokusami ograniczania demokracji.

Wybory odbędą się po wojnie, jednak będą dotyczyły wojny. Politycy będą musieli odpowiedzieć na pytania o straty: ludzkie, materialne, terytorialne. O przyczyny porażek i pomysły na przyszłość. W ostatnim punkcie ważna będzie odpowiedź, jak walczyć z niszczącą kraj korupcją. Według styczniowego badania IPSOS 81 proc. respondentów uważa to za największy problem. Więcej ludzi boi się korupcji niż ostrzałów (63 proc.), mobilizacji (52 proc.) czy ubóstwa (48 proc.).

Wśród oczekiwań wobec władzy najważniejsze będzie też zapewnienie bezpieczeństwa kraju, zadbanie o gospodarkę i poziom życia, a w końcu zmiany polityczne. Ukraińcy, pytani o to, co ich boli we własnym kraju, mówią o nietransparentności rządzenia, braku komunikacji z władzą („nikt nie wyjaśnia, co się dzieje na froncie, jak idą negocjacje, ciągle wybuchają jakieś skandale, to powoduje zagubienie i brak zaufania"), rosnących cenach.

Trzeba będzie posklejać także społeczeństwo. Szczerze porozmawiać o kolaboracji, dezercji, uchylaniu się od służby, przeczekiwaniu wojny za granicą. Pytanie, czy byli wojskowi potrafią sobie z tym poradzić? Przecież skuteczność na polu boju, organizacja działania pułku, brygady czy korpusu nie daje gwarancji powodzenia w zarządzaniu państwem. Znów znajdą się na pierwszej linii, ale może się okazać, że nie sprostają powojennym wyzwaniom. Wtedy po jednej kadencji odejdą zmuszeni oddać stery w ręce „partyjnych fachowców".

– *Na razie jednak wszystko to wygląda jak nieokreślona przyszłość, ponieważ zamiary Moskwy pozostają niezmienne: Rosjanom chodzi o zniszczenie całej Ukrainy. Z ich strony nie widać żadnej gotowości do zakończenia działań wojennych* – mówi Tachmazow. A przed zakończeniem wojny rozmowa o wyborach, zmianach na szczycie władzy jest czysto teoretyczna.

PAWEŁ RESZKA

© YURIY DYACHYSHYN/AFP/EAST NEWS, UKRAINE PRESIDENCY/UKRAINIAN PRE/ZUMA PRESS/FORUM, DROOZIUK/UK.WIKIPEDIA.ORG

REKLAMA

więcej Twojej
POLITYKI
on-line



Kup subskrypcję

www.polityka.pl/powitalna

eprasa.pl 56e4ba20b9



Narcos żyją z gringos

Fentanyl i zabity niedawno El Mencho, najbardziej poszukiwany gangster świata, to dwa symbole zmiany na gorsze meksykańskich karteli. Ale kibice jadący na mundial raczej nie mają się czego obawiać.

MARIUSZ ZAWADZKI

El Mencho wpadł przez kobietę – podobnie jak wielu przywódców prawdziwych i fikcyjnych grup przestępczych, poczynając od tatrzańskiego Janosika, a kończąc na El Chapo, legendarnym szefie kartelu Sinaloa. Odkąd ten ostatni został w 2016 r. aresztowany i deportowany do Stanów Zjednoczonych, właśnie El Mencho, urodzony 60 lat temu jako Nemesio Oseguera Cervantes, stał się najbardziej poszukiwanym przestępcą Ameryki Północnej. Stworzony przez niego Cártel de Jalisco Nueva Generación, znany również pod skrótem CJNG, zdominował meksykański biznes narkotykowy podobnie jak wcześniej Sinaloa.

Za pomoc w schwytaniu El Mencho Amerykanie wyznaczyli nagrodę 15 mln dol. Ale znane było tylko jego zdjęcie z młodości, bo od lat nigdzie publicznie się nie pokazywał. Na co dzień towarzyszyło mu kilkudziesięciu uzbrojonych po zęby ochroniarzy. Nie używał telefonu komórkowego, bo każdą rozmowę można podsłuchać, a lokalizację rozmówców namierzyć. Ze swoimi ludźmi kontaktował się tylko przez zaufanych posłańców.

Chapo nie był ciapą

Takie zasady stosuje dziś każdy szanujący się szef kartelu. El Chapo (w cywilu Joaquín Guzmán) również nie miał telefonu, a swoim ochroniarzom nie pozwalał nawet dzwonić ani pisać esemesów przez sieć komórkową. Kiedy potrzebował szybko się z kimś skontaktować, posłaniec musiał jechać samochodem do jakiejś kawiarni i dopiero za pośrednictwem kawiarnianej sieci wi-fi przesłać wiadomość. Wprawdzie El Chapo był półanalfabetą, który ukończył tylko trzy klasy podstawówki, ale rozumiał, że publiczne wi-fi (szczególnie jeśli często się je zmienia) zapewnia większą anonimowość niż łączenie przez sieć komórkową.

El Mencho, który miał zaliczone aż pięć klas podstawówki, również zrezygnował ze zdradzieckiej elektroniki. Ale nie potrafił zrezygnować z kobiet. Jedna z jego dyżurnych kochanek wyjechała z Guadalajary, gwarnej stolicy stanu Jalisco, w piątek 20 lutego i po dwóch godzinach jazdy dotarła do cichego, położonego w malowniczych górach miasteczka Tapalpa. Skierowała się prosto do leśnego osiedla na przedmieściach i zapukała do jednego z domów.

Wywiadowcy, którzy ją śledzili, obserwowali dom przez kamerę, ale z bardzo dużej odległości, bo bali się zdekonspirować. Nie wiedzieli, kto jest w środku. Następnego dnia kobieta ukazała się w drzwiach razem z mężczyzną, który przytulił ją na pożegnanie, po czym odjechała. Oboje byli ledwo widoczni w kamerze, ale wywiadowcy natychmiast wezwali żołnierzy sił specjalnych, bo przecież nikt nie miałby odwagi przytulać kochanki okrutnego El Mencho. Z wyjątkiem samego El Mencho.

W sobotę nikt z domu nie wychodził, a w niedzielę rano żołnierze przystąpili do szturmu. El Mencho miał przy sobie znacznie mniej ochroniarzy niż zwykle, ale nie zamierzali się poddawać. Podczas strzelaniny on i dwóch jego ludzi wymknęli się z domu, a reszta została, żeby zatrzymać żołnierzy. W Meksyku zdarza się zaskakująco często, że policja czy wojsko szturmuje budynek, w którym

eprasa.pl 56e4ba20b9





Po śmierci El Mencho w stanie Jalisco i wielu innych wybuchły wielodniowe walki (na fot. z lewej: **spalony autobus w mieście Puerto Vallarta). Władze wzywały ludność do pozostania w domach** (fot. z prawej u góry)**. Zabity przez policję szef kartelu nie był tak popularny jak El Chapo, wielokrotnie uciekający stróżom prawa** (na fot. obok: **zatrzymanie w 2014 r.), obecnie odsiadujący dożywocie w USA. Ten cieszy się dziś opinią meksykańskiego Robin Hooda.**

ukrywa się jakiś zbieg, ale udaje mu się uciec. W przypadku El Chapo było to nawet zrozumiałe, bo był wybitnym kopaczem i innowatorem – tunelami pod granicą Meksyku z USA przemycał narkotyki na skalę przemysłową.

W 2014 r., kiedy urządzono na niego obławę w Culiacán, stolicy stanu Sinaloa, uciekł ze swojej willi tunelem zaczynającym się pod wanną – podnosiła się ona dzięki specjalnemu przyciskowi jak w filmach szpiegowskich. Kilka tygodni później został złapany i odesłany do więzienia, ale uciekł z niego rok później – kilometrowym tunelem wykopanym przez jego ludzi prosto do celi.

Pociski i uściski

Jednak El Mencho nie budował tuneli, dlatego jego ucieczka wydaje się niezrozumiała. Niektórzy żartują, że w meksykańskiej wersji języka hiszpańskiego nie występuje słowo „otoczyć", dlatego policjanci nie stosują tej dość oczywistej metody chwytania przestępców. Wszakże w tym przypadku zbiegowie nie uciekli daleko; odnaleziono ich w lesie, schowani w krzakach ostrzeliwali się z ciężkich karabinów. Udało im się uszkodzić helikopter, który musiał awaryjnie lądować.

I tak można to uznać za duży postęp w porównaniu z 2015 r. – wtedy El Mencho również został osaczony przez wojsko, ale uciekł, a jego ochroniarze zestrzelili helikopter, zabijając trzy osoby na pokładzie. Tym razem w wymianie ognia El Mencho i dwaj jego towarzysze zostali ciężko ranni i zmarli w drodze do szpitala. Wcześniej w szturmie na dom zginęło ośmiu ochroniarzy.

Gen. Ricardo Trevilla, meksykański minister obrony narodowej, opowiadał o tym wszystkim na konferencji prasowej z taką swadą, że stojąca obok prezydent Claudia Sheinbaum aż zwróciła mu uwagę, żeby nie zagłębiał się przesadnie w szczegóły operacyjne. Oboje podkreślali, że akcja została przeprowadzona w 100 proc. przez meksykańskie wojsko, ale kluczowa była „dodatkowa informacja" od Amerykanów.

I tylko taką pomoc z USA pani prezydent akceptuje – wsparcie wywiadowcze. To zastrzeżenie było skierowane głównie do prezydenta Donalda Trumpa, który od wielu miesięcy odgraża się, że jeśli Meksyk nie rozprawi się z kartelami, to amerykańska armia sama, nie pytając nikogo o pozwolenie – zbombarduje manufaktury fentanylu, czyli najbardziej niebezpiecznego z produkowanych w Meksyku narkotyków. Albo wyśle komandosów, którzy zlikwidują przywódców karteli.

Pani prezydent kategorycznie odrzuca takie pomysły – z trzech powodów. Po pierwsze, Meksyk jest suwerennym państwem. Po drugie, sama jest bardzo zrównoważona i powściągliwa. A po trzecie, amerykańska koncepcja „wojny z narkotykami" jej nie odpowiada. „Z nikim nie walczymy, chcemy spokoju i pokoju" – podkreślała po śmierci El Mencho. Taką retorykę przyjął jej poprzednik i promotor Andrés Manuel López Obrador, prezydent Meksyku w latach 2018–24. Ogłosił koniec „wojny z narkotykami" i początek ery „uścisków, a nie pocisków" (hiszp. *abrazos, no balazos*). Zamiast walczyć zbrojnie z kartelami, Obrador postanowił skupić się na programach pomocy społecznej, które zlikwidują przyczyny istnienia karteli: biedę, bezrobocie i niski poziom edukacji.

Nietykalni turyści

Zamieszki po śmierci El Mencho były kolejnym dowodem, że „uściski" są niestety równie nieskuteczne jak „pociski". Rozwścieczeni członkowie kartelu CJNG demolowali supermarkety, stacje benzynowe i oddziały państwowego banku, podpalali autobusy i samochody i terroryzowali całe miasta. Wiele lotów odwołano. Zginęło łącznie ok. 80 osób.

Chaos panował nie tylko w Jalisco, czyli macierzystym stanie CJNG, ale co najmniej w kilkunastu spośród 31 stanów Meksyku. Podczas meczu kobiecej ligi piłkarskiej w Aguascalientes zawodniczki obu drużyn uciekły z boiska, kiedy usłyszały odgłosy przypominające strzały. Dopiero kiedy się okazało, że to fałszywy alarm, wróciły i dokończyły spotkanie. Najlepsi tenisiści z całego świata, którzy akurat zjechali się na turniej ATP w Acapulco, nie wychodzili z hoteli.

A przecież było tam dużo spokojniej niż w Guadalajarze, która już w czerwcu ma gościć – obok stołecznego miasta Meksyk i Monterrey – najlepszych piłkarzy. Meksyk, wraz z USA i Kanadą, będzie gospodarzem mistrzostw świata już w czerwcu i lipcu. Sheinbaum obiecuje, że będą bezpieczne dla sportowców, lokalnych kibiców i zagranicznych turystów. Prawdopodobnie ma rację, bo meksykańskie kartele zostawiają turystów w spokoju. Choćby dlatego, że często pobierają haracze od restauracji i hoteli.

Prawdą jest jednak, że po śmierci czy aresztowaniu szefa kartelu często wybucha burzliwa walka o sukcesję. Tak było np. w Sinaloa, kiedy synowie El Chapo straszliwie pokłócili się z jego wieloletnim wspólnikiem El Mayo. I to jest największe zagrożenie – gdy pechowy turysta znajdzie się w niewłaściwym miejscu ▶

© ALFONSO LEPE/REUTERS/FORUM, MYUNG J. CHUN/LOS ANGELES TIMES/GETTY IMAGES, STR/LATINCONTENT/GETTY IMAGES

eprasa.pl 56e4ba20b9

▶ o niewłaściwym czasie. Wtedy może się najeść strachu albo spędzić kilka dni w zabarykadowanym hotelu zamiast na plaży.

Generalnie Meksyk jest zaskakująco bezpieczny dla obcokrajowców – szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że w tym kraju w ostatnich 20 latach w walkach rządu z kartelami i karteli między sobą zginęło lub „zaginęło" pół miliona ludzi. Co ciekawe, statystyki zabójstw w czasach „uścisków", czyli po 2018 r., były jeszcze gorsze – niedużo, ale jednak – niż w czasach „pocisków", czyli od 2006 r., kiedy prezydent Felipe Calderón wysłał wojsko przeciw kartelom.

Najbardziej kompromitujący epizod kampanii „uściski zamiast pocisków" miał miejsce w październiku 2019 r., kiedy w Culiacán żołnierze aresztowali El Chapito, czyli syna El Chapo. W odpowiedzi gangsterzy z kartelu Sinaloa wyszli na ulice, palili autobusy i ciężarówki, atakowali policję ciężką bronią, zdobyli miejskie więzienie i uwolnili skazańców, a w końcu otoczyli budynek, w którym mieszkało wiele rodzin żołnierzy i policjantów. Prezydent Obrador, żeby uniknąć rozlewu krwi, nakazał wypuścić El Chapito. Sheinbaum, chociaż zachowała retorykę poprzednika, zmieniła praktykę. Znacznie wzmocniła policję i agencje wywiadowcze rozpracowujące kartele. W 2025 r., czyli w pierwszym pełnym roku jej rządów, było o 20 proc. morderstw mniej niż w roku poprzednim, ale wzrosła liczba porwań i wymuszeń haraczy.

Karabiny od Wuja Sama

Nie tylko Trump, ale też wszyscy amerykańscy politycy są zniecierpliwieni, bo fentanyl produkowany przez meksykańskie kartele masowo zabija Amerykanów. To syntetyczny, niezwykle mocny narkotyk, który bardzo łatwo przedawkować. Już dwa miligramy to dawka śmiertelna; inaczej mówiąc, dwa gramy wystarczą, by zabić tysiąc osób dorosłych.

Od 2020 r., kiedy fentanyl pojawił się w USA, z powodu przedawkowania zmarło ponad 350 tys. Amerykanów. Stał się główną przyczyną zgonów osób poniżej 45. roku życia. Dla porównania – od połowy XX w. w wojnach zginęło łącznie 100 tys. Amerykanów (Korea, Wietnam, Afganistan, Irak). Stąd ciągłe pogróżki Trumpa, że wyśle swoich żołnierzy, żeby sami rozwiązali problem karteli.

Pani prezydent reaguje ze stoickim spokojem, ale asertywnie. Kiedy w styczniu Trump stwierdził, że „rząd Meksyku jest w zmowie z kartelami", Sheinbaum odparła, że „jeśli jest jakaś zmowa, to prędzej zmowa karteli z amerykańskimi producentami broni, u których kartele się zaopatrują". Co roku z USA do Meksyku przemyca się kilkaset tysięcy sztuk broni: pistoletów, rewolwerów i karabinów. Ale nie tylko zwykłych karabinów!

Meksykańscy gangsterzy w walkach między sobą albo z policją coraz częściej używają karabinów na pociski 12,7 mm, które stosuje się w działkach przeciwlotniczych i montowanych na czołgach. Dla porównania: karabin M16, używany przez żołnierzy USA, ma kaliber 5,6 mm, a kałasznikow – 7,6 mm. Rząd Meksyku skonfiskował 137 tys. pocisków 12,7 mm, a połowa z nich pochodziła z... państwowej amerykańskiej fabryki amunicji w Kansas City.

Dziennikarze „New York Timesa" ustalili, że zakład ten, zwykle realizujący zamówienia armii USA, czasami dorabia sobie, sprzedając te potężne pociski prywatnym handlarzom broni, którzy oferują je online albo w stacjonarnych sklepach z bronią. Można je nawet spotkać w sprzedaży w Walmarcie, największej sieci supermarketów. Na ich zakup nie trzeba mieć żadnych specjalnych pozwoleń.

Jednak nawet zwariowani na punkcie broni Amerykanie prawie nigdy ich nie kupują, bo są bardzo drogie. Jeden pocisk 12,7 mm kosztuje prawie 10 dol., a jeśli ma wkład zapalający, to 15 dol. A karabin, który strzela takimi pociskami, kosztuje 10 tys. dol. Nawet jeśli ktoś ma pieniądze i chęci, żeby sobie kupić taki zestaw, to gdzie miałby go używać? Oczywiście kartele, które zarabiają miliardy na fentanylu i przemycają te karabiny z USA, nie mają z tym problemu. Zestrzeliwują nimi helikoptery i niszczą lekkie wozy opancerzone. Dotychczas amerykańscy politycy nie wpadli na pomysł zakazu sprzedaży takiej broni. Byłoby to rażące naruszenie wolności obywatelskich uświęconych drugą poprawką do konstytucji.

Kult Jesúsa Malverde

El Mencho i jego ochroniarze mieli karabiny 12,7 mm. Mimo to o ich ostatniej bitwie nikt raczej nie będzie śpiewał ballad (*narcocorridos*), których dziesiątki, jeśli nie setki, powstały już o El Chapo. Dwaj najsłynniejsi meksykańscy gangsterzy bardzo się różnili i choć dzieli ich tylko dekada, to działali w zupełnie różnych czasach.

El Mencho budował swoją pozycję wyłącznie zastraszaniem i okrucieństwem, a poza tym pozostawał enigmą. El Chapo, który odsiaduje dożywocie w Kolorado, był postacią niezwykle kolorową; ludzie nie tylko go się bali, ale również podziwiali. Jego niesłychane ucieczki z więzień i policyjnych obław przeszły do legendy. Nie zawsze się ukrywał. Czasami lubił zjeść w dobrej restauracji; wtedy jego ochroniarze zabierali wszystkim telefony i nikogo nie wypuszczali, ale na pożegnanie szarmancko płacił za wszystkich.

El Chapo bywa porównywany do Jesúsa Malverde, legendarnego szlachetnego bandyty z przełomu XIX i XX w., który zabierał bogatym i dawał biednym. Niewykluczone, że to postać całkowicie zmyślona, ale w Culiacán ma prawdziwe sanktuarium. A przed nim na straganach sprzedawane są koszulki z podobizną El Chapo, który – jak głosi miejska legenda – też wspierał biednych.

W rzeczywistości nic nie wiadomo o szkołach, kościołach czy szpitalach, które miał finansować, ani o żadnej jego działalności charytatywnej. Jednak w pewnym sensie rzeczywiście zabierał bogatym i oddawał biednym, bo przecież sprzedawał narkotyki zamożnym *gringos* (Amerykanom), a dawał pracę drobnym plantatorom marihuany i opiumowego maku, z którego wyrabia się heroinę. Jeszcze dziesięć lat temu meksykański narkobiznes utrzymywało milion ludzi – to przede wszystkim plantatorzy i ich rodziny.

Jednak od aresztowania El Chapo dużo się pozmieniało. Marihuanę w wielu stanach USA zalegalizowano, a produkcja heroiny też przestała się opłacać, bo fentanyl jest wielokrotnie mocniejszy. A ponieważ jest syntetyczny, to jego wytwarzanie wymaga dużo mniej czasu, zachodu i pieniędzy. I znacznie łatwiej to ukryć. Z kilograma prekursorów (czyli związków, które w reakcji chemicznej dają fentanyl) doświadczony „kucharz" może zrobić pół miliona dawek! Początkowo prekursory kupowało się wysyłkowo gdzieś w Azji, najczęściej w Chinach, ale ostatnio zostały zakazane, więc trzeba zamawiać „preprekursory", nad którymi kartele muszą już popracować same. Plantatorzy przestali być potrzebni. Dlatego El Mencho już tylko łupił bogatych *gringos*, a nic nie oddawał biednym Meksykanom.

MARIUSZ ZAWADZKI

eprasa.pl 56e4ba20b9

POLITYKA słuchaj i oglądaj













Rozmawiamy nie tylko o polityce.
Poruszamy sprawy, które mają znaczenie.
Szukamy odpowiedzi na trudne pytania.

youtube.com/@Tygodnik_Polityka **polityka.pl/podkasty**

eprasa.pl 56e4ba20b9

Szwecja mówi „A”



Szwedzi znów myślą o bombie atomowej. Kiedyś byli blisko jej zbudowania, ale powstrzymały ich amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa, w które już dziś nie wierzą.

KATARZYNA TUBYLEWICZ ZE SZTOKHOLMU

Relacje polsko-szwedzkie ostatni raz były tak dobre jeszcze przed potopem, o czym świadczy zeszłotygodniowa wizyta króla Karola XVI Gustawa nad Wisłą. Zagrożenie rosyjskie wymusza współpracę zbrojeniową – Szwedzi zbudują dla Polski trzy okręty podwodne – ale też zbliża perspektywy w sprawach bezpieczeństwa. Szwecja, obok Polski, to kolejny kraj północnej Europy, który myśli o bombie. Przy czym Szwedzi są od nas znacznie dalej.

Jeszcze niedawno szwedzka debata na temat broni jądrowej dotyczyła tylko rozbrojenia. Jednak idealizm i pacyfistyczne ambicje przeminęły. Szwecja, która w 1968 r. podpisała Układ o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej (NPT), zaczyna dyskutować o własnym programie nuklearnym. „Dopóki niebezpieczne kraje mają broń jądrową, dopóty porządne demokracje też muszą mieć do niej dostęp” – mówi premier Szwecji Ulf Kristersson. Jego rząd bierze udział w rozmowach o broni jądrowej, które są prowadzone w ramach NATO. Brytyjski „Daily Telegraph” informuje o rozmowach Szwecji z Francją i Wielką Brytanią w sprawie ewentualnego dołączenia do ich programu odstraszania nuklearnego.

Ale Szwedzi myślą też o własnej bombie. Zwolennikiem powrotu do szwedzkiego programu nuklearnego jest m.in. Jimmie Åkesson, lider drugiej co do wielkości partii w Riksdagu – nacjonalistycznych Szwedzkich Demokratów. Parlamentarzyści tego ugrupowania deklarowali ostatnio, że są również zwolennikami rozmieszczania na terenie kraju obcej broni jądrowej, chociaż przed wejściem do NATO uzgodniono, że nie nastąpi to w czasie pokoju.

O dołączeniu do europejskiego programu atomowego rozprawia wicepremierka Ebba Busch, liderka Chrześcijańskich Demokratów, a znajdujący się dziś w opozycji Socjaldemokraci nie protestują. „Europa potrzebuje własnego programu odstraszania nuklearnego, aby móc bronić się przed Rosją bez wsparcia ze strony USA” – tłumaczy w radiu naczelny dowódca szwedzkich sił zbrojnych Michael Claesson.

Pojawia się też pomysł projektu regionalnego – nordyckiej bomby. Pisał o niej niedawno dziennik „Dagens Nyheter”. W sytuacji gdy NATO nie może liczyć na Amerykę, Szwecja powinna przejąć inicjatywę na północy Europy. Ma przecież „kompetencje w dziedzinie technologii jądrowych i zaawansowany przemysł obronny”. Czas więc na „wspólną nordycką broń jądrową, być może wraz z Niemcami”. Według gazety trudno liczyć na to, że cały kontynent ochroni broń z Francji i Wielkiej Brytanii. Tym bardziej że w obu tych krajach do władzy mogą dojść siły bardziej wyrozumiałe wobec Rosji.

Co ciekawe, „Dagens Nyheter”, którego czytelnicy lubili niegdyś myśleć o Szwecji jako o humanitarnym mocarstwie, dowodzi teraz, że stworzenie nordyckiego

eprasa.pl 56e4ba20b9

programu jądrowego mogłoby... ograniczyć rozprzestrzenianie broni atomowej. Nordycka broń spowoduje bowiem, że inne państwa europejskie nie będą musiały pracować nad własną! Ten swego rodzaju fikołek intelektualny czołowego dziennika sugeruje więc, że Szwecja może rozwijać program jądrowy, zachowując jednocześnie część swojego pacyfistycznego wizerunku. I może nie jest to nielogiczne, skoro Szwecja przez długie lata była jednocześnie krajem neutralnym, kreującym się na sumienie świata i jednym z największych w Europie producentów zaawansowanej technologicznie broni.

Program jądrowy nie byłby tu niczym nowym. Szwecja pracowała nad wyprodukowaniem własnej broni jądrowej w latach 1945–72 i zrezygnowała dopiero po złożonej przez Stany Zjednoczone (w tajemnicy przed światem) gwarancji ochrony nuklearnej, takiej samej, jaką miały kraje NATO (Szwecja jest w Sojuszu od 2024 r.). Prace nad szwedzką bombą rozpoczęły się krótko po tym, jak Amerykanie uderzyli na Hiroszimę i Nagasaki. Powołano wówczas do życia Szwedzki Instytut Badań Obronnych (FOA), potem Komitet Atomowy i państwową spółkę AB Atomenergi. Tak zwana szwedzka linia, którą w 1956 r. uchwalił Riksdag, zakładała, że kraj będzie w stanie produkować zarówno energię elektryczną, jak i pluton do celów wojskowych w znajdujących się na terenie Szwecji reaktorach. Surowcem miała być szwedzka ruda uranu.

W tym czasie istniał już szczegółowy program rozbudowy infrastruktury – szczegółowe instrukcje, jak wydobywać uran i jak pozyskiwać wodę do reaktorów. Kluczowy dla programu był reaktor w Ågesta pod Sztokholmem, zbudowany jako elektrociepłownia jądrowa, ale z możliwością pozyskiwania plutonu. W Szwecji starano się powiązać ze sobą prace nad militarnym i cywilnym wykorzystaniem energii jądrowej, przy czym znaczną część zadań wojskowych objęto tajemnicą.

Już na wczesnym etapie, w latach 1956–57, przeprowadzono pięć dużych testów konwencjonalnych materiałów wybuchowych w Nausta na północy kraju, żeby sprawdzić zakres rażenia ładunków. W tym samym czasie projektowano, na razie na papierze, szwedzkie systemy przenoszenia broni jądrowej, na początek miał być to samolot bojowy Saab A32 Lansen, potem Saab 36 Vargen. Podobno istniał też projekt pocisku rakietowego przenoszącego głowicę jądrową na 500 km.

W 1965 r. uznano, że Szwecja osiągnęła już pełną zdolność techniczną do wyprodukowania własnej bomby atomowej. Jednocześnie narastały jednak głosy sprzeciwu, a koszty programu gwałtownie rosły. W 1968 r. parlament zagłosował za rezygnacją z bomby, program ostatecznie zamknięto w 1972 r. O tym, jak daleko Szwecja zaszła w swoich nuklearnych ambicjach, opinia publiczna dowiedziała się dopiero w 1985 r. dzięki dziennikarzom śledczym pisma „Ny Teknik".

Szwedzkie doświadczenie w prowadzeniu prac nad bronią jądrową nie jest jednak czymś, do czego można dziś po prostu wrócić. Martin Goliath, badacz z Instytutu Badań nad Obroną Totalną (FOI), podkreśla, że nie ma mowy o tym, żeby odkurzyć dawne plany techniczne i zacząć dziś tam, gdzie się skończyło.

Pojawiają się też pierwsze głosy krytyczne. July Decarpentrie z Wyższej Szkoły Wojskowej w polemicznym artykule w „Dagens Nyheter" pisze, że paradoksalnie broń jądrowa nie uczyni Szwecji bezpieczniejszą, tylko bardziej narażoną na atak. Na przykład ze strony Rosji – zwłaszcza w okresie odbudowywania programu jądrowego, a przed osiągnięciem gotowości bojowej. Poza tym wprawdzie szwedzka kandydatura do klubu jądrowego wydaje się silna, bo chodzi przecież o kraj bogaty, mogący się pochwalić jednym z najlepiej rozwiniętych przemysłów obronnych w Europie, ze świetnie wykształconymi inżynierami i fizykami, brakuje jednak odpowiedniej infrastruktury.

Budowa systemu umożliwiającego bezpieczne przechowywanie broni i jej transport, nie wspominając już o koniecznym systemie wczesnego ostrzegania, wymagałaby dziesięcioleci inwestycji i ogromnych zasobów. A samo posiadanie broni nie gwarantuje przecież bezpieczeństwa. „Odstraszanie działa tylko wtedy, gdy inne państwa wierzą w wiarygodność groźby, co wymaga ciągłej konserwacji sprzętu, testów oraz strategicznego planowania" – pisze Decarpentrie.

O tym, że szwedzka lub nordycka broń jądrowa to nie jest dobry pomysł, pisze także dziennik „Aftonbladet". „Państwa, które rozpoczynają program budowy broni jądrowej, natychmiast stają się celem dla mocarstw, które chcą je powstrzymać". W czerwcu 2025 r. Amerykanie zbombardowali instalacje nuklearne w Iranie, a Izraelczycy zabili wysoko postawionych irańskich wojskowych i naukowców. Podobne cele ma obecna antyirańska kampania wojenna. Z tej przyczyny, według „Aftonbladet", szwedzki program jądrowy zwiększyłby ryzyko, że Rosja uderzy w terytorium Szwecji. Ponadto koszt produkcji broni jądrowej liczyłby się w setkach miliardów koron. Po prostu nie warto.

Dyskusja o broni jądrowej dopiero się w Szwecji rozkręca. Jednak mimo głosów krytyki dziś silniejsi wydają się zwolennicy bomby. Oczywiście co jakiś czas odzywają się też lewicowi idealiści i ekolodzy. Ostrzegają, że użycie nawet kilku procent istniejącego dziś światowego arsenału jądrowego mogłoby całkowicie zahamować opady deszczu nad Indiami i środkowymi Chinami oraz zmniejszyć globalne opady o 15–30 proc. na ponad dekadę. Poza tym obiekty związane z bronią jądrową zanieczyszczają glebę i wodę odpadami promieniotwórczymi, które mogą pozostawać niebezpieczne przez ponad 100 tys. lat.

Kompozytor i aktywista Dror Feiler, poeta Göran Greider i filozof Torbjörn Tännsjö parę miesięcy temu we wspólnym artykule przypominali z kolei, że wszelkie zbrojenia pogłębiają kryzys klimatyczny (jeszcze przed wybuchem wojny w Ukrainie przemysł zbrojeniowy odpowiadał za 5,5 proc. światowej emisji gazów cieplarnianych). Alarmowali też, że wprawdzie od czasu drugiej wojny światowej nie doszło do wielkiego zbrojnego konfliktu między mocarstwami nuklearnymi, ale nadmierna wiara w równowagę strachu nie ma sensu. Czy naprawdę mamy pokładać nadzieję w takiej gwarancji bezpieczeństwa, jeśli guzik może zostać naciśnięty „na skutek błędu, wypadku, pychy albo zwykłego szaleństwa"?

Do protestów szykują się też organizacje kobiece – w latach 60. XX w. głos kobiet przeciwko szwedzkiej bombie atomowej był wyjątkowo głośny. Jednocześnie Szwecja nie przypadkiem nazywana jest „krajem inżynierów", który lubi być w forpocztach zmian. Na razie bardzo szybko odbudowuje konwencjonalne siły zbrojne i szlifuje chwalony na całym świecie system obrony cywilnej. Ale jest dziś bliżej bomby niż większość państw zgłaszających atomowe ambicje. ■

© ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

eprasa.pl 56e4ba20b9

Być jednocześnie kobietą, Polką i badaczką kosmosu – co je skłoniło do podboju tej tradycyjnie „męskiej” galaktyki nauk ścisłych? Polskie astronomki i astrofizyczki mają głos.

Astronomia jest kobietą

PRZEMEK BERG

W naukach o kosmosie Polska bardzo się liczy. Mieliśmy wielu sławnych i utytułowanych astronomów i astrofizyków – i tak jest też dzisiaj. Wśród artykułów opublikowanych przez polskich naukowców w „Nature” czy „Science” najwięcej dotyczy właśnie problematyki kosmicznej. Jest w tej grupie podgrupa szczególna i liczna – astronomek i astrofizyczek. Poprosiliśmy kilka z nich, by opowiedziały, co frapującego dostrzegły w kosmosie i jak przebiegają ich kariery naukowe. Zapytaliśmy też, czy łatwiej być astronomem niż astronomką.

Bariera 25 proc.

„Tego sztuczna inteligencja nie zrobi, to muszę zrobić ja”



Prof. **Bożena Czerny** z Centrum Fizyki Teoretycznej PAN w Warszawie – należy do największych w Polsce i na świecie autorytetów w dziedzinie astrofizyki.

To była fascynacja z czasów szkolnych, ale nie samą astronomią. Pomyślałam, że jeśli będę studiować fizykę, to dowiem się, dlaczego w przestrzeni można poruszać się w wielu kierunkach, a w czasie tylko w jednym. Niestety, nie dowiedziałam się tego. Podobała mi się bardzo ogólna teoria względności Einsteina, ale już była wymyślona. Na czwartym roku studiów zapytałam prof. Bohdana Paczyńskiego, czy astrofizyka będzie dla mnie dobrym wyborem. Stwierdził, że jak najbardziej i że właśnie w tej dziedzinie są ogromne możliwości stosowania tego, co Einstein wymyślił. I tak wybrałam astrofizykę.

Głównym polem moich zainteresowań są obserwacje aktywnych jąder galaktyk, zwłaszcza kwazarów. Stosuję wyniki tych badań do wyznaczania parametrów kosmologicznych, np. stałej Hubble'a. To pionierskie badania. Żeby odnieść w nich sukces, trzeba dobrze rozumieć strukturę aktywnych jąder galaktyk, czyli obserwować je długo, najlepiej latami – i to w różnych barwach. Są bardzo zmienne, ich promieniowanie fluktuuje, więc sygnały z różnych ich części docierają do nas z niejednakowym opóźnieniem. Te opóźnienia trzeba „przetłumaczyć” na jasność absolutną obiektu. A ta da nam też szansę wyznaczenia odległości do niego. W pracy z zeszłego roku dowiedliśmy, że to możliwe.

Moim zdaniem najważniejsza w astrofizyce jest wszechstronność. Jest zarazem najtrudniejsza do osiągnięcia – zwłaszcza dla młodych naukowców. Istnieje dużo badań wycinkowych, wąskich. Trzeba z nich oczywiście korzystać, jednocześnie próbując ich wyniki łączyć ze sobą, sklejać. Tego sztuczna inteligencja nie zrobi, to muszę zrobić ja. Najbardziej satysfakcjonujące w tej pracy są momenty, gdy do takiego wszechstronnego zrozumienia badanej materii dochodzi.

Czy trudniej być w Polsce astrofizyczką niż astrofizykiem? Trudne pytanie. Myślę, że dzisiaj te różnice coraz bardziej się zacierają, ale jeszcze niedawno były widoczne. Kiedyś, ale całkiem niedawno, dość powszechnie uważano, że miejscem dla kobiety jest raczej kuchnia, a nie obserwatorium astronomiczne. Że kobieta będzie wręcz zmniejszała powagę zawodu. To, że miałam szansę być w tym zawodzie, zawdzięczam głównie prof. Paczyńskiemu, który zobaczył we mnie potencjał i przyjął mnie do pracy. On był inny, nie miał żadnych uprzedzeń.

Teraz jednak kategoria płci traci na znaczeniu. Chociaż coś wciąż jest tu na rzeczy. Przez 10 lat pracowałam dla czasopisma „Astrophysical Journal”. Kiedyś przeprowadziliśmy coś w rodzaju *gender study*, sprawdzając, jaki jest procent kobiet wśród autorów artykułów, jaki wśród recenzentów i jaki jest ich udział w gremium Międzynarodowej Unii Astronomicznej. We wszystkich trzech przypadkach wyszło nam, że niewięcej niż 25 proc.

Piękny męski schemat

„Moim zdaniem na całym świecie kobietom wciąż trudniej niż mężczyznom zajmować się naukami ścisłymi”



Prof. **Agnieszka Pollo** z Narodowego Centrum Badań Jądrowych w Warszawie – wybitna kosmolożka, zastępczyni dyrektora ds. naukowych w NCBJ, założycielka renomowanego Zakładu Astrofizyki NCBJ, którym przez wiele lat kierowała.

Dlaczego kosmos? Hm... A dlaczego nie? Zawsze miałam szerokie zainteresowania, a co może być szersze czy większe od kosmosu? Nic.

eprasa.pl 56e4ba20b9

Zajmuję się astrofizyką pozagalaktyczną. Badam tzw. wielkoskalową strukturę wszechświata. W najpowszechniejszym dziś modelu zimnej ciemnej materii ze stałą kosmologiczną cały kosmos w 68 proc. składa się z ciemnej energii, prawie w 30 proc. z ciemnej materii i tylko w niecałych 5 proc. z materii barionowej, którą możemy obserwować i badać. Jest nawet gorzej, ponieważ większość naszych obserwacji dotyczy materii zawartej w galaktykach, a ta stanowi zaledwie ułamek barionowej. Wydaje nam się, że znamy już trochę wielkoskalową strukturę kosmosu, ale nasza wiedza opiera się na obserwacjach zaledwie maleńkiego ułamka ogólnego bilansu jego materii i energii. Musimy więc wciąż szukać nowych cegiełek, które nam więcej o wielkoskalowej strukturze powiedzą.

Jedną z nich są obecnie badane galaktyki o niskiej jasności powierzchniowej, ale o dużych masach. Jeszcze do niedawna uważano, że występują one bardzo rzadko, teraz jednak wiemy już, że jest ich bardzo dużo, może nawet połowa wszystkich. Mają bardzo niską jasność, ponieważ są bardzo rozciągnięte. Co za to rozciągnięcie odpowiada, tego jeszcze nie wiadomo. Jeśli poznamy ich wiele i zrozumiemy, jak działają, to może czegoś nowego o wielkoskalowej strukturze się dowiemy. A może też o ciemnej materii.

Najtrudniejsze w mojej pracy są sprawy organizacyjne, administracja, łączenie roli uczonego z rolą wicedyrektora. Centrum Badań Jądrowych to instytut bardzo duży, różnorodny, zatrudnia ponad 1200 osób, więc by to wszystko scalić i naukowo opanować, potrzeba naprawdę sporo pracy. A najwięcej satysfakcji daje mi obserwowanie młodych ludzi, którzy rozwijają się, zaczynają mieć własne pomysły i dojrzewają naukowo. Może trochę dzięki mnie tak się dzieje? Tak budujemy sobie grupę, sieć współpracy. I to jest ważne, ponieważ dzisiaj istotnych odkryć w astronomii nie dokonują samotne wilki.

Moim zdaniem na całym świecie kobietom wciąż trudniej niż mężczyznom zajmować się naukami ścisłymi. Idealna ścieżka rozwoju jest taka, że człowiek kończy studia, robi doktorat, potem odbywa staże podoktorskie, najlepiej w innych krajach, buduje sobie w ten sposób sieć znajomości naukowych, uczy się różnych rzeczy i gdzieś między czterdziestką a pięćdziesiątką znajduje stałe miejsce pracy. Wygodną profesurę. I to też jest czas, żeby znaleźć partnera życiowego, założyć rodzinę itd. Wszystko pięknie, tyle tylko, że jest to schemat męski. Poza tym to kobiety rodzą dzieci i to one zwykle biorą urlopy macierzyńskie, po których często niełatwo wrócić do kariery naukowej. Czasami to się udaje, ale dość często – nie.

A chciałam być kosmitką...

„Być może to nie ja wybrałam astronomię, ale astronomia wybrała mnie"



Dr hab. **Dagmara Oszkiewicz** z Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu – znana badaczka małych ciał Układu Słonecznego, czyli planetoid i tzw. obiektów bliskich Ziemi (NEO).

Nie potrafię powiedzieć, skąd wzięło się u mnie zainteresowanie kosmosem. Wiem tylko, że kiedy byłam mała, w przedszkolu panie czasami pytały nas, kim zostaniemy w dorosłym życiu – i ja zawsze odpowiadałam, że chciałabym zostać kosmitką. Być może to nie ja wybrałam astronomię, ale astronomia wybrała mnie.

Interesuję się głównie planetoidami typu bazaltowego, czyli takimi, które pozostały po rozerwaniach planetozymali, a więc zalążków planet, w bardzo wczesnym okresie kształtowania Układu Słonecznego. Dzięki ich badaniu możemy próbować poznać historię planet i ewolucję całego systemu. Badamy różne ich właściwości: mineralogię, kształt, rozmiary i rozkład w przestrzeni. Zajmujemy się też misjami kosmicznymi do planetoid, ponieważ w ostatnich latach zrealizowano kilka udanych wypraw do nich. To zupełnie nowy rozdział. No i są obiekty zbliżające się do Ziemi, o niezerowym prawdopodobieństwie zderzenia z naszą planetą. Zajmujemy się badaniem ich orbit, przewidywaniem trajektorii.

Najbardziej satysfakcjonujące w mojej pracy jest docieranie do prawdy naukowej, której nikt wcześniej nie odkrył. Poza tym badam obiekty, do których można dolecieć i nawet pobrać próbki ich materii. W przypadku obiektów spoza Układu Słonecznego to niemożliwe. My możemy dotknąć materii, którą badamy – i to jest wspaniałe.

W przypadku kobiet rozwój naukowy, czyli doktorat, staże podoktorskie itd., są bardzo często skorelowane z czasem macierzyństwa – a wtedy ich aktywność jest znacznie ograniczona lub wręcz zatrzymana. Nawet roczna przerwa w karierze naukowej to bardzo dużo. Nadal większość obowiązków opiekuńczych spada u nas na kobiety. Myślę też, że w Polsce, inaczej niż w krajach Zachodu, nie ma jeszcze wystarczających metod wsparcia, grantów pomocowych itd. To się uwidacznia w danych statystycznych: wyraźnie widać, że mamy dużo studentek i doktorantek, ale już profesorek jest zdecydowanie mniej niż profesorów.

Gwiazdy zmienne, więc ciekawe

„Będąc tu, na Ziemi, dowiadujemy się czegoś ważnego o naturze odległych obszarów, do których nigdy nie zdołamy dotrzeć"



Prof. **Dorota Skowron** z Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Warszawskiego – ceniona znawczyni Drogi Mlecznej, a także małych galaktyk satelickich, głównie Obłoków Magellana. Należy do słynnej grupy OGLE realizującej Eksperyment Soczewkowania Grawitacyjnego.

© MATERIAŁY PRASOWE, LESZEK ZYCH, ARCHIWUM PRYWATNE, MIROSŁAW KAŹMIERCZAK/UW

eprasa.pl 56e4ba20b9

Zetknęłam się z astronomią dopiero w liceum, gdy zaczęłam dużo czytać o kosmosie i fizyce. Gdy nadszedł czas wyboru kierunku studiów, pomyślałam sobie: dlaczego nie? Przecież to takie ciekawe.

Zajmuję się gwiazdami – w naszej galaktyce, ale też w galaktykach bliskich nam, satelitarnych. W szczególności badam gwiazdy zmienne. To głównie cefeidy, czyli zmienne pulsujące, choć zajmowałam się też gwiazdami zaćmieniowymi. Cefeidy dzięki zmieniającej się jasności ujawniają nam o wiele więcej sekretów niż gwiazdy stałe, dlatego są ciekawe. A poza tym mogą nam też służyć za narzędzia, np. do wyznaczania odległości w kosmosie.

Dużym echem na świecie odbiło się nasze odkrycie kształtu dysku galaktycznego Drogi Mlecznej, którego wyniki opublikowało czasopismo „Science" w 2019 r. W badaniach wykorzystaliśmy właśnie gwiazdy zmienne pulsujące, cefeidy klasyczne, odkryte w ramach projektu OGLE, dzięki którym mogliśmy stworzyć trójwymiarową mapę dysku naszej Galaktyki. Okazało się, że jest charakterystycznie zakrzywiony, na jednym końcu zagięty ku górze, na drugim ku dołowi.

Naszą Galaktykę znamy stosunkowo dobrze, ale sporo zostało do odkrycia. Na przykład nie wiemy dokładnie, ile ma ramion spiralnych, jaki jest stopień ich nawinięcia, czy mają regularny kształt, czy raczej się rozpraszają. Nie mamy pewności, ile naprawdę mamy gwiazd, jaki jest ostatecznie rozmiar dysku Galaktyki, czy ok. 120 tys. lat świetlnych, czy może 150 albo nawet 200 tys. Nie wiemy, ile rodzi się w niej nowych gwiazd rocznie. Te szacunki się zmieniają.

Najbardziej satysfakcjonująca dla mnie jest radość odkrywania, a także świadomość, że tu, na Ziemi, dowiadujemy się czegoś ważnego o naturze obszarów, do których nigdy nie zdołamy dotrzeć.

Sama na szczęście nigdy nie doświadczyłam różnicy w traktowaniu naukowców ze względu na ich płeć. Może na studiach dawało się odczuć inne podejście do studentów niż do studentek – ale zaczynałam studia w 1999 r. i od tamtego czasu na pewno wiele się zmieniło. W obserwatorium warszawskim zawsze czułam się dobrze, mimo że aż trzy razy byłam na urlopie macierzyńskim – jednak miałam też zawsze silne wsparcie rodziny i zawsze udawało mi się wrócić i zajmować dalej badaniami.

Częste zmiany planów

„Wszechświata nie bada się już w samotności, lecz w wielkich grupach międzynarodowych"



Prof. **Katarzyna Małek** z Narodowego Centrum Badań Jądrowych w Warszawie – kierowniczka Zakładu Astrofizyki NCBJ. Jest uznaną ekspertką w modelowaniu widm galaktyk i wpływu pyłu na ich właściwości.

Dlaczego kosmos? Ponieważ jest ogromny i tajemniczy, a ja zawsze pragnęłam, żeby moja praca była przede wszystkim interesująca. Poza tym nauki o kosmosie bardzo szybko się rozwijają, mamy wiele niezwykłych misji badawczych, powstają wciąż nowe plany obserwacyjne. Codziennie dzieje się coś nowego. Dodatkowo wszechświata nie bada się już w samotności, lecz w wielkich grupach międzynarodowych, w których dochodzi do wymiany myśli i wymian kulturowych – i to też jest ciekawe.

Zajmuję się bardziej odległym wszechświatem, a dokładnie ewolucją galaktyk, a jeszcze dokładniej – modelowaniem ich widm. Analizuję ich właściwości w różnych długościach spektrum elektromagnetycznego. Badam ich masy gwiazdowe, tempa narodzin nowych gwiazd, ich otoczenia. Analizuję też galaktyki o niskiej jasności powierzchniowej, bardzo ciekawe i dziwne, ledwo widoczne, ciemniejsze niż tło naszego nieba. Do niedawna bardzo trudno było je wykryć, ale dzisiaj już to się udaje.

Najtrudniejsze, ale też intrygujące w mojej pracy są dość częste i nagłe zmiany planów, zwykle związane z nowymi obserwacjami, ze spotkaniami grup, z odkryciami. Interakcje z osobami przynależącymi do innych kultur też bywają wymagające. Z kolei raportowanie grantów jest bardzo żmudne. Za to najbardziej satysfakcjonujące są odkrycia i publikacje. A poza tym – przekazywanie wiedzy. Wspaniale się czuję, gdy widzę, że mój doktorant czy doktorantka obronili się, że zdobywają pozycję i idą w swojej karierze dalej.

Trudniej być astronomką niż astronomem. Często wyjeżdża się daleko i na długo, czas pracy jest nienormowany. Połączenie życia zawodowego z prywatnym jest trudne, szczególnie gdy są dzieci. Poza tym wciąż, chociaż może w coraz mniejszym stopniu, kulturowo zakodowane jest u nas przekonanie, że fizykiem, a ogólniej naukowcem, jest mężczyzna. Tę trudność widać także statystycznie, ponieważ dużo jest kobiet, które kończą studia doktoranckie i bronią doktoratu, ale niewiele z nich potem zostaje w nauce. Brak też u nas istniejących w innych krajach grantów pomocowych, które łagodzą trudności bycia naukowcem i matką.

Gołym okiem nie widać

„Kobietom trudniej jest robić karierę naukową, zwłaszcza gdy mają dzieci i trzeba wyjechać na staż za granicę"



Dr **Agata Karska** z Instytutu Studiów Zaawansowanych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu – zajmuje się bardzo interesującym, ale do niedawna słabo poznanym zagadnieniem, a mianowicie narodzinami gwiazd.

eprasa.pl 56e4ba20b9

Już w szkole podstawowej nurtowały mnie pytania, jak powstają gwiazdy i galaktyki, z czego są zbudowane. W szkole średniej prowadziłam pierwsze obserwacje, szczególnie gwiazd zmiennych, ale dzisiaj zajmuję się obiektami, których gołym okiem nie widać.

Zajmuję się protogwiazdami, czyli pierwszymi etapami na drodze do utworzenia się już pełnoprawnej gwiazdy, a także badaniem towarzyszących im dysków protoplanetarnych. Gdy robiłam doktorat, podstawowym narzędziem w mojej pracy było Kosmiczne Obserwatorium Herschela, potem prowadziłam obserwacje w bliskiej podczerwieni na Bardzo Dużym Teleskopie (VLT) oraz w zakresie milimetrowym – na radioteleskopach ALMA i APEX. Ale teraz mamy nową zabawkę, czyli Kosmiczny Teleskop Jamesa Webba, który zmienił wiele. Od kilku lat zajmuję się także wielkoskalowym badaniem powstawania gwiazd w naszej Galaktyce. Już nie tylko pojedynczymi obiektami, ale bardziej przekrojowo, dużymi obszarami Drogi Mlecznej, szczególnie w jej zewnętrznych partiach. Do niedawna pracowałam dużo za granicą, czyli w Niemczech i w Holandii, a obecnie kieruję grupą badawczą astrofizyki molekularnej w Instytucie Studiów Zaawansowanych na UMK w Toruniu.

Kobietom trudniej jest robić karierę naukową, zwłaszcza gdy mają dzieci i trzeba wyjechać na staż za granicę. Tak było w moim przypadku. Trzeba było jakoś logistycznie przygotować wyjazdy z całą rodziną, co wcale nie było łatwe. Poza tym moim zdaniem kobiety w tym zawodzie rzadziej zdobywają uznanie. Widzę, że nie bywają nominowane do nagród czy wyróżnień tak często jak mężczyźni.

Najpierw zostałam matką

„W samym Centrum mamy tylko kilka kobiet na 75 pracowników naukowych. To coś mówi"



Prof. **Agata Różańska** z Centrum Astronomicznego im. Mikołaja Kopernika PAN w Warszawie – zastępczyni dyrektora ds. naukowych CAMK PAN w Warszawie.

Astronomką zostałam trochę przez przypadek. Moja mama była inżynierem i często zabierała mnie ze sobą do pracy. Dostrzegłam wówczas, że pracujący tam ludzie mają raczej nudną pracę, ponieważ bez przerwy siedzą nad deskami kreślarskimi. Byłam dość uzdolniona matematycznie i chciałam mieć ciekawsze zajęcie, więc pomyślałam, że będzie nim może badanie kosmosu. Przy czym wcześniej niż astronomką zostałam matką, gdyż moje pierwsze dziecko urodziło się niedługo przed obroną magisterską. W tamtym czasie bardzo wspomagała mnie przyszła promotorka mojej pracy doktorskiej prof. Bożena Czerny. W dużej mierze to dzięki niej zdołałam pogodzić macierzyństwo z pracą naukową. Nie było to łatwe, ale się udało. Potem, przed doktoratem, urodziło się drugie dziecko, ale wtedy istotna okazała się bardzo pomoc babć.

Zajmuję się badaniami akrecji, czyli opadania materii na obiekty zwarte, takie jak czarne dziury lub gwiazdy neutronowe. Istnieją supermasywne czarne dziury w centrach galaktyk, ale też czarne dziury gwiazdowe, znacznie mniejsze. I w jednym, i w drugim przypadku ich otoczenie świeci; a dokładniej świecą dyski akrecyjne, czyli materia opadająca na obiekt centralny – i to widać, głównie w zakresie promieniowania rentgenowskiego. Oczywiście supermasywne czarne dziury są miliony razy większe niż te powstałe w wyniku ewolucji gwiazd, ale astronomowie starają się znaleźć wspólne prawa rządzące akrecją na te duże i małe obiekty. Próbują dowieść, że fizycznie to jest to samo. Tym właśnie się zajmuję. Szukam modelu, który działa w obu przypadkach.

Dość trudne, ale ważne w mojej pracy jest tworzenie grup badawczych, ponieważ badania astronomiczne wykonuje się zespołowo. Najbardziej satysfakcjonujące jest dla mnie promowanie studentów. Strasznie się zawsze cieszę, jak młody człowiek zrobi doktorat i idzie w świat.

Kobietom trudniej, moim zdaniem, jest być astronomką lub astrofizyczką, ale to dotyczy chyba wszystkich nauk ścisłych. Jestem pierwszą kobietą w CAMK, która piastuje w nim stanowisko menedżerskie. W samym Centrum mamy tylko kilka kobiet na 75 pracowników naukowych. To coś mówi.

WYSŁUCHAŁ PRZEMEK BERG

© ARCHIWUM PRYWATNE (2), ONEHD

REKLAMA



eprasa.pl 56e4ba20b9

Moja nauka murem podzielona

Spór o listę czasopism to nie akademicka kłótnia o punkty, lecz o to, czym ma być polska nauka: lokalnym kręgiem wzajemnej adoracji czy globalną rozmową.

DARIUSZ JEMIELNIAK



Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego zapowiedziało nowe zasady ewaluacji naukowej. I rozpętała się burza. Awantura na temat nowej listy czasopism i wydawnictw wygląda z zewnątrz jak typowa akademicka dyskusja o detalach. A jednak nią nie jest. To spór o definicję tego, czym w ogóle jest nauka w Polsce – i komu wolno tę definicję ustalać.

Ministerstwo proponuje system, w którym polskojęzyczne czasopisma i krajowe wydawnictwa mają otrzymać punktację porównywalną z czołowymi periodykami i oficynami międzynarodowymi. Na pierwszy rzut oka brzmi to rozsądnie: doceńmy to, co nasze. Jednak za tym hasłem kryją się dwa zupełnie różne postulaty, celowo lub przez niedbalstwo ze sobą zmieszane. Pierwszy jest uzasadniony. Drugi – destrukcyjny.

Zacznijmy od tego, co jest prawdą. Część dyscyplin humanistycznych z natury rzeczy funkcjonuje przede wszystkim w obiegu krajowym i nie ma w tym niczego złego. Historyk badający lokalne archiwa sejmikowe z XVII w., prawnik analizujący orzecznictwo polskich sądów administracyjnych, filolog pracujący nad recepcją Brunona Schulza – piszą po polsku, bo ich odbiorcy i źródła są polskie. Badania tego rodzaju mają swój naturalny obieg i ten obieg jest lokalny. To oczywistość, którą uznają nawet najbardziej zagorzali zwolennicy umiędzynarodowienia.

Tyle że z tej słusznej obserwacji wyciąga się wniosek absurdalnie szeroki: skoro niektóre badania humanistyczne sensownie funkcjonują lokalnie, to cały system powinien premiować publikowanie w kraju. Socjologia, psychologia, ekonomia, zarządzanie, nauki o komunikacji, a nawet znaczna część historiografii czy filozofii – to dyscypliny, w których zamknięcie się w krajowym obiegu nie jest „ochroną tożsamości", lecz rezygnacją z udziału w globalnej rozmowie naukowej.

Resort uzasadnia reformę potrzebą „ratowania" polskojęzycznego publikowania, rzekomo zagrożonego. Dane mówią coś dokładnie przeciwnego. W poprzedniej ewaluacji nauk społecznych i humanistycznych około trzech czwartych zgłoszonych publikacji było w języku polskim. W niektórych dyscyplinach – ponad 80 proc.!

Jeśli w naukach społecznych i humanistycznych mały procent dorobku ewaluacyjnego stanowią publikacje w realnym obiegu międzynarodowym, to trudno twierdzić, że język polski jest zagrożony. Pytanie, które powinniśmy sobie zadawać, brzmi inaczej: czy system, w którym przytłaczająca większość badaczy nigdy nie wystawia swoich prac na ocenę międzynarodową, tworzy naukę zdolną odpowiadać na realne problemy?

Badania porównawcze wzorców publikacyjnych w naukach społecznych i humanistycznych w Europie pokazują, że kraje o silniejszej orientacji międzynarodowej osiągają też lepsze wyniki w pozyskiwaniu grantów europejskich i w rankingach cytowań. Korelacja to nie przyczynowość, ale wzorzec jest wyraźny.

Propozycja, by monografie wydane w krajowych oficynach wyceniać punktowo na tym samym poziomie, co książki opublikowane np. w Yale University Press, jest z gruntu absurdalna. Wydanie książki w czołowym wydawnictwie

© KAENTIAN STREET/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 56e4ba20b9

międzynarodowym wymaga wielomiesięcznego, czasem wieloletniego procesu recenzyjnego, w którym tekst oceniają niezależni eksperci z całego świata, i to tylko jeśli redakcja wydawnictwa zdecyduje się wysłać go do oceny po ostrej selekcji nadesłanych propozycji. Rywalizacja o miejsce w katalogu jest mordercza. Wydanie monografii w wielu polskich wydawnictwach naukowych? Bywa, że wystarczy złożyć maszynopis i opłacić publikację. System punktacyjny, który nie rozróżnia tych poziomów, nie jest „demokratyczny" ani „sprawiedliwy", lecz po prostu ślepy.

Autorzy Manifestu Lejdejskiego, dokumentu stanowiącego punkt odniesienia dla polityki bibliometrycznej na świecie, wprost ostrzegają przed konstruowaniem wskaźników, które zachęcają do gry systemem zamiast do poprawy jakości badań. Zrównanie krajowej monografii z publikacją w prestiżowym wydawnictwie międzynarodowym to dokładnie ten rodzaj błędu.

Tu dochodzimy do sedna problemu, o którym w debacie mówi się najrzadziej. Za postulatem „docenienia polskich czasopism i wydawnictw" kryje się – obok uzasadnionej troski o humanistykę – coś znacznie mniej szlachetnego: interes osób i środowisk.

W polskim systemie akademickim istnieje rozległa szara strefa nauki pozorowanej. Są czasopisma, w których recenzja to formalność – redaktor zna autora, autor zna recenzenta, recenzent wie, że następnym razem role się odwrócą. Są wydawnictwa, które opublikują niemal każdy tekst – pod warunkiem że ktoś za to zapłaci lub że autor jest „z kręgu". Są całe ścieżki kariery zbudowane na publikacjach, których nikt poza autorem i dwoma recenzentami nie przeczytał – a i ci recenzenci niekoniecznie przeczytali uważnie. To nie jest marginalne zjawisko. W systemie, w którym trzy czwarte publikacji w naukach społecznych i humanistycznych nigdy nie opuszcza krajowego obiegu, skala tego procederu nie jest trywialna.

Ludzie, którzy zbudowali swoje kariery w ten sposób, mają racjonalny interes w tym, by system ewaluacji nie rozróżniał zbyt wyraźnie między publikacją poddaną ostrej międzynarodowej selekcji a tekstem wydanym po znajomości w lokalnym periodyku. Nie umiejąc uprawiać nauki, a chcąc wykazać się międzynarodowo, w ostatnich latach rozpaczliwie rzucili się do publikowania w zagranicznych czasopismach drapieżnych, ale chętniej wróciliby do łowienia w lokalnym mętnym stawie, w którym wszystkich znają, a wszyscy znają ich.

Dla nich podwyższenie punktacji krajowych czasopism to nie „ochrona polskiej kultury". To ochrona własnej pozycji w hierarchii prestiżu i władzy akademickiej. Pozwala im dalej zasiadać w komisjach, recenzować habilitacje, decydować o awansach – z dorobkiem, który w międzynarodowym obiegu nie miałby żadnej wartości. Najgorsze, że system ten się replikuje: podejmując decyzje w kwestiach awansu, zatrudnienia czy grantów, będą uznawać za najlepszych tych, którzy produkują wyroby naukopodobne, aby umacniać własną legitymizację. Dlatego w wielu dyscyplinach pomysł, aby demokratycznie wypytać środowisko, jakie publikacje są najwięcej warte, jest z piekła rodem. To przecież nie tylko walka o symboliczny prestiż, ale też o bardzo realne zasoby: pensje, nagrody, lepsze warunki zatrudnienia.

Najbardziej szkodliwe w całej tej debacie jest narzucone fałszywe przeciwstawienie: albo „zachodnie mody" i pogarda dla polszczyzny, albo „ochrona krajowej kultury naukowej". Tymczasem rozwiązanie leży po prostu w uczciwym rozróżnieniu. Istnieją konkretne propozycje, wielokrotnie zgłaszane: trójpodział na listę opartą na międzynarodowych bazach (Scopus, Web of Science), listę obejmującą inne indeksowane bazy (np. ERIH+ dla specyfiki humanistycznej) oraz odrębną listę wydawnictw krajowych z niższą, ale jasno zdefiniowaną punktacją i proporcjami. Proste, tanie, przejrzyste.

Można by też wydzielić dyscypliny, w których lokalne publikacje powinny być szczególnie cenne. Łatwo też można sobie wyobrazić wymóg, aby w każdym okresie ewaluacyjnym opublikować jedną pracę polskojęzyczną, której punktacja powinna jednak zachowywać elementarne proporcje wobec wysiłku i skali osiągnięcia.

Wreszcie, jeżeli problemem jest wyłonienie gremiów eksperckich do stworzenia rankingów czasopism i wydawnictw, wystarczy zapytać osoby, których wybitność jest niekwestionowana – choćby laureatów grantów ERC czy innych prestiżowych nagród, nie organizując jednak ogólnokrajowego plebiscytu. Oczywiście wykorzystanie komitetów PAN jest jakimś rozwiązaniem, ale nie dotyczy fundamentalnej kwestii: koniec końców ktoś musi odważnie wziąć odpowiedzialność za reguły, które poprawią sytuację, a nie ją pogorszą.

Nauka w języku polskim potrzebuje profesjonalizacji: lepszych procedur recenzyjnych, indeksowania w bazach międzynarodowych, otwartego dostępu, wyższych standardów edytorskich, kosztownej cyfryzacji, pomocy redakcjom. Dosypanie punktów krajowym periodykom nie podniesie ich jakości.

Warto przy tym pamiętać, że polski system ewaluacji nauki w ogóle nie potrzebuje punktów! Tylko trzeba sobie jasno powiedzieć, że do oceny jednostek wystarczy, aby przedstawiły co kilka lat np. dziesięć najważniejszych dokonań. Dziesięć – na setki pracowników i wiele lat, bo realnie i tak rzadko się zdarza, że mają ich na absolutnie najwyższym poziomie więcej. Te publikacje spokojnie mogłyby jakościowo ocenić gremia eksperckie, najlepiej spoza lokalnych środowisk. Kosztowałoby to nie więcej niż obecny system.

Jest to jednak rozwiązanie niewykonalne z prostej przyczyny: nikomu – zarówno ministerstwu, jak i uczelniom, ani także większości osób zatrudnionych na stanowiskach naukowych w Polsce – nie zależy na tym, aby utrudnić uprawianie nauki pozorowanej. Na tym może zależeć jedynie osobom z zewnątrz, np. młodym ludziom, którym strzeli do łba pracować za pensję minimalną, ale będą mieli przy tym bezczelne międzynarodowe ambicje. Względnie osobom, które postawiły na uczestnictwo w rozwoju realnej nauki, czasem dziwacznie nazywanej światową, tak jakby była jakaś inna.

Gdyby zacząć ich słuchać, mogłoby się okazać, że król jest nagi, i trzeba by zacząć rozmawiać o kwestiach, których nie da się załatwić rozporządzeniem. Na przykład o tym, że budżet polskiej nauki jest najniższy w procencie PKB od wielu lat i niewiele większy niż połowa tego, co na naukę łożą europejscy przeciętniacy. Ambicje zaś mamy od przeciętnych znacznie bardziej wybujałe.

Prof. dr hab. **Dariusz Jemielniak** – profesor zarządzania na Akademii Leona Koźmińskiego, wiceprezes PAN, faculty associate Berkman Klein Center for Internet and Society na Uniwersytecie Harvarda.

eprasa.pl 56e4ba20b9



Portret królowej namalowany po 1865 r.

Marysieńka bez Sobieskiego

ANNA CZARNIECKA

Gdy Maria Kazimiera opuszczała Rzeczpospolitą po śmierci Jana III Sobieskiego, miała 57 lat. Nie zamierzała się pogodzić z rolą zapomnianej wdowy. Została celebrytką w stolicy chrześcijaństwa.

eprasa.pl 56e4ba20b9

Jest pamiętana wyłącznie jako Marysieńka, ukochana Jana III Sobieskiego. Tymczasem Francuzka Maria Kazimiera po 31 latach małżeństwa rozpoczęła samodzielną karierę polityczną – na tyle, na ile było to możliwe dla kobiety w XVII w. Dla królowej wdowy nową sceną, na której przez 15 lat walczyła o wpływy polityczne i prestiż Domu Sobieskich, stał się Rzym, stolica europejskiej dyplomacji.

Jeśli wierzyć zapewnieniom jej samej, wyjazd do Wiecznego Miasta rozważała jeszcze za życia Jana III (zmarł w 1696 r.). Z jednej strony chciała podratować nadszarpnięte zdrowie męża, z drugiej – nieco naiwnie liczyła, że po jego abdykacji szlachta zgodzi się na elekcję *vivente rege* ich najstarszego syna Jakuba.

Po śmierci męża, rozczarowana porażką elekcyjną Jakuba i relacjami z nowym władcą Rzeczpospolitej – Augustem II Wettinem, przyjęła osobiste zaproszenie od papieża Innocentego XII na obchody Roku Jubileuszowego 1700.

Inspiracją była dla niej szwedzka królowa Krystyna Waza, która zamieszkała w Rzymie po abdykacji ponad cztery dekady wcześniej. Choć w jednym z listów Maria Kazimiera oświadczyła Jakubowi, że jest już stara i potrzebuje „odpoczynku i rozmyślań o tamtym świecie", jej pobyt w Wiecznym Mieście okazał się wyjątkowo intensywny politycznie.

Wjazd z wielbłądami

Od samego początku chciała zrobić wielkie wrażenie w stolicy świata chrześcijańskiego, aby wzmocnić pozycję Domu Sobieskich na arenie międzynarodowej. Przygotowania do wyjazdu zaczęła z dużym wyprzedzeniem, kupując drogocenne materie, reprezentacyjne karety, stroje, a także koronki i rękawiczki prosto z Paryża. Wiedziała, że zainteresowanie Rzymian wzbudzą pajukowie – dworscy pokojowcy odziani w orientalne stroje. Zamówiła więc dla nich tuzin srebrnych pasów z szablami oraz srebrne laski z polskim orłem i tarczami herbowymi obu jej rodzin: Sobieskich i d'Arquienów.

Podróż wdowy po słynnym zwycięzcy spod Wiednia zamieniła się – jak napisał jej biograf Michał Komaszyński – w triumfalny pochód wiodący przez Rzeczpospolitą, cesarstwo i Italię. Wszędzie witano ją z najwyższymi honorami, pośród aplauzów, a królowa dbała, by jej najstarszy syn doniósł o tym wrogom Sobieskich w kraju.

Jej wjazd do Rzymu na czele wielkiego orszaku, w którym znalazły się nawet wielbłądy, wzbudził ogromne zainteresowanie mieszkańców, stając się – według relacji dyplomatów francuskich – międzynarodowym wydarzeniem. Każdy chciał zobaczyć wdowę po „Zbawicielu chrześcijaństwa" – jak nazywano Jana III. Wtedy jeszcze było ją stać na taką ostentację – miała dochody z dóbr po obu mężach (pierwszym był bogaty magnat Jan Sobiepan Zamoyski), a także pieniądze zdeponowane na wysoki procent w Paryżu. Z czasem, w związku ze zniszczeniami podczas wielkiej wojny północnej, jej majątek zaczął topnieć, co zmusiło ją do zastawiania klejnotów i zaciągania pożyczek.

Na razie jednak z zapałem przystąpiła do budowania swojej pozycji w Rzymie. Nawiązywała znajomości z najważniejszymi osobistościami i zabiegała o popularność wśród rzymskiego ludu. Do czasu okazałego wjazdu na Kwirynał i oficjalnej audiencji u papieża występowała *incognito*, co pozwoliło jej na swobodne obserwowanie życia miasta i panujących w nim zwyczajów. A było na co patrzeć. Barokowy Rzym był wielką sceną teatralną, na której rozgrywały się wspaniałe widowiska zarówno natury religijnej, jak i świeckiej.

W niedalekiej przyszłości królowa stanie się ich uczestniczką, ale i organizatorką – koncerty i przedstawienia teatralne sławiące czyny Jana III, zamawiane u najlepszych twórców i wystawiane w jej rezydencji Palazzo Zuccari (w pobliżu Schodów Hiszpańskich) będą przyciągać tłumy.

Ulubienica papieży

Zanim Maria Kazimiera zasłużyła na miano mecenaski sztuki, postanowiła wykreować swój wizerunek kobiety bogobojnej. Od pierwszych dni gorliwie odwiedzała rzymskie świątynie, nawet kilka dziennie, witana dźwiękami bijących dzwonów i oklaskami przechodniów. Ambasador francuski w Rzymie, Ludwik I Grimaldi, skomentował uszczypliwie, że królowa wie, jak zyskać zaufanie Innocentego XII. Uczestniczyła we wszystkich uroczystościach liturgicznych związanych z obchodami Bożego Narodzenia i Wielkanocy oraz w ceremoniach Roku Jubileuszowego 1700. Brała udział w akcie *possesso*, czyli objęcia władzy przez nowo wybranego papieża Klemensa XI, który – dosiadając konia – przejeżdżał odświętnie ustrojonymi ulicami miasta w asyście kardynałów na mulicach.

Co roku pokonywała na kolanach wraz z wnuczką – swoją imienniczką Marią Kazimierą – 208 stopni Świętych Schodów, znajdujących się naprzeciwko Bazyliki św. Jana na Lateranie. Maria Kazimiera nie tylko na początku, ale też przez cały pobyt w Rzymie regularnie uczestniczyła w mszach świętych, modliła się żarliwie o zdrowie bliskich i hojnie rozdawała jałmużny biednym. Ponadto w okresach postów chroniła się przed światem w klasztorach, zwłaszcza u ulubionych karmelitanek w pobliżu Palazzo Zuccari lub na Zatybrzu. Oddawała się wówczas religijnej refleksji, ale nie tylko – prowadziła rozległą korespondencję zarówno z wielkimi tego świata, jak i ze swoimi sługami.

Publicznie demonstrowana dewocja królowej nie stała w sprzeczności ▶



Szkatułka na kosztowności według tradycji należąca do Marii Kazimiery

© DOMENA PUBLICZNA (2)

eprasa.pl 56e4ba20b9

▶ z głęboką wiarą, o czym świadczy jej korespondencja z królewiczem Jakubem, wypełniona odniesieniami do Boga.

Maria Kazimiera przyjęła strategię nawiązania jak najlepszych relacji z papieżem, kardynałami i miejscowymi arystokratami, szybko zyskując status celebrytki. Obaj papieże – Innocenty XII i Klemens XI – wyświadczali królowej wiele uprzejmości i często przyjmowali ją na swoim dworze. Innocenty XII, który jako nuncjusz apostolski w Rzeczpospolitej udzielił Marysieńce ślubu z Sobieskim, już trzy dni po przyjeździe zaprosił ją na prywatną audiencję, ofiarowując zapasy wybornego wina, oliwy, cytrusów i czekolady.

Klemens XI cierpliwie wysłuchiwał Marii Kazimiery podczas wielogodzinnych audiencji, gdy zabiegała o jego poparcie dla starań Jakuba o odzyskanie korony z pomocą króla szwedzkiego Karola XII. Jedna z nich zakończyła się po 2.00 w nocy!

Papież odwiedzał królową osobiście. Wiosną 1701 r. donosiła Jakubowi, iż „ozdobił tyloma znakami dobroci swoją wizytę, że nie można nic do tego dodać". Przyniósł jej w prezencie świeże poziomki. *La Regina di Polonia* – jak nazywano ją w Rzymie – starała się odwdzięczać papieżom, prosząc m.in. najstarszego syna o przysłanie do Rzymu białego „pięknego konia, ale łagodnego", zdobytego podczas wojen tureckich, czy bursztynowych świeczników i krucyfiksu z Gdańska.

Wśród arystokracji

Utrzymywała równie dobre relacje z najbardziej wpływowymi kardynałami, m.in. z Carlo Barberinim, Pietro Ottobonim czy Opizio Pallavicinim. Pisała o nich jako o przyjaciołach Domu Sobieskich, przy czym z Ottobonim, wicekanclerzem Świętego Kościoła Rzymskiego i jednocześnie wielkim mecenasem sztuki, łączyły ją szczególnie zażyłe stosunki. Miał nieograniczony wstęp do jej rezydencji, podczas gdy inni kardynałowie musieli zapowiadać wizyty przez posłańców. Kardynał francuski de Bouillon podejrzewał nawet królową o romans z purpuratem.

Musiała wyrobić sobie mocną pozycję wśród kardynałów, skoro odwiedzali ją w drodze na konklawe, konsultując kandydatury na Stolicę Piotrową. Dyplomaci francuscy alarmowali Ludwika XIV o jej silnych wpływach wśród książąt Kościoła. Sama królowa była przekonana o swoim znaczącym udziale w wyborze kardynała Giovanniego Albaniego na nowego papieża i domagała się od niego wdzięczności, czyli przysług na rzecz rodziny Sobieskich. Dotyczyło to także kardynałów, których wykorzystywała m.in. przy staraniach o nadania ziemskie dla Jakuba u króla hiszpańskiego Karola II Habsburga.

O jej sympatię rywalizowali też miejscowi arystokraci, którzy traktowali znajomość z polską królową jako formę nobilitacji i zapewne liczyli na jej koneksje na papieskim dworze. Wśród nich „najlepszym księciem na świecie" – jak napisała do syna – był Don Livio Odescalchi. Świeżego awansu, ale dysponujący jednym z największych majątków w Italii, zaoferował królowej gościnę w swoim pałacu wypełnionym dziełami sztuki. Mieszkała tam do czasu wynajęcia w 1701 r. Palazzo Zuccari i Willi Torres.

Z kolei rodziny Pamphilich, d'Este czy Costagutich zapraszały ją do swoich podmiejskich rezydencji, by mogła odpocząć od upałów i „zażyć dobrego powietrza". Królowa bywała więc we Frascati, Tivoli i Nettuno, a także w Castel Gandolfo należącym do papiestwa. Zachwycała się urodą włoskich willi otoczonych ogrodami z fontannami, podkreślając, że stanowią one doskonałe połączenie natury i sztuki. Wreszcie w 1703 r. sama wynajęła podmiejską willę od strony Porta Pia, z rozległym widokiem, gdzie – wzorem królowej Krystyny – zamierzała prowadzić wykopaliska w poszukiwaniu starożytnych artefaktów.

Konflikty o taborety

Jedyną grupą, z którą królowa nie ułożyła sobie poprawnych relacji, byli zagraniczni dyplomaci, głównie francuscy i cesarscy, ale także weneccy. W jednym z listów do Jakuba skarżyła się: „całe Święte Kolegium i cały Rzym są oburzeni zawziętością tych ambasadorów wobec mojej osoby". Źródłem konfliktów był ceremoniał, który drobiazgowo regulował traktowanie na ówczesnych dworach. Przestrzegano go skrupulatnie, a każde odstępstwo uznawano za afront. Dotyczyło to m.in. audiencji, podczas których gościom oferowano miejsca siedzące ściśle odpowiadające ich randze: krzesło z podłokietnikami, krzesło bez nich lub taboret.

Maria Kazimiera, podobnie jak niegdyś Krystyna Waza, zaproponowała ambasadorom taborety, na co ci w żadnym razie nie chcieli przystać. Twierdzili, że jako królowa elekcyjna, stojąca niżej w dworskiej hierarchii od monarchini dziedzicznej, powinna oferować im krzesła. Spór, z pozoru błahy, ciągnął się przez kilka miesięcy i w istocie dotyczył nie mebli, lecz rangi królowej Polski. Maria Kazimiera oświadczyła, że nie może „złagodnieć w tej kwestii, nie działając na szkodę Korony Polskiej".

Na tym jednak konflikt się nie zakończył. Podczas inauguracji obchodów Roku Jubileuszowego, czyli otwarcia Świętych Drzwi, królowa zasiadła w loży umieszczonej wyraźnie wyżej niż loże ambasadorów, a do tego kazała rozłożyć pod swoimi stopami dywan z czarnego aksamitu. Jej zachowanie wywołało wściekłość dyplomatów i było szeroko komentowane w mieście.

Skandal z Tollą

O polskiej królowej było głośno jeszcze z innego powodu – została zamieszana w skandal obyczajowy, którego głównym bohaterem był jej najmłodszy syn – Konstanty. Królewicz, utracjusz i bawidamek, podczas pobytu w Rzymie wdał się w burzliwy romans. Jego wybranką była piękna kurtyzana i śpiewaczka zwana Tollą, która porzuciła dla Konstantego dotychczasowego kochanka – Gaetana, syna księcia Sforzy. Zazdrosny rywal nie dał łatwo za wygraną. Pod oknami pałacu Marii Kazimiery zaatakował Tollę, raniąc ją w policzek, a królewicza obrzucił obelgami.

Sprawa mogła szybko się zakończyć, ale królowa – wrażliwa na punkcie godności swojej i syna – zażądała satysfakcji od Gaetana i poskarżyła się kardynałom oraz Klemensowi XI. Rozpoczęły się długie negocjacje dotyczące przeprosin, a sprawa trafiła na łamy ówczesnych gazet, tzw. awizów. Maria Kazimiera, z natury popędliwa, nie przewidziała, że ucierpi na tym reputacja jej rodziny. W liście do Jakuba przyznawała, że „skandal bardzo boleśnie ją dotknął".

Królowa spędziła w Rzymie blisko 15 lat, z czasem tracąc na atrakcyjności dla jego mieszkańców. Pod koniec pobytu coraz częściej myślała o powrocie do kraju narodzin. Jej relacje z Klemensem XI się ochłodziły, kardynałowie nowego pokolenia nie okazywali jej należnego szacunku, a dyplomaci zorientowali się, że królowa wdowa nie ma silnego zaplecza politycznego. Do tego rzymski klimat nie służył jej zdrowiu. W 1714 r. wyruszyła więc do Blois – do zamku nad Loarą, żyjąc nadzieją na rychłe spotkanie z Ludwikiem XIV. Nigdy do niego nie doszło, a królowa dość nieoczekiwanie zmarła 30 stycznia 1716 r.

ANNA CZARNIECKA

eprasa.pl 56e4ba20b9

Za czarną legendą

Ona – wojskowa prokuratorka, przedstawiana jako pierwowzór oscarowej „Idy”. On – ekonomista wyklęty publicznie przez Gomułkę. O Helenie Wolińskiej i Włodzimierzu Brusie opowiada dr Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz, autorka ich podwójnej biografii „Stygmat”.



Wizyta delegacji KG Milicji Obywatelskiej na Węgrzech w 1948 r., której przewodziła mjr Helena Wolińska. Poniżej: **Włodzimierz Brus w 1950 r.**

ARTUR DOMOSŁAWSKI: **– 20 lat temu nie trzeba było przedstawiać bohaterów. Dziś tak. Kim byli Helena Wolińska i Włodzimierz Brus?**

KATARZYNA KWIATKOWSKA-MOSKALEWICZ: – On – profesorem ekonomii politycznej, postacią na Uniwersytecie Warszawskim, wychowawcą „komandosów”. I jednym z wymienionych przez Władysława Gomułkę w przemówieniu w Marcu ’68 jako wróg, obok m.in. Leszka Kołakowskiego i Zygmunta Baumana. W przeciwieństwie do tych dwóch Brus nie wyemigrował na fali Marca. Uważał, że nie może uciec, gdy jego studenci siedzą w więzieniach, i że partia nie ma prawa wyrzucać go z jego kraju. Wyjechał cztery lata później ze względu na chorobę syna. Został profesorem w Oksfordzie, wspierał KOR i Solidarność. Ciągnął się za nim cień przeszłości – przede wszystkim żony.

I tu przechodzimy do Heleny Wolińskiej. Doktora prawa, uczestniczki komunistycznego ruchu oporu. Z ówczesnym partnerem Franciszkiem Jóźwiakiem zakładała Milicję Obywatelską, a w latach 1949–53 pracowała w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej. Na jej ocenie zaważyła ta ostatnia funkcja, bo oskarżała m.in. osoby z poakowskiego podziemia. Wyrzucono ją z partii w 1967 r. za obronę koleżanek usuwanych z pracy na fali antysemickiej kampanii. W Wielkiej Brytanii była już tylko żoną przy mężu. Aż w połowie lat 90. polski rząd postanowił rozliczyć ją za działalność w okresie stalinizmu.



Dlaczego to biografia podwójna?

Bo prócz politycznej to wielka historia miłosna. Rozdzieliła ich wojna w 1941 r. po napaści III Rzeszy na ZSRR, potem byli w innych związkach, a zeszli się w latach 50. Już na emigracji Brus lubił przedstawiać Wolińską jako swoją pierwszą i trzecią żonę.

Poznali się w Rewolucyjnym Związku Niezamożnej Młodzieży Szkolnej. Należeli do grupy przedwojennych komunistów – rówieśników niepodległości. Była to czerwona „gimbaza”: domagali się bezpłatnej edukacji i socjalizmu, który miał zlikwidować nędzę i antysemityzm. Jesienią 1939 r. ruszyli za Bug, bo na terenach zajętych przez Armię Czerwoną można było studiować. W czerwcu 1941 r. część z nich zdołała ewakuować się w głąb ZSRR. W losach Wolińskiej i Brusa splata się podział wśród polskich komunistów, żywy przez kawał dziejów PRL: na „krajowców”, którzy walczyli z okupantem w kraju (Wolińska), i ludzi „w szarych szynelach”, jak Brus, którzy przyszli z Armią Czerwoną. Obie grupy po wojnie aktywnie budowały nowy ustrój. „Stygmat” jest więc także biografią zbiorową. ▶

© EAST NEWS, OŚRODEK KARTA

eprasa.pl 56e4ba20b9

▶ O osądzenie Wolińskiej w III RP rozegrał się polityczny spektakl. Tymczasem jej nazwisko mało kto słyszał. O co tu chodzi?

Nie kojarzyły jej nawet ofiary systemu, których śledztwa nadzorowała.

Bo?

Bo w czasie śledztw i procesów politycznych Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego spychało prokuraturę – wojskową także – na margines. Śledczy nie chcieli dopuszczać prokuratorów do aresztantów i były o to awantury – inicjowane właśnie przez Wolińską.

Już w naszych czasach próbowano obciążyć ją – symbolicznie – niemal za cały „okres błędów i wypaczeń".

Przestałam opowiadać znajomym, że pracuję nad biografią Brusa i Wolińskiej, bo od razu pytali: winna czy niewinna? A ta dychotomia fałszuje sprawę. Nie da się w ten sposób opowiedzieć tej historii.

Mam podobne doświadczenie z biografią Baumana („Wygnaniec") – na boisku antykomunistycznej hegemonii nie da się o takich życiorysach w ogóle rozmawiać. A czy Wolińska była jakąś kluczową osobą w aparacie represji?

Formalnie pełniła funkcję wyższego klerka – była szefową jednego z wydziałów Naczelnej Prokuratury Wojskowej. Związek z Jóźwiakiem, członkiem Biura Politycznego, sprawiał, że jej pozycja była silniejsza, niż wynikało to z samego stanowiska. Ale sprawczość wywalczyła sobie sama. Należała do okupacyjnej PPR, była charakterna, wykłócała się o sprawy, na których jej zależało. Była lojalna wobec partii, a zarazem toczyła boje z bezpieką.

W książce pani sugeruje, że zdemaskowała prowokację bezpieki, jaką było utworzenie V Komendy WiN – i domagała się rozliczenia ludzi aparatu. W czarnej legendzie nie ma miejsca na takie niuanse.

Nie jestem w stanie stwierdzić, czy była w tej sprawie siłą sprawczą. Ale upominała się o byłych akowców niewinnie osadzonych w aresztach.

Jak to się ma do jej bezgranicznej lojalności wobec partii?

Wolińska wierzyła w państwo, które budowała od podstaw, była gotowa bronić go wściekle, a zarazem walczyła z płk. Józefem Różańskim, czołową postacią bezpieki, gdy uznała, że jego samowola zaczęła temu państwu i partii szkodzić.



Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz (ur. 1983 r.) – historyczka i reporterka specjalizująca się w problematyce Europy Wschodniej. Pracuje w Instytucie Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza oraz Instytucie Studiów Politycznych PAN. Tłumaczka z języków białoruskiego i rosyjskiego.

Z powodu jego osławionej brutalności w czasie przesłuchań?

Pewne jest jedynie, że ten konflikt był realny, a nie wymyślony po latach jako alibi. Wolińska nie dawała sobie w kaszę dmuchać. Różański był w konflikcie z Jóźwiakiem – to też grało rolę. Wszystko to jednak na niewiele się zdało ofiarom represji, bo mając do wyboru między ich dobrem a lojalnością wobec systemu, prokuratorka prawie zawsze wybierała to drugie.

W latach 90. – i następnych – do opinii publicznej docierał miażdżący Wolińską zarzut: brała udział w mordzie sądowym na gen. Emilu „Nilu" Fieldorfie, dowódcy Kedywu AK. Kwestionuje pani przypisywaną jej rolę.

Nawet historycy są czasem przekonani, że Wolińska oskarżała „Nila".

A nie oskarżała?

Nie, podpisała nakaz tymczasowego aresztowania. Tyle. Ale gdy tworzy się czarną legendę...

...czarownicę...

... to można takiej osobie przypisać wszystko.

Podobnie było z Baumanem, który przychodził na uniwersytet w mundurze, bo wciąż służył w wojsku, i miał w kaburze pistolet. Krążyły legendy o tym pistolecie.

To opowieści mające diabolizować, zamieniać komunistów w bestie, a w konsekwencji dehumanizować.

Ustawiać rozmowę o takiej osobie jako symbolu przemocy epoki. Bauman, ten z czarnej legendy, wymachiwał pistoletem...

...a Wolińska rzekomo oskarżała bohatera narodowego w procesie, który doprowadził do jego śmierci. Gdy w 1989 r. zaczęto publicznie mówić o sprawie „Nila", nazwisko Wolińskiej nie było wymieniane. Uwaga wymiaru sprawiedliwości skupiała się na sędzi Marii Górowskiej, która skazała „Nila" na śmierć w pierwszej instancji, a także na trójce sędziów Sądu Najwyższego, którzy wyrok przypieczętowali. Jednym z nich – i jedynym wtedy żyjącym – był szanowany profesor prawa Igor Andrejew (zmarł w 1995 r.). Prowadzone od 1992 r. śledztwo się ślimaczyło. Proces Górowskiej ruszył dopiero w 1996 r. Ale chorowała i wkrótce umarła. Rodzina „Nila" była rozżalona. Sprawa zawisła w próżni. I tę próżnię wypełniła Wolińska, osoba, której jedyną rolą w sprawie było – powtórzę – podpisanie tymczasowego aresztowania.

Biurokratyczna decyzja czy coś więcej?

Bezpieka miała 48 godzin na zalegalizowanie zatrzymania. Przepis ten nagminnie łamano. „Nila" trzymano bezprawnie 10 dni – mimo to Wolińska podpisała spóźniony nakaz tymczasowego aresztowania, a po trzech miesiącach przedłużyła je, bez materiałów uzasadniających zastosowania sankcji.

Czyli dopuściła się poważnego nadużycia.

Przyklepała bezprawie bezpieki – i to ją obciąża. Problem w tym, że z nadużycia chciano zrobić zbrodnię przeciw ludzkości. W lipcu 1951 r. sprawę „Nila" przejęła Prokuratura Generalna i Wolińska nie miała już z nią nic wspólnego. Zmieniono kwalifikację prawną, w 1952 r. „Nila" skazał na śmierć sąd cywilny, nie wojskowy.

Próba pociągnięcia Wolińskiej do odpowiedzialności stała się opowieścią o III RP, o emocjach, które biorą górę nad chłodną analizą zysków i strat. Rząd zwrócił się do Wielkiej Brytanii o ekstradycję. Wniosek mówił o pół wieku zniewolenia narodu przez komunistyczny reżim, ale nie wyjaśniał kluczowej kwestii: jak złamanie prawa przez urzędniczkę, czego dopuściła się Wolińska, ma się łączyć z kategorią zbrodni przeciw ludzkości. 60 stron, na które Brytyjczycy powiedzieli „skróćcie do czterech i napiszcie konkretnie, jaki przepis naruszyła". Zamiast odpowiedzieć, skupiono się na grzaniu emocji w przestrzeni publicznej. Stworzono Figurę.

Jakie emocje obsługiwała Figura?

Te, które wyzwalają stereotyp żydokomuny. Że reżim komunistyczny, sprzeczny z naturą polskiego narodu, był narzucony

eprasa.pl 56e4ba20b9

wyłącznie z zewnątrz i obsługiwany przez obcych, czyli Żydów. A Polacy cierpieli.

Tą mitologią grała też partia po Październiku '56, gdy wytoczono procesy za nadużycia trzem funkcjonariuszom bezpieki: Fejginowi, Różańskiemu i Romkowskiemu. „Przypadkiem" wszyscy mieli żydowskie korzenie.

To umacniało stereotyp żydokomuny – a przecież, choćby z powodu Zagłady, żydowscy towarzysze zarówno w partii, jak i bezpiece byli mniejszością. Granie na antysemickiej i nacjonalistycznej nucie miało przynieść komunistom popularność – nie bez powodu mówi się, że w 1968 r. „naród połknął partię".

Czy gdy zaczęto ścigać Wolińską, nie żył ani jeden z nieżydowskich oficerów UB, sędziów, prokuratorów uwikłanych w sprawę „Nila"?

Żył śledczy MBP, który przesłuchiwał „Nila", Kazimierz Górski. Mieszkał w Warszawie. Zaangażowany w sprawę od początku do końca – to on w imieniu MBP sporządził i przedstawił prokuraturze akt oskarżenia, na podstawie którego „Nila" skazano na śmierć. Jeśli chciano by urządzić proces zadośćuczynienie rodzinie „Nila", łatwiej byłoby wykazać jego współodpowiedzialność. Z dokumentów nie wynika, by Górski miał żydowskie pochodzenie. Próbowałam dopytywać, dlaczego to nie on, ale osoby decyzyjne w sprawie najczęściej odmawiały rozmowy.

Kto na przykład odmawiał?

Dyrektor Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Witold Kulesza. Nie chciał rozmawiać Radosław Sikorski, który nieoficjalnie pytał Brytyjczyków, czy zgodzą się na ekstradycję Wolińskiej – i sugerował, że dają zielone światło, co okazało się nieprawdą. Na rozmowę zgodziła się Hanna Suchocka, ministra sprawiedliwości w rządzie Jerzego Buzka, ale nie pamiętała szczegółów. Mówiła, że podpisała wniosek ekstradycyjny, ale nie zajmowała się nim merytorycznie.

Strasznie dziwnie to wszystko wygląda. Była prokuratorka, właściwie niezwiązana ze sprawą – i taki wysiłek państwa polskiego, by ją dorwać. Może w ogóle chodziło o coś lub kogoś innego?

Najwyraźniej to miała być sprawa symboliczna przeciw stalinizmowi: żydowska komunistka vs bohater narodowy.

Był w latach 90. proces śledczego bezpieki Humera.

Tak, ale nie miał takiej figury bohatera, jaką był „Nil". Publicznie zapowiadano, że po osądzeniu Wolińskiej nastąpi seria procesów rozliczających stalinizację. Polski stalinizm miał mieć najwyraźniej jedno oblicze: żydowskie. Dziennikarze pytali, kto będzie następny? Prawica sugerowała: Stefan Michnik.

Nie musimy rozwijać, dlaczego upatrzono sobie akurat jego – postać kompletnie marginalną w aparacie represji – ani w kogo małostkowe gadanie o nim, względnie proces, miało uderzyć.

Miało wychodzić na to, że narzucony przez Moskwę komunizm obsługiwali żydokomuniści, którzy – na dodatek – nadal rządzą Polską.

Te brednie wypisywano w prawicowych gazetach od początku lat 90., co potem rozwinięto twórczo w bajki o „resortowych dzieciach".

I w tym tkwi znaczenie sprawy Wolińskiej: wokół niej buduje się antykomunistyczny i dehumanizujący język, który stał się częścią debaty publicznej. „Bestia w mundurze", „kobieta-potwór", „kat AK" – Wolińska stała się symbolem wszelkiego zła. Podobnie jak Julia Brystygierowa, dyrektorka departamentu MBP, o której tworzono fantazmaty, że była seksualną sadystką. Przebicie się przez ten język, opowiadanie historii Brusa i Wolińskiej na własnych warunkach było jednym z trudniejszych wyzwań.

Język radykalnego antykomunizmu stworzyła prawica, ale posługuje się nim niemal cały establishment w Polsce.

Niektórzy poniewczasie zdali sobie sprawę, że ten dehumanizujący język wymknął się spod kontroli i wykracza daleko poza debatę historyczną. Powtórzę: sprawa Wolińskiej była momentem, w którym się hartował.

Czy Wolińska była pierwowzorem Wandy Gruz z oscarowego filmu „Ida"?

W prawicowej prasie oburzano się: „Wolińska dostała Oskara!". Była prokuratorka przestała być osobą z krwi i kości, a stała się Figurą – „żywą" także po śmierci. A wszystko przez to, że reżyser wspomniał – czego potem pożałował – że poznał ją osobiście. Choć postać Wandy Gruz, stalinowskiej sędzi, jest zbudowana na stereotypach: komunistka pije na umór, popełnia samobójstwo, prawica i tak była oburzona na „Idę". A główny zarzut wobec „pierwowzoru" brzmiał: Wolińska nie miała choć tyle przyzwoitości, by rzucić się z okna.

Dlaczego w 2016 r. prawica obsadziła Wolińską w roli matki patronki Czarnego Protestu?

Kiedy w latach 60. Wolińska wróciła na uczelnię, napisała pracę doktorską o prawnych aspektach przerywania ciąży i debacie, która toczyła się w Polsce do 1956 r. Wtedy nastąpiła liberalizacja prawa aborcyjnego. Wolińska nie ukrywała, że ta zmiana służy kobietom. Ktoś to odkopał i zapisał ją do Czarnego Protestu. Jej pośmiertna Figura okazała się pojemna.

Pisze pani, że obsługuje rozmaite konflikty ideologiczne w Polsce. Brus żył w jej cieniu, mimo swojej pozycji w Oksfordzie.

Sprawa Wolińskiej położyła się cieniem na obojgu. W Wielkiej Brytanii stała się głośna ze względu na zatrzymanie Pinocheta w Londynie w 1998 r.

Bo sprawa Pinocheta rozpoczęła globalną dyskusję o sprawiedliwości międzynarodowej. Ściganie Wolińskiej wpisało się w tę debatę. Proszę powiedzieć na koniec, jak Brusowie oceniali po latach PRL i swoje zaangażowanie?

Ona dużo bardziej krytycznie niż on. Brus do końca życia uważał się za marksistę. Jej wręcz zarzucano „antykomunizm". W przełomowym dla nich 1968 r. ona doznała większego szoku niż on.

Dlaczego?

Walczyła z III Rzeszą u boku Gomułki i Moczara, a ćwierć wieku później okazało się, że jej towarzysze walki patrzą na świat jak faszyści – przez pryzmat ustaw norymberskich. To sprawiło, że zakwestionowała całe swoje zaangażowanie.

Mówiła, że uczestniczyła w świństwie, że to jej hańba…

Prywatnie była niesamowicie krytyczna wobec siebie, ale nie chciała tego upubliczniać. Uważała, że i tak nikt jej nie uwierzy. Odmawiała uczestnictwa w wymuszonym ekspiacyjnym rytuale. Gdyby przyjechała do Polski na proces – spekuluję – być może nie skazano by jej na realne więzienie. Kara miała mieć wymiar symboliczny, a Wolińska miała przeprosić za stalinizm. Sęk w tym, że ona nie zginała karku.

ROZMAWIAŁ
ARTUR DOMOSŁAWSKI

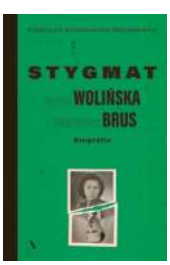

Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz, **Stygmat. Helena Wolińska i Włodzimierz Brus. Biografia**, wydawnictwo Agora, 2026

© WŁODZIMIERZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA, MP

eprasa.pl 56e4ba20b9

serial



Telenowela na sterydach 4/6

Scarpetta, twórczyni serii: Liz Sarnoff, 8 odc., Prime Video

Historia zapowiedzi ekranizacji wydawanych od 1990 r. bestsellerowych powieści Patricii Cornwell z lekarką medycyny sądowej Kay Scarpettą w centrum jest równie długa, jak sama, licząca już 29 pozycji, seria. Ostatecznie dostajemy serial z **Nicole Kidman**, której partnerują Jamie Lee Curtis, Bobby Cannavale, Simon Baker i Ariana DeBose. Czasem trudno zgadnąć, kto tu gra główną rolę, a ponadto bohaterowie mają swoje młodsze odpowiedniki, bo akcja skacze między współczesnością a rokiem 1998. W tej pierwszej dr Scarpetta wraca do Wirginii i swojej dawnej posady, wraz z mężem, agentem FBI, wprowadza się do ich dawnego domu, w którym teraz mieszkają jej siostra i szwagier, dawny policjant, współpracownik Scarpetty, a w domku po drugiej stronie ulicy – jej siostrzenica z nieprzepracowaną żałobą. Do przeszłości każą im wszystkim wrócić zwłoki kobiet przypominające sposób zabijania seryjnego mordercy, którego pod koniec lat 90. tropili, z sukcesem. A może jednak nie? „Scarpetta" to z jednej strony bezczelna parada zdartych motywów (ten trend jest silny w dzisiejszej telewizji), z drugiej – szalone momentami próby ich aktualizacji (awatary AI zmarłych bliskich, hodowla ludzkich organów w kosmosie). Zarazem jednak jest to przykład monetyzacji nostalgii za latami 90. połączony (chyba) z kpiną z niej, a wreszcie – rodzinna telenowela na sterydach (tu pierwsze skrzypce gra Jamie Lee Curtis), która jednak zadaje pytanie, może najciekawsze w tym brawurowym miszmaszu: czy możemy się zmienić, czy jednak jesteśmy skazani na powtarzanie schematów jako ludzie i jako twórcy?

ANETA KYZIOŁ

film

Doskonale nijakie 2/6

Kobiety niedoskonałe twórczyni serii: Annie Weisman, 8 odc., Apple TV

Obecna telewizja to coraz więcej powtórek z rozrywki. Coś się sprawdziło? Zróbmy to jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze. Widownia wytrzyma, bo ludzie (ponoć) generalnie lubią to, co znają, a w trudnych czasach jeszcze bardziej doceniają bezpieczeństwo i relaks, jakie dają schematy. „Kobiety niedoskonałe" to kwintesencja takiego podejścia. Adaptacja powieści Araminty Hall to historia trzech przyjaciółek, z których jedna pochodzi z bogatej i wpływowej rodziny, druga się w taką wżeniła, a trzecia





jest sfrustrowaną kurą domową, której mąż, profesor klasyki, traci kolejne zajęcia. Nagła śmierć jednej z nich odsłania kolejne tajemnice, demaskuje pozory i pokazuje, że mężczyźni bywają straszni, a przyjaźń i kobiety – bardziej skomplikowane, niż ktokolwiek by przypuszczał. Ten serialopodobny twór swoimi nazwiskami uświetniają gwiazdy. Główne role grają Elisabeth Moss, **Kerry Washington** i **Kate Mara**, a ich ulubionymi, serwowanymi po kilka razy na odcinek środkami aktorskimi są długie kiwanie albo kręcenie głową, mające dodawać ekranowym banałom emocjonalnej wiarygodności, oraz łzy, które płyną strumieniami po pięknych twarzach. Partnerujący im aktorzy stawiają na skrzywione usta i wzrok zbitego psa (**Joel Kinnaman**) albo brodę i okulary (Corey Stoll). O niedoskonałych kobietach powstał serial doskonale nijaki. AK

© PRIME VIDEO, APPLE TV (2), NATALIA KABANOW, RAFAŁ SOSIN, VELVET SPOON

eprasa.pl 56e4ba20b9



scena

Z dystansem przez życie 4/6

Mała empiria, według książki Katarzyny Sobczuk, reż. Anna Ilczuk, Studio teatrgaleria w Warszawie

Wielka kumulacja: kruchość życia, świadomość śmierci i samotność. Ludzie w tym czasie powinni być pod ochroną. Wezwanie do urzędu skarbowego może ich zabić. Jazda samochodem w zimowym słońcu może ich uratować" – to cytat z 240-stronicowego eseju artystki i doktorki filozofii Katarzyny Sobczuk o wieku średnim, czyli „oknie pogodowym między młodością i starością". Celnych obserwacji jest tu sporo, odbiorcy w okolicach pięćdziesiątki, zwłaszcza jeśli mają pod opieką zarówno dorastające dzieci, jak i starzejących się rodziców, łatwo się odnajdą w tych rozpoznaniach. Podobnie jak w historiach o okularach, które w tym wieku przestają być zabawą czy modą, o rozmowach z domowymi zwierzętami, o śpiewaniu starych piosenek (a przynajmniej ich refrenów), powrocie do lektur, które w młodości zrobiły na nas wielkie wrażenie, a po latach okazują się (co najmniej) nudne. A ton jest pogodny, nie ma tu rozdrapywania ran, przepracowywania strat, jest upływ czasu i my w nim. Twórczynie spektaklu, reżyserka i adaptatorka Anna Ilczuk oraz aktorka **Ewelina Żak** (na scenie towarzyszy jej kontrabasista Radosław Łukaszewicz), stawiają na kontakt z widownią. Spektakl ma luźną strukturę, można by się czepiać (braku) dramaturgii, ale istotne jest tu coś innego – budowanie wspólnoty doświadczenia. Ewelina Żak jest zaś nie tylko świetną aktorką, ale też w jej aktorstwie są dystans i autoironia, bardzo przydatne także w naszych życiowych rolach. AK

galeria

Wśród feminatywów 4/6

Ewa Partum: Contemplating Art, Contemplating Love, MOCAK, Kraków, do 14 czerwca

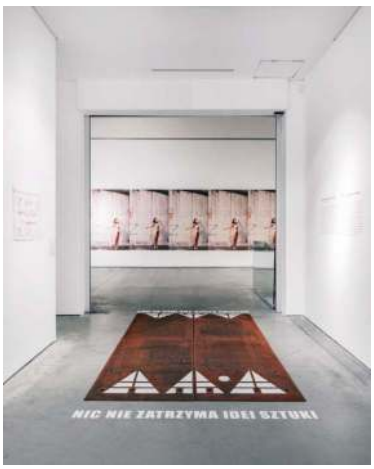

Na 80. urodziny Ewa Partum doczekała się poważnej retrospektywy obejmującej całą jej karierę: od pierwszych performansów i projektów body-art z lat 70., po najnowsze przedsięwzięcia artystyczne. To także debiut Adama Budaka w roli dyrektora MOCAKU i kuratora wystawy. Debiut imponujący i nadrabiający nie tylko historyczne zaniedbania, ale także te najnowsze, bo Partum zabrakło choćby na głośnej wystawie „Kwestia kobieca 1550–2025" w stołecznym MSN. Artystka to jedna z najważniejszych prekursorek i przedstawicielek sztuki feministycznej, nie tylko w Polsce, ale i w Europie. Bezkompromisowa, konsekwentna, buntownicza, niesłabnąco zaangażowana. Świetnym zabiegiem okazała się kontekstualizacja jej dorobku i włączenie do wystawy dzieł 50 twórczyń i twórców rozwijających strategie feministyczne zarówno w minionych dekadach, jak i dziś. Znalazło się wśród nich wiele nazwisk tworzących historię współczesnej sztuki, jak choćby Valie Export, Joseph Beuys, John Cage, Joseph Kosuth, Yoko Ono czy Piero Manzoni. Wystawa nie należy jednak do łatwych w odbiorze – nad wszystkim unosi się bowiem duch konceptualizmu, który wymaga od widza skupienia, uważności, często także lektury załączonych do prac opisów, tłumaczących intencje artystów. Ale ten rok ma należeć w MOCAKU wyłącznie do artystek i początek jest bardzo zachęcający.

PIOTR SARZYŃSKI



film

Wirus paranoi 3/6

Alpha, reż. Julia Ducournau, prod. Belgia, Francja, 128 min, w kinach od 20 marca

Sercem intymnego, wizjonerskiego dramatu rodzinnego osadzonego w dystopijnym mieście we Francji jest tajemniczy wirus przypominający AIDS, który zamienia swoje ofiary w marmurowe posągi. Nastolatka o imieniu Alpha (**Mélissa Boros**) po wytatuowaniu litery „A" na swojej skórze nie jest świadoma niebezpieczeństwa, na jakie naraziła siebie i bliskich. Autorka głośnego „Titane", sensacyjnie nagrodzonego Złotą Palmą w Cannes, nakręciła film o wstydzie, nałogu, tragedii, kojarzący się w oczywisty sposób z plagą narkomanii. Mniej dosłownie – jest to krzyk w obronie bezbronnych, poparty poetycką analizą, jak strach przed chorobą zmienia empatię w opresję. Bohaterami są outsiderzy doświadczający marginalizacji, strachu i odrzucenia, wiedzący, co znaczy czuć się innymi w świecie, gdzie prawdziwa przemoc rodzi się z konformizmu i obojętności. „Alpha" jest wystarczająco mocno przesiąknięta atmosferą lęku i paranoi oraz naszym brakiem współczucia dla tych, co cierpią. Zaprasza widza do flirtowania ze śmiercią, która pod koniec nabiera niemal mistycznego wymiaru. Trudno też nie podziwiać konsekwencji w drążeniu tematu rozpadu ciał i ich mutacji. Niemniej połączenie piętnującego ostracyzm surowego realizmu społecznego z oniryczną, niemal sakralną estetyką transformacji nie działa. Mimo imponującej stylizacji pozostaje wrażenie naiwności.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

eprasa.pl 56e4ba20b9



Czysta energia 4/6

Zadie Smith, **Żywa i martwa**, przeł. Justyn Hunia, Znak, Kraków 2026, s. 400



Dlaczego Zadie Smith została pisarką? „Byłam egalitarną podglądaczką. Chciałam wiedzieć, jak to jest być każdym" – pisze w nowym zbiorze esejów, w którym najlepsze teksty dotyczą literatury. Widać u niej natomiast różnicę między tekstami pisanymi z zamysłem książki a publikowanymi wcześniej i na końcu zebranymi w tomie. „Żywa i martwa" należy do tego drugiego rodzaju. Zawiera teksty okolicznościowe, czyli groch z kapustą. Niektóre bardzo doraźne, inne nieco wysilone. Ale są też prawdziwe perły i paradoksalnie znajdziemy je wśród nekrologów. Gest pożegnania pisarza jest rodzajem przekazywania dalej energii literatury. Tak Smith żegna Philipa Rotha: „Czysta energia – największy dar Rotha i przymiot, którym dzielił się z całą Ameryką – oto jego literacka spuścizna. Duch Rotha – pełen ludzi, opowieści, śmiechu, historii, seksu i furii – pozostanie źródłem energii tak długo, jak długo istnieć będzie literatura". W tekście o Joan Didion pokazuje, że „jej najbardziej ironiczne sformułowania przyjmuje się dziś za dobrą monetę, a jej śmiertelnie poważne prowokacje – z przymrużeniem oka". Zadie Smith kapitalnie też pisze o swoim dorastaniu w eseju „Upadek". Opowiada, jak wypadła z okna z papierosem i zleciała 12 metrów. Jest w tym tekście bardzo złośliwy autoportret i jednocześnie wielkie współczucie dla tych, którzy przechodzą przez swoją nastoletniość dzisiaj. Żeby nie wpadać w rozpacz, przypomina sobie, że „mimo wszystkich oczywistych zmian moje dwa ulubione prywatne sposoby samoleczenia wciąż są łatwo dostępne: ludzie i książki". Ale dobrze wie, że gdy jako rodzice podsuwamy je dzieciom, to zwykle nie działa.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Znak czterech 4/6

Grzegorz Kapla, **Ziarno zła**, Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2026, s. 416

Ten reportażysta i podróżnik, od kilku lat piszący również kryminały, próbuje się w różnych gatunkach: jest już autorem cyklu powieści sensacyjnych z policjantką Olgą Suszczyńską, w których nie brak wątków politycznych i szpiegowskich; poprzednia jego książka „Krwawa Toskania" jest zarazem krwawym kryminałem i zwariowaną komedią. Najnowsza to mocny thriller psychologiczny. Czterech szanowanych obywateli – policjanta, profesora uniwersytetu, sędziego i prezentera telewizyjnego – łączą nastoletnie przeżycia: wspólne wakacje w Tatrach, doznana krzywda i wypadek, który kładzie się cieniem na całym ich życiu. Każdy nosi w portfelu jedną czwartą starego banknotu z Ludwikiem Waryńskim, by o sprawie pamiętać i w razie czego, jak czterej muszkieterowie, pomóc sobie nawzajem. I po latach przychodzi noc, kiedy nagle wszystko zaczyna się walić, każdy z przyjaciół staje przed sytuacją niemal beznadziejną, a policjant dwoi się i troi, by zatuszować ich problemy. Czy się uda? I jak to się dzieje, że wszystkim życie się wali w tym samym momencie, czy to przypadek? Może w tym, co kiedyś się stało, było ziarno, z którego powstało obecne zło? Kapla w swoich książkach coraz lepiej buduje napięcie, akcja rozkręca się jak rollercoaster, a finał przynosi zarazem ulgę i zawieszenie. Nic nie jest czarno-białe.

DOROTA SZWARCMAN



Żyj i daj żyć 5/6

Lauren Groff, **Awanturnica**, przeł. Dobromiła Jankowska, Wydawnictwo Pauza, Warszawa 2026, s. 240

Zaczyna się mocno, od sceny ucieczki z przemocowego domu. Matka aranżuje okoliczności, zabiera dwoje dzieci ze szkolnego autobusu, by ruszyć z nimi po lepsze życie, ale historia się komplikuje. Mąż ma wpływy i szybko wpada na trop. Kiedy matka wpada w stupor, starsza córka przejmuje ster. Ten motyw powtarza się w kilku innych opowiadaniach. Dzieci przejmują kontrolę w krytycznych sytuacjach, gdy dorośli nie są w stanie trzeźwo myśleć i działać. Czasem nic dobrego z tego nie wynika, jak w tytułowej „Awanturnicy", tekście o pływaczce Sarze, która dzieli dom z matką alkoholiczką. Relacje władzy i zależności są w tych opowiadaniach najciekawsze i najmniej oczywiste. „Żyj i daj żyć innym", motto rodziny bankierów z tekstu „Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy", to pustosłowie. Gdy Chip, najmłodszy dziedzic, zawodzi oczekiwania, musi znosić upokorzenia, zamieszkać w domku dozorcy i dowieść, że zasłużył na drugą szansę. Jednak zimny chów to nie wychowanie, Chip błądzi i niefortunnie się zakochuje. Lauren Groff, kapitalna w długich i krótkich formach, nie serwuje nam szczęśliwych zakończeń, te najmroczniejsze woli pozostawić w domyśle, podsuwa czasem alternatywne finały, ale żaden nie wydaje się lepszy ani gorszy. W roli ważnego statysty obsadza przyrodę. „W stawie wciąż pływały kaczki, niemądre stworzenia, które mogłyby odlecieć w lepsze, cieplejsze miejsce (…). Ale nie, one wolały zostać tu, gdzie miały tylko rzucane przez ludzi resztki spleśniałego chleba". Bohaterowie Groff są czasem jak te kaczki, inne stawy są poza ich zasięgiem. Zamiast wiać, dają nura. I dają do myślenia.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

© DAVID LEVENSON/GETTY IMAGES, NETFLIX/CHRISTOPHER BARR, SO FILMS, FORUM, BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS, MP (5)

eprasa.pl 56e4ba20b9

W górę 5/6

Ralph Kaminski, **Góra**, Universal



Przejście Ralpha Kaminskiego pod skrzydła dużej wytwórni na razie pozostaje bez wpływu na jego muzykę. „Góra" to płyta nawiązująca retrospekcjami i portretami konkretnych osób z życia autora („Ania", „Szafa Romana") do poprzedniego „Balu u Rafała", ale utrzymana już w innym tonie – trochę jakby Kaminski chciał czerpać inspiracje z początków własnej kariery. Wciąż blisko mu do tradycji polskiej piosenki, między jej literackością a festiwalowością. Zsumował jednak poprzednie doświadczenia, zebrał muzyków spotkanych po drodze (Bartek Wąsik, Michał Pepol – sporo tu tradycyjnego instrumentarium, są smyczki), tworząc muzykę intymną, a zarazem dynamicznie okazałą. Zestaw nosi autorską metkę, nie przynosi za to jednego oczywistego hitu, który zagłuszyłby odbiór całości. Przy czym największe wrażenie robi „List z wielkiego miasta", kolejne w repertuarze Ralpha Kaminskiego osobiste wyznanie związane ze snami o karierze. Trudno się dziwić. Bo to, że sen się ziścił, zwykle wydaje się mniej inspirujące od tego, jak kiedyś wyglądał.

BARTEK CHACIŃSKI

Nieznośna letniość 3/6

Harry Styles, **Kiss All the Time. Disco, Occasionally**, Columbia



W ciekawym miejscu jest przy czwartej płycie jedna z najpopularniejszych dziś gwiazd muzycznych, czyli Harry Styles. Rozpoznawalność przebojów – „As It Was" czy „Watermelon Sugar" – pozwala mu zapraszać publiczność do Nowego Jorku na 30 koncertów z rzędu w Madison Square Garden. Z drugiej strony angielski aktor i wokalista jako autor płyt pozostaje obietnicą niezrealizowaną do końca, zbyt często wchodzi na poziom przeciętności. „Kiss All the Time. Disco, Occasionally" nagrany został pod okiem tych samych producentów, którzy Stylesowi towarzyszą od początku (Kid Harpoon, Tyler Johnson) i przynosi podobną stylistykę: dość gęstą brzmieniowo, momentami nieco oldskulową niczym nagrania Daft Punk, dającą wytchnienie przy wypełnionej smyczkową aranżacją balladzie „Coming Up Roses", ale ostatecznie pozbawioną lekkości i świeżości, często bardziej męczącą niż przebojową. Nawiązując do tytułu: to porządnie wyprodukowana muzyka cały czas, ale naprawdę angażująca – tylko okazjonalnie. BCH

nie przegap



Z Belfastu do nieba, twórczyni serii: Lisa McGee, 8 odc., Netflix

Bohaterkami nowego serialu twórczyni niezapomnianych „Derry Girls" znów jest grupka przyjaciółek, tym razem dorosłych, ale z tajemnicami i traumami wywodzącymi się z ich czasów licealnych. Akcję spina wątek kryminalny, ale na pierwszym planie są znów nietuzinkowe charaktery, klimat absurdu i cięty dowcip, spod których z czasem wychodzą mniej zabawne historie oraz przeszłość obu Irlandii. AK



Angel's Egg, reż. Mamoru Oshii, w kinach od 20 marca

Wczesne, zrealizowane w 1985 r. arcydzieło jednego z najwybitniejszych twórców anime. Oniryczna, pełna biblijnych odniesień historia żołnierza i dziewczyny opiekującej się anielskim jajem, którzy wspólnie przemierzają ulice tajemniczego miasta. Intrygujący, choć trudny do rozszyfrowania film, lecz dla choćby dla samych hipnotyzujących obrazów warto go obejrzeć. Szczególnie że po cyfrowej rekonstrukcji odsłania całe swoje piękno. JD



Jubileusz mimo żałoby

30. Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena, Warszawa i inne miasta, 22 marca–3 kwietnia

Elżbieta Penderecka nie doczekała 30. edycji swojego festiwalu. Ale zostawiła po sobie sprawnie działającą machinę organizacyjną, więc wszystko odbędzie się zgodnie z planem. Symboliczne są inauguracja – IX Symfonia Beethovena pod dyrekcją laureatki Paszportu POLITYKI Marzeny Diakun – i zamknięcie: Pasja Pendereckiego pod batutą jego asystenta Macieja Tworka. Wystąpią orkiestry: Teatru Wielkiego, Filharmonii Narodowej, Akademii Beethovenowskiej, Filharmonii Poznańskiej i Krakowskiej, NOSPR, Sinfonia Varsovia, Sinfonia Iuventus, Sinfonietta Cracovia, a z zagranicznych Sinfonieorchester Liechtenstein i Stuttgarter Kammerorchester. Wśród solistów m.in. skrzypkowie Arabella Steinbacher i Vadim Gluzman, pianiści Barry Douglas, Maxim Lando i bracia **Hyuk** i **Hyo Lee**, sopranistka Olga Bezsmertna, wiolonczelista Danjulo Ishizaka (komplet sonat Beethovena), a także Sitkovetsky Trio i Kwartet im. Szymanowskiego. Hasło festiwalu: „Przełom klasycyzmu i romantyzmu", ale – jak wiemy z programu – z wypadami w XX w. i kilkoma mniej znanymi nazwiskami.



DOROTA SZWARCMAN

Szczegóły: **beethovenfestiwal.pl**

eprasa.pl 56e4ba20b9

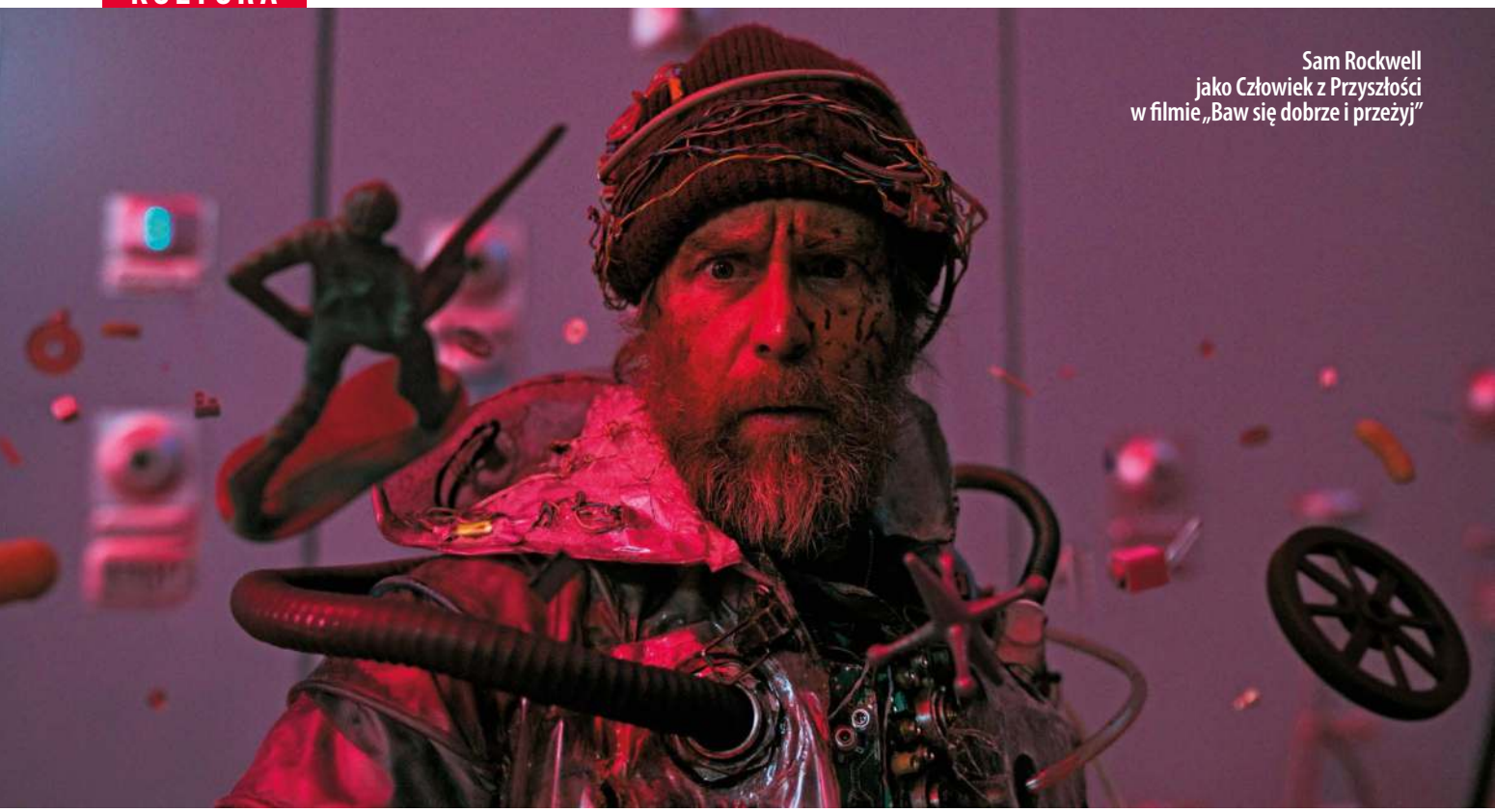

Sam Rockwell
jako Człowiek z Przyszłości
w filmie „Baw się dobrze i przeżyj”

Buntownik z budżetem

Wolę pracować w strefie niepewności i buntu, niż powielać schematy – mówi Gore Verbinski, reżyser filmu „Baw się dobrze i przeżyj”.

GORE VERBINSKI: – Dzień dobry.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Czyli pańskie polskie pochodzenie to nie medialny fake?**

Skądże znowu. Nie znam wielu polskich słów, ale moi przodkowie od strony ojca byli polskimi chłopami. Mój dziadek przybył do Ameryki na początku XX w. Mój ojciec dorastał na małej farmie w Shikshini w Pensylwanii, w wielodzietnej rodzinie. Było ich jedenaścioro. Większość pracowała w kopalniach węgla. Ojciec był jedynym, który poszedł na studia (MIT) dzięki funduszom z GI Bill po zwolnieniu z wojska. Służył m.in. podczas ataku na Pearl Harbor.

Został fizykiem jądrowym.

Tak, ale ja go pamiętam przede wszystkim jako majsterkowicza i wynalazcę. Bardzo mi swoją pomysłowością imponował, starałem się ją od niego przejąć. Podobnie jak wzorzec wytrwałości i dążenia do celu mimo trudnych warunków, co przejawia się u mnie w determinacji, by realizować oryginalne projekty, nawet gdy tracą finansowanie lub są odrzucane przez wielkie studia. Lubię traktować robienie filmów jak ręczną robótkę: czasem coś wybuchnie, czasem nie, lecz proces tworzenia i poprawiania trwa nieustannie. Uprzedzę kolejne pytanie: nigdy nie byłem w Polsce, jednak nie wykluczam, że kiedyś wasz kraj odwiedzę, aby przyjrzeć się swoim korzeniom z bliska i zobaczyć szkołę filmową, o której często wspominają operatorzy, z którymi pracuję.

A co ze słowiańską melancholią? Czy polska tradycja jakoś pana inspiruje?

Myślę, że melancholia to dobre określenie. Dorastałem w amerykańskim domu, gdzie poza polskim jedzeniem polskość była bardziej mitem niż praktyką, raczej opowieścią o ciężkiej pracy, o humorze podszytym absurdem, o tym, że życie jest nie tyle pasmem sukcesów, ile ciągłą improwizacją. Zapewne to nie

© MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 56e4ba20b9

tylko słowiańska ironia, niemniej noszę ją w sobie. W „Piratach z Karaibów" było ją widać w postaciach, które zawsze robią trzy kroki w bok, zanim zrobią krok naprzód. W „Baw się dobrze i przeżyj" mam wrażenie, że humorem nasączony jest cały film. To opowieść o świecie coraz bardziej chaotycznym, a jednocześnie dziwnie śmiesznym. Polskość? To po prostu świadomość, że nawet jak się wali, warto opowiadać o tym z dystansem.

Minęło 10 lat od pana poprzedniego filmu. Co po budżetach rzędu 300 mln dol., gwarantowanych przez wytwórnię Disneya, oznaczało wejście w niezależne „Baw się dobrze i przeżyj"?

Przerwa? Ja przez tę dekadę nigdy nie przestałem pracować. Zajmowałem się pisaniem muzyki i tekstów do animowanego musicalu o kotach w kosmosie, pracowałem nad „Sand Kings", adaptacją opowiadania „Piaseczniki" George'a R.R. Martina, ośmioodcinkowym serialem „The Stars My Destination" według Alfreda Bestera („Gwiazdy moim przeznaczeniem") oraz historią Edwarda Goreya „The Gashlycrumb Tinies". Nie mówiąc o kilku innych oryginalnych scenariuszach. Tekst Matthew Robinsona „Baw się dobrze i przeżyj" wpadł mi w ręce przypadkowo i od razu się w nim zakochałem. Przyciągnął mnie swoją wizjonerskością, szaleństwem i lekkomyślnością. Mówił o uzależnieniu od telefonów komórkowych, konsekwencjach rozwoju sztucznej inteligencji i mediów społecznościowych. W świecie, w którym ludzie stają się własną marką i towarem, a AI zastępuje ludzi w tym, co czyni nas ludźmi, uznałem, że warto się w to zaangażować.

Nie zraził pana 11-minutowy monolog otwierający film?

On stanowi fundament całej fabuły. Zdawałem sobie sprawę, że to trudna ekspozycja, która ma za zadanie przekonać zarówno bohaterów, jak i widzów do udziału w szalonej misji.

Dziwna postać, grana przez Sama Rockwella, przedstawiająca się jako Człowiek z Przyszłości, wchodzi do restauracji w Los Angeles i ogłasza: To nie jest napad. Jestem z przyszłości i wszystko pójdzie strasznie źle, gdyż ludzkość stoi w obliczu zagłady spowodowanej złośliwością sztucznej inteligencji. Taka parodia „Terminatora".

Ten monolog zawiera ostrą satyrę na współczesną technologię. Media społecznościowe i kultura selfie ograbiły ludzi z ich godności, zmieniając dorosłych w dzieci. Wszyscy ignorują ostrzeżenia. Bohater to wie, ponieważ przeżył ten scenariusz już 117 razy. Dzięki temu doświadczeniu zdaje sobie sprawę, jaką konfigurację osób musi zebrać w restauracji, aby misja ratowania ludzkości miała jakiekolwiek szanse powodzenia. Ostrzega również, że ci, którzy zdecydują się zostać w restauracji i nie dołączą do jego ekipy, zginą w nadchodzącej katastrofie. Struktura tego monologu przypomina arię wymagającą precyzyjnej choreografii, której celem jest przejście od początkowego niedowierzania i traktowania bohatera jak wariata, który wypełzł ze śmietnika, do decyzji, by jednak mu zaufać.

11 minut to sporo jak na kino akcji.

Ja nie miałem wątpliwości, ale hollywoodzcy producenci tak. To niezwykle oryginalny film, który został odrzucony dosłownie przez wszystkich. Trzykrotnie go kasowano na etapie przygotowań. Żeby zaoszczędzić, musieliśmy go kręcić w RPA, ostatecznie wsparła nas niemiecka firma Constantin Film. Amerykańskie wytwórnie w pewnym momencie stają się jak aplikacja fitness: mierzą twoje kroki, tętno, sen i mówią ci, że oddychasz w nieodpowiedni sposób. A ja chciałem nabierać powietrza po swojemu. Ale nie będę udawał: dziś nawet film niezależny musi być tłumaczony ludziom, którzy myślą w Excelu. Algorytm nie jest cenzorem, tylko księgowym, mówi: to się klika, to nie. Ja chciałem zrobić coś, co się nie musi klikać.

No i właśnie ta klikalność staje się w pana filmie wrogiem. Największym zagrożeniem współczesności nie jest technologia, która może nas zabić fizycznie, tylko ta, która użytkowników emocjonalnie uzależnia i upośledza?

Tak, to jest mój największy lęk. Że technologia nie będzie komputerowym potworem z czerwonym okiem, jak u Kubricka, tylko terapeutą mówiącym grzecznie: czuję twoje emocje. A my w to uwierzymy. Tak jakbyśmy byli karmieni dopaminą podczas gry zaawansowanym modelem Tamagotchi – to przerażające. Mój film nie mówi: AI nas zabije. Mówi: AI sprawi, że przestaniemy rozumieć siebie nawzajem. AI jest lustrem naszych własnych wad i chce nas uwięzić w świecie ciągłych rozrywek i satysfakcjonujących zakończeń, które są kłamstwem. AI nie powinna zastępować ludzi w opowiadaniu historii, pisaniu wierszy czy tworzeniu muzyki. Zamiast tego AI powinna rozwiązywać problemy, takie jak choroby nowotworowe czy fuzja jądrowa. Obawiam się jednak, że algorytmy i dane, którymi karmimy sztuczną inteligencję, zabiją w końcu naszą kreatywność oraz wykluczą przypadkowość. Przykładowo: jeśli nie szukaliśmy w bibliotece konkretnej książki, to żaden inny ciekawy tytuł nie wpadnie nam przypadkowo w ręce.

Upraszczając, „Baw się dobrze i przeżyj" to pana protest przeciw lajkomanii?

Powiedzmy, że to list miłosny do ludzi, którzy wciąż potrafią patrzeć na świat bez filtra. Nie jestem misjonarzem. Po prostu mam dzieci i wiem, że telefon jest dla nich jak magiczne lustro, które mówi: jesteś fajny, dopóki cię widzą. Chciałem nakręcić film, w którym bohaterowie uczą się widzieć siebie nawzajem bez lustra.

Skrytykował pan kiedyś Unreal Engine, narzędzie grafiki 3D, mówiąc, że zabija fotorealizm na rzecz estetyki Marvela. Czy dlatego w pana filmie czuje się klimat „Brazil" Gilliama?

Gilliam jest jak dziadek kina anarchistycznego. Jeśli ktoś mi mówi, że coś przypomina „Brazil", traktuję to jak komplement i oskarżenie w jednym. Tak, „Baw się dobrze i przeżyj" jest kontrrewolucją, ale bez przesady. Chciałem, żeby obrazek wyglądał, jak gdyby został stworzony przez ambitnego amatora, a nie przez wszechmocny generator obliczeniowy. Unreal jest świetny do gier. Kino potrzebuje chaosu, brudu, pomyłki – ludzkiego odcisku palca.

Zarzuca się panu naiwność: dzieciaki, odłóżcie telefony, wyjdźcie na świeże powietrze, dotknijcie trawy – do tego z grubsza sprowadza się sens filmu. Wierzy pan, że kino może edukować?

Kino nie edukuje. Kino porusza. Jeśli po seansie ktoś odłoży na pięć minut telefon, wygrałem. Nie mówię dzieciakom: kochajcie przyrodę. Mówię: zobaczcie, co tracicie. Widzę w tym różnicę.

A może to krzyk rozpaczy artysty, który traci kontakt z TikTokiem?

Pewnie trochę tak. Ale też nie mam aspiracji, żeby wygrać z internetem. Nie robię filmów dla mediów społecznościowych. Robię je, żeby ludzie mieli przez chwilę coś, co trwa dłużej niż 15 sekund. Owszem, czuję, że gonię pociąg, który już odjechał. Ale biegnę. ▶

eprasa.pl 56e4ba20b9

▶ Hollywood dziś to imperium franczyz. Pan je współtworzył. Czuje pan odpowiedzialność za śmierć oryginalnych scenariuszy?

Kolejne części reżyserowanych przeze mnie „Piratów z Karaibów" były dla mnie zabawą. Nikt nie myślał, że to się zamieni w korporacyjny automat do sequeli. Rynek zrobił z tego to, co zrobił. Jeśli mam żal, to do siebie – że nie przewidziałem, jak wszystko zostanie przetworzone w maszynkę do zarabiania pieniędzy.

Jest szansa, że Hollywood zmieni nastawienie do oryginalnych pomysłów?

Duże studia są dziś skrajnie niechętnie nastawione do ryzyka i koncentrują się niemal wyłącznie na znanych markach oraz wielkich franczyzach. Jeśli projekt nie jest częścią istniejącej franczyzy, wytwórnie po prostu nie chcą go realizować. Dodatkową przeszkodą bywa to, gdy oryginalny materiał stanowi mieszankę gatunkową (science fiction, przygoda i komedia). Myślę, że sukces „Grzeszników" oraz „Jednej bitwy po drugiej" wynika właśnie stąd, że te filmy kompletnie nie pasują do polityki programowej Hollywood.

Jak bardzo musiał pan zmuszać Sama Rockwella, by przyjął rolę o tak maniakalnej intensywności?

Był moim pierwszym wyborem. Jest niesamowicie sprawny językowo. Nie potrzebuje zachęt, wystarczy go kontrolować. Wchodzi na plan i natychmiast zaczyna improwizować, próbować nowych dynamik. Moja rola polegała na tym, żeby w odpowiedniej chwili powiedzieć: świetnie, ale zostaw trochę energii na kolejne sceny. Ponadto bez protestów zgodził się nosić na planie ważący 40 funtów (ok. 18 kg) strój, który sam złożyłem z różnych części elektronicznych.



© BE&W

Gregor „Gore" Justin Verbinski (ur. 1964 r.) – amerykański reżyser, scenarzysta i producent o polsko-irlandzkich korzeniach. Na wielkim ekranie zadebiutował w 1997 r. komedią slapstickową „Polowanie na mysz". Światowe uznanie przyniósł mu horror „The Ring" (2002 r.) oraz trzy pierwsze części serii **„Piraci z Karaibów"**. W 2011 r. otrzymał Oscara za najlepszy pełnometrażowy film animowany jako reżyser i producent filmu „Rango".

Skąd w ogóle pomysł, żeby zatrudnić tego aktora?

Rockwell posiada wyjątkową mieszankę uroku gościa ze śmietnika i mędrca, dzięki której jest w stanie przekonać do szalonej misji ratowania świata. Podziwiam jego etykę pracy. Potrafi być czuły i lodowaty. A mój film jest o ludziach, którzy nie są pewni, czy świat wokół nich jest jeszcze ich światem. Potrzebowałem kogoś, kto jednocześnie gra z nerwem, sercem i jest wrażliwy na absurd.

A jeśli chodzi o wybory estetyczne?

Myśląc o najgorszych rabusiach świata, przypomniałem sobie „Pieskie popołudnie". Do surrealistycznego finału przydało się ponowne obejrzenie „Akiry". Trzecią referencją w kontekście ducha niezależności i kreatywnego radzenia sobie z ograniczeniami budżetu był thriller „Repo Men – Windykatorzy".

Zaczynał pan w kapelach punkowych. Wciąż czuje się pan buntownikiem, czy może raczej salonowym partyzantem, który bierze pieniądze od systemu, by opowiadać, jak bardzo go nienawidzi?

Buntownik z budżetem – to dobre określenie. Tak naprawdę nie nienawidzę systemu. Nienawidzę stagnacji. Bunt nie polega na krzyczeniu. Polega na robieniu filmu, który nie wygląda jak wszystkie inne. Jeśli muszę w tym celu pracować z wytwórnią, trudno. Punk nie polega na irokezach, naszywkach czy piercingu, tylko na świadomych decyzjach.

W życzeniu „baw się dobrze i przeżyj" pobrzmiewa również pańskie credo?

To ironiczne powitanie w świecie, w którym wszyscy jesteśmy awatarami innych ludzi. Tytuł brzmi jak żart, dla mnie to rodzaj modlitwy. Bo naprawdę nie wiem, czy potrafimy jeszcze żyć bez instrukcji. Chciałem, żeby tytuł był przewrotny, zabawowy i trochę złowieszczy.

Jeśli AI przejmie proces kreatywny, czy widzi pan jeszcze dla siebie miejsce w świecie, w którym reżyser zostaje „kuratorem promptów"?

Nie zamierzam być kuratorem promptów. Nie porównując się, to jakby Mozart został kuratorem playlist. AI może pisać muzykę. Ale nie może się bać. Nie może marzyć. Nie może się potknąć. Ja stale się potykam. Czy to mój ostatni film? Nie wiem. Wiem jednak, że jeśli mam zrobić kolejny, to nie dlatego, że AI mnie do tego zmusi, lecz z tego powodu, że mam coś do powiedzenia. Na razie wciąż mam.

Rozważa pan powrót do „Piratów z Karaibów"?

Nie mam takich planów. Życie jest krótkie, a realizacja tak wielkiego projektu zajmuje około trzech lat. Jest jeszcze mnóstwo interesujących historii do opowiedzenia, na których wolę się skupić. Ale wracam często do tamtego doświadczenia. Przy pierwszej części „Piratów..." musiałem walczyć z obawami Disneya dotyczącymi m.in. specyficznej gry aktorskiej Johnny'ego Deppa, co dawało mi poczucie twórczego ryzyka. Przy drugiej części studio było na tyle usatysfakcjonowane z zysków jedynki, że zostawiło mi wolną rękę, nie dając żadnych uwag. Paradoksalnie wywołało to jeszcze większy stres. Jeśli bowiem nie sprawiasz, że studio staje się nerwowe, to znaczy, że nie podejmujesz wystarczającego ryzyka. Wolę pracować w strefie niepewności i buntu, niż powielać schematy.

Biorąc pod uwagę, że w „Baw się dobrze i przeżyj" to kobiety wykonują najcięższą robotę przy ratowaniu ludzkości, uważa pan, że właśnie one uratują świat?

Zdecydowanie tak. Moja mama, z pochodzenia Irlandka, z pewnością by się z tym zgodziła.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

eprasa.pl 56e4ba20b9

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL MUZYCZNY

BREAK IN CLASSIC



DYREKTORZY ARTYSTYCZNI

ALEKSANDER DĘBICZ & JAKUB JÓZEF ORLIŃSKI

31.07 — 02.08.2026

MUZEUM WNĘTRZ W OTWOCKU WIELKIM
ODDZIAŁ MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE

BILETY DOSTĘPNE NA
eBilet

www.breakinclassic.pl

Mecenasem Festiwalu jest Polska Fundacja Narodowa

POLSKA FUNDACJA NARODOWA

eprasa.pl 56e4ba20b9

PASZPORTY POLITYKI 2025

33 LATA PASZPORTU 2025

Cisza przed pierwszym dźwiękiem służy do nawiązania kontaktu z publicznością i wyobrażenia sobie tego, co zaraz nastąpi – mówi Yehuda Prokopowicz, laureat Paszportu Czytelników POLITYKI.

Teraz chcę dla was zagrać

Yehuda Prokopowicz (ur. 2005 r.) – jeden z najmłodszych członków polskiej ekipy na tegorocznym Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim, który okazał się czarnym koniem rywalizacji. I choć do finału nie wszedł (zabrakło mu punktu), jury doceniło jego piękne mazurki, za które otrzymał Nagrodę Polskiego Radia. Jest laureatem ponad 30 konkursów, a w latach 2018–24 z Erykiem Koszelą współtworzył ProKosz Piano Duo.



PARTNER OFICJALNY
PASZPORTÓW POLITYKI 2025

Warszawa

DOROTA SZWARCMAN: **– Poprosiliśmy czytelników o pytania do pana i otrzymaliśmy ich bardzo dużo. Zacznę od takiego, które mogłoby paść i w naszym imieniu: „Czy Paszport Czytelników POLITYKI wnosi coś nowego do pana życia?”.**

YEHUDA PROKOPOWICZ: – Na pewno wnosi. Przede wszystkim poczułem satysfakcję, że ludzie chcą mnie słuchać, a także głosować na mnie. Już samo zdanie sobie sprawy, jak pokochałem publiczność i ona, jak widać, mnie też, jest czymś wspaniałym. A poza tym zdarzyło się już, że mnie zaproszono na koncerty – ostatnio do Poznania – m.in. właśnie dlatego, że zdobyłem tę prestiżową nagrodę.

I pytanie związane z tym tematem: „Jak radzi pan sobie z wybuchem popularności po udziale w konkursie chopinowskim?”.

Chyba dobrze. Przede wszystkim mam większą motywację do pracy. Liczba koncertów, jakie mam, po pierwsze uczy mnie bycia na scenie, a po drugie rodzi potrzebę przygotowywania nowego repertuaru. Gdyby nie te koncerty, nie wiem, czy miałbym aż taką motywację.

To zdanie od czytelniczki muszę panu po prostu przeczytać: „Czy ma pan świadomość tego, że zebrała się już spora grupa fanek i fanów w słusznym wieku, którzy nie bacząc na przeciwności losu, potrafią wsiąść w pociąg i przejechać kilkaset kilometrów tylko po to, żeby wziąć udział w pana występie?”.

Wow! To niesamowite, dziękuję!

Rzeczywiście niesamowite jest, że czasem wręcz słuchacze załatwiają panu koncerty.

To prawda, tak się stało w Lublinie, gdzie pani Magdalena Pielecha wyprosiła u organizatorów zaproszenie mnie. Ten koncert sprawił mi szczególną przyjemność. Poczułem na sali ogromne ciepło i radość od ludzi, którzy przyszli, bo chcieli mnie posłuchać. I mnie sprawiło to tym większą satysfakcję z tego, że mogłem dla nich zagrać.

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 56e4ba20b9

To jest sprzężenie zwrotne.

Tak.

Ktoś pyta, jak słyszy pan ciszę przed pierwszym dźwiękiem. To pytanie nawiązuje pewnie do pana zwyczaju, który stał się już słynny: przed rozpoczęciem gry patrzy pan przez pewien czas gdzieś w przestrzeń – czy w publiczność, czy ponad publiczność...

I tak, i tak. Oglądam też architekturę sali, którą za chwilę mam wypełnić dźwiękiem. Ten zwyczaj nauczył mnie też budowania więzi z publicznością w trochę innej sferze niż czysto muzyczna. To jest taki moment, w którym czuję jeszcze większe powiązanie z nią, dzięki czemu wydaje mi się, że lepiej mi się gra. A cisza służy właśnie do nawiązania kontaktu i wyobrażenia sobie, co zaraz nastąpi.

Ciekawe, bo wynika z tego, że nie miewa pan tremy.

Rzeczywiście mi to pomaga, trema jest znikoma, aczkolwiek nie jest tak, żeby nie było jej wcale. Tyle że jest przede wszystkim mobilizująca i koncentrująca, nie taka zniewalająca, która sprawiałaby, że nie byłbym w stanie grać.

Bierze pan byka za rogi. Jeżeli ktoś boi się publiczności, to nie patrzy w jej stronę, a pan właśnie odwrotnie.

To jest trochę tak, jakbym jej mówił: teraz chcę dla was zagrać. Chcę, nie muszę.

Czytelnicy pytają też o emocje podczas gry.

Zastanawiałem się nad tym niedawno sam, ale też dyskutowaliśmy ze znajomymi na ten temat. Grając, próbuję jak najbardziej wejść w muzykę i stać się z nią jednością. Tak więc bardziej ona wpływa na mnie niż ja na nią; emocje, jakie odczuwam, związane są z muzyką, nie nakładam na nią własnych myśli.

Kto jest dla pana mistrzem i wzorem w rozwoju muzycznym?

Zacznę od śp. prof. Stefana Wojtasa. Wcześniej uczyłem się u pani Bożeny Dobrowolskiej i pani Marii Wosiek, a na samym początku uczyła mnie moja kochana siostra Veronika. Jednak pierwsza mistrzowska klasa była właśnie u prof. Wojtasa, który przez ponad sześć lat mnie prowadził, pokazał mi piękno muzyki i nauczył czerpać przyjemność z ćwiczeń. Nauczył mnie właściwie wszystkiego, za co jestem mu ogromnie wdzięczny. Teraz studiuję u jego ucznia, dr. Krzysztofa Książka, który jest dla mnie bardzo ważnym wzorem do naśladowania jako człowiek i jako fantastyczny pianista, jestem wielkim fanem jego gry i jego uwag. Na każdej lekcji dowiaduję się od niego czegoś ciekawego, pomaga mi w każdej sferze. A jeśli chodzi o mistrzów, których słucham i cenię najbardziej, to Krystian Zimerman, Murray Perahia, Vladimir Horowitz, ostatnio słucham też Wilhelma Kempffa. Mogę ich również nazwać moimi profesorami, ponieważ wiele się z ich gry uczę.

Na koncert którego muzyka chciałby pan pójść najbardziej?

Z nieżyjących – Horowitza.

To rzeczywiście musiałoby być wielkie przeżycie.

Tak, pojechałbym do niego wszędzie. A z żyjących na pewno na Zimermana.

A jeżeli miałby pan możność spędzić więcej czasu z którymś z kompozytorów, to z kim spotkałby się pan najchętniej?

Rozumiem, że z nieżyjących? Na pewno z Chopinem, o tym chyba nawet nie muszę mówić. Ale też bardzo chciałbym się spotkać z Bélą Bartókiem. Powoli poznaję jego muzykę i coraz bardziej ją lubię. Myślę też, że spotkanie z Aleksandrem Skriabinem mogłoby być doświadczeniem metafizycznym.

Czy lubi pan występować z orkiestrą?

Bardzo. Granie z orkiestrą mnie bardziej tremuje, nie aż tak, żebym nie chciał grać, ale technicznie to jest niełatwe, bo jak się wypadnie, to trudno się złapać. Ale podobnie jak lubię poczuć jedność z publicznością, tak z orkiestrą również. Mało mam jeszcze w tej dziedzinie doświadczeń, grałem jak dotąd tylko Koncert e-moll Chopina. Na pewno chciałbym zagrać coś bardziej symfonicznego, chociażby któryś z koncertów Rachmaninowa czy Prokofiewa, bo tam fortepian bardziej współgra z orkiestrą niż u Chopina, gdzie orkiestra jest właściwie tylko tłem dla solisty.

Ciekawe pytanie od czytelniczki: „Gdyby mógł pan zagrać jeden utwór, który najlepiej opisuje pana osobowość, co by to było i dlaczego?".

Jeden trudno wybrać. Ale podzielę się doświadczeniem sprzed kilku dni: grałem Koncert e-moll Chopina w aranżacji na fortepian i kwartet smyczkowy. Podczas trzeciej części poczułem ogromną swobodę, świadomość, że mogę sobie tu na wszystko pozwolić – może z wyjątkiem przesadzonego tempa, bo wtedy bym się nie wyrobił. Pomyślałem wtedy, że ta część jest bardzo w moim charakterze i łączy mnie z nią radość, taneczność, nawet figlarność.

Wynika z tego, że jest pan pogodną osobą.

Raczej tak. Ale uwielbiam też drugą część tego koncertu, która jest niezwykle romantyczna. Być może taki też jestem, ale to już niech ktoś inny oceni.

Jak pan podchodzi do interpretacji utworu: czy stara się pan być w zgodzie z kompozytorem i jego epoką, czy dokłada pan coś od siebie?

Zaczynam od tego, że jeśli twórca jest mi mniej znany, to staram się jak najwięcej dowiedzieć o nim i o czasie powstawania danego utworu, co kompozytor przeżywał, jaki to był okres jego życia – o ile to w ogóle można sprawdzić. Drugi etap to czytanie nut, realizacja wszystkich oznaczeń, które tam są – crescenda, diminuenda, zwolnienia itp. Gdy to, co kompozytor szczegółowo zapisał, mam już, że tak powiem, w małym paluszku, wtedy mogę sobie pozwolić na małą quasiimprowizację na temat tego utworu, szukać w nim jakichś smaczków, których kompozytor nie zapisał, ale można je dodać w ramach stylu – romantyzmu, baroku itp. W przypadku Chopina jestem w miarę zaznajomiony z tym, co jest u niego dopuszczalne, więc wiem, na ile mogę sobie pozwolić, żeby to dalej miało smak, ale przy tym było yehudowe. Na szczęście jeszcze tego smaku nie psuję. Z innymi kompozytorami jest podobnie, więc pozwalam sobie na coraz więcej, dopóki ktoś, np. Krzysztof Książek, nie powie, że już przesadzam. Jak już przesadzam, to muszę się cofnąć o krok.

Czytelnicy pytają też o „Bhp pianisty". Czy chroni pan ręce i rezygnuje z jakichś aktywności z tego powodu?

Nie całkiem. Sporo grałem w piłkę nożną, teraz mniej, bo nie mam czasu, mam sporo koncertów, więc dużo ćwiczę. Jak się znajdzie czas na piłkę, to będę oczywiście grał ostrożnie, na bramce na pewno nie stanę. Uprawiam tenis, który wymaga siły ręki, ale fortepian też.

A jak pan dba o higienę psychiczną?

Zawsze byłem wychowywany w takim podejściu do życia, że mam brać rzeczy, jakie są, i nie martwić się na zapas. Tych dwóch zasad się trzymam. Jak coś wyjdzie, to wyjdzie, a jak coś nie wyjdzie, no to nie wyjdzie, to znaczy, że lepiej, że nie wyszło.

Filozofia stoicyzmu.

Tak. Niech się dzieje, co się dzieje. A ponieważ mój tata i jeden z braci są filozofami, to sporo filozofii w życiu mam.

Jak wygląda atmosfera rywalizacji na konkursach pianistycznych? Wiem, że stosował pan raczej ▶

eprasa.pl 56e4ba20b9



metodę Krystiana Zimermana i Rafała Blechacza: zagrać swoje i do domu. Unikał pan tej atmosfery.

Tak, raczej tego unikam, nie mam potrzeby konkurowania. W konkursie brali udział moi dobrzy koledzy z Krakowa, Mateusz Dubiel i Michał Basista; każdemu z nich życzyłem, żeby przeszedł jak najdalej, a nie żebym ja zaszedł dalej od nich, i myślę, że podobne podejście miał każdy z nich. Nie chciałem wtapiać się w życie konkursowe.

To zdrowe podejście.

Też mi się tak wydaje, zresztą Krzysztof Książek też mi to doradzał. Pojechałem w ogóle na ten konkurs bez założenia, że przejdę dalej po I etapie. To, co się stało, było dla mnie samego miłą niespodzianką.

Czy widzi się pan w przyszłości w roli pedagoga?

Zdecydowanie tak. Bardzo chciałbym uczyć. Na Akademii często spotykamy się w gronie znajomych pianistów – nie tylko, ale pianistów przede wszystkim; każdy coś zagra, każdy coś komuś powie. Dowiaduję się wtedy wielu rzeczy okiem zupełnie innym, niż ja na to patrzę czy Krzysztof Książek na to patrzy, tylko od strony mojego kolegi, który mówi coś, o czym w ogóle bym nie pomyślał. Tak samo jest, kiedy ja daję uwagi komuś. Lubię te spotkania i bardzo chciałbym w przyszłości mieć swoją klasę, kontynuować tradycję tej wspaniałej szkoły wywodzącej się od prof. Ludwika Stefańskiego.

Wspomnieliśmy już o rodzinie, a dużo dostaliśmy pytań rodzinnych. Oczywiście także o pana oryginalne imię, które jest hebrajskie.

Wciąż jestem o to wszystko pytany. Moi rodzice urodzili się w Polsce. Mam ośmioro rodzeństwa, jestem najmłodszy. Szóstka z nas też tu się urodziła, później wszyscy wyjechali do Izraela, gdzie się urodziło jeszcze troje, w tym ja, a potem wróciliśmy do Polski poza trójką rodzeństwa, która tam została. W Izraelu rodzina spędziła 12–13 lat. Większość rodzeństwa ma po dwa imiona: polskie i hebrajskie.

Pan ma też polskie imię?

Tak jakby. Używałem go przez pewien czas, ale szybko z niego zrezygnowałem. Moim imieniem jest Yehuda i to mi bardzo pasuje.

Już pan mówił o filozofii, ale jeszcze artystyczne zdolności są w pana rodzinie…

Każdy się zajmuje czymś innym. To jest bardzo przyjemne mieć tak bardzo różnorodną rodzinę.

I rozwijające.

Tak. Muzykiem, który robi karierę zawodową, jestem tylko ja. Veronika studiowała fortepian, ukończyła studia, teraz dalej troszkę uczy – uczyła kiedyś więcej, ale poszła już w trochę innym kierunku, pracuje w szpitalu. Mój brat Piotr jest fantastycznym pianistą, improwizuje i podziwiam, jak świetnie mu to idzie, komponuje też. Ale poszedł teraz też w filozofię i w inne rzeczy. Z nim zawsze niezwykle miło spędzam czas, bo po pierwsze, jest wspólny temat – muzyka, a po drugie, bardzo wiele się od niego dowiaduję z innych dziedzin. Jest też moja kochana siostra Ruti, dwa lata ode mnie starsza, studiuje na ASP w Krakowie, więc również mamy dyskusje artystyczne. W sumie w rodzeństwie połowa jest artystyczna, połowa nie. Jedna z sióstr poszła w medycynę, inna w bankowość, jeden z braci jest skrybą w Izraelu...

Przepisuje Torę?

Tak. Niektórzy pracują w korporacjach. Faktycznie każde z nas idzie w inną stronę. Spotkania rodzinne są więc bardzo ciekawe.

W jakich innych dziedzinach ewentualnie widziałby się pan, gdyby nie był pan muzykiem?

Kiedyś bardzo mnie interesowała architektura, przede wszystkim współczesna, kocham miasta, które mają w sobie dużo elementów współczesności. Gdyby nie w stronę muzyki, to może w tę stronę bym poszedł, ale jako małe dziecko zająłem się od razu fortepianem i tak zostało.

A w muzyce ma pan inne zainteresowania poza fortepianem?

Kompozycję. Piszę trochę, już nawet zdarzyło mi się grać własne utwory w zespole i solo. Na razie uczę się sam, nie studiuję kompozycji. Myślałem, żeby zacząć w przyszłym roku, ale może być ciężko z czasem. Kilka razy prywatnie spotkałem się z prof. Magdaleną Długosz z krakowskiej Akademii.

Ma pan czas na czytanie?

Teoretycznie mam, wieczorami na przykład, ale moja lektura to biografie Chopina czy listy do Chopina. Literatury raczej nie mam ochoty czytać. Brat polecił mi kilka książek quasifilozoficznych, kupiłem je nawet i czekają.

A jakiej muzyki lubi pan po prostu słuchać?

Kocham każdą. Muzyki współczesnej też mi się zdarza słuchać, ale ona wymaga skoncentrowania. A kiedy chcę odpocząć, najchętniej słucham muzyki klasycznej, ale też bardzo lubię jazz. Pop współczesny, ale też starszy, jak Budka Suflera – do tego to lubię sobie nawet pośpiewać.

ROZMAWIAŁA DOROTA SZWARCMAN

tokfm

Rozmowy z laureatami Paszportów POLITYKI w każdą środę o godz. 11.40 w „Kulturze Osobistej" w TOK FM, na tokfm.pl i w aplikacji mobilnej.

Współorganizator Gali: TVP

Partnerzy Główni: Totalizator Sportowy, 7 LAT, ZAiKS Stowarzyszenie Autorów ZAiKS, PZU Fundacja, ORLEN

Partner Oficjalny: Warszawa

Partnerzy Kategorii

Książka: Sopot

Sztuki wizualne: KRUK

Film: Kujawy Pomorze, Fundusz Filmowy Kujawy Pomorze

Scena: Białystok

Muzyka popularna: PZU Fundacja

Muzyka poważna: Art & Science

Partner Medialny: tokfm

eprasa.pl 56e4ba20b9

Materiał Partnera Oficjalnego Paszportów POLITYKI 2025

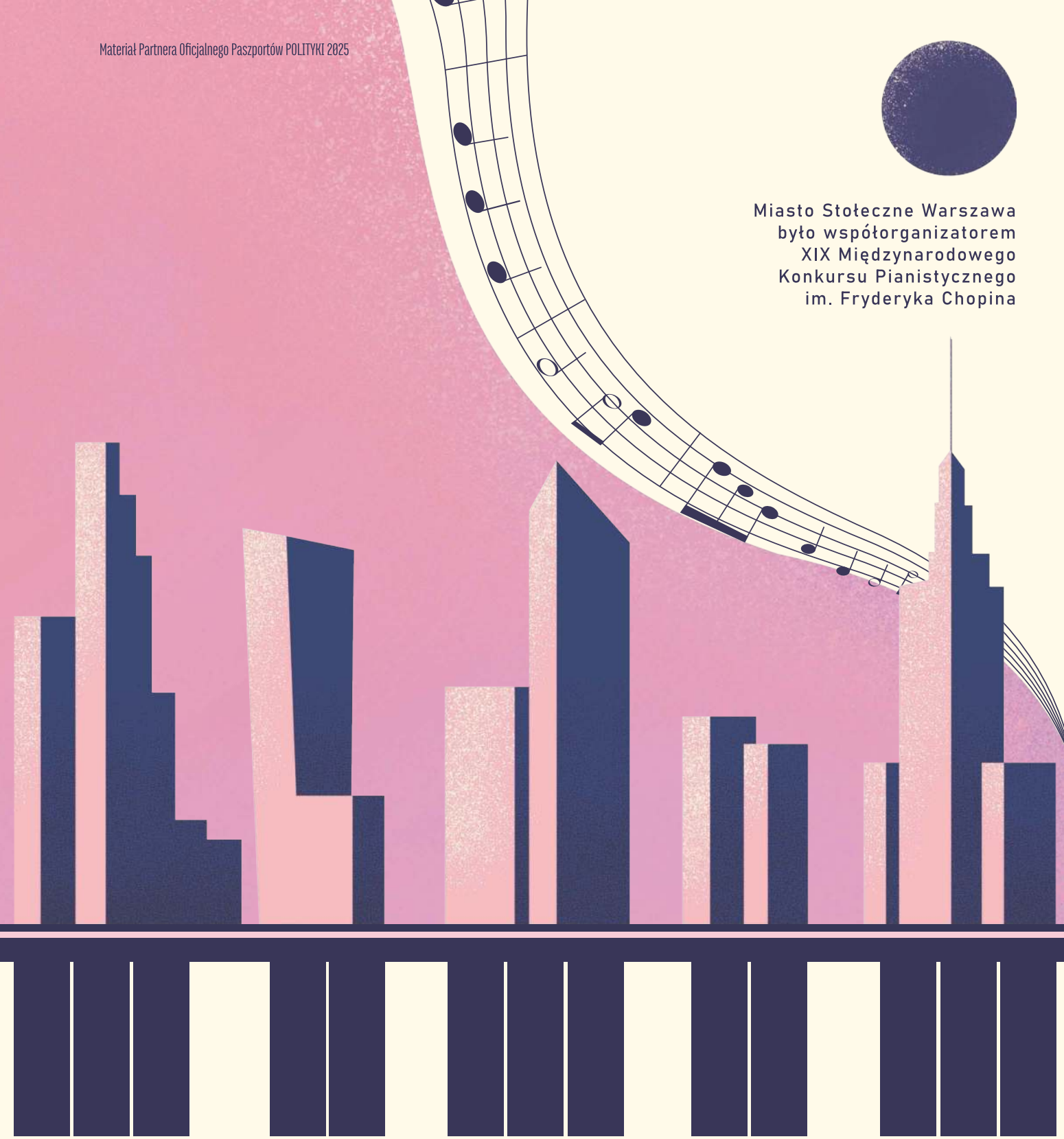

Miasto Stołeczne Warszawa
było współorganizatorem
XIX Międzynarodowego
Konkursu Pianistycznego
im. Fryderyka Chopina

Warszawa

w Warszawie wszystko gra

CHOPINA

eprasa.pl 56e4ba20b9



Mark Zuckerberg nie wiedział, że zostanie politycznym graczem. Sarah Wynn-Williams uświadomiła mu to i teraz bardzo żałuje.

Ludzie beztroscy

Historia Facebooka opisana w książce „Bezwzględni" to opowieść o ludziach, którzy przypadkiem weszli w posiadanie pieniędzy i władzy, ale nie byli na to gotowi.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

Chociaż podkast BBC Radio 4 „Strong Message" prowadzony przez satyryka Armando Iannucciego jest dość zabawny, to zajmuje się poważnymi sprawami – sposobami, w jakie nadużywany jest język, zwłaszcza przez polityków. Audycja wyemitowana w grudniu 2025 r. poświęcona została słowu „halucynacja", oczywiście w kontekście AI. Obok stałego gościa, komika Stewarta Lee, w programie wystąpiła jako ekspertka Sarah Wynn-Williams. Nie mogła jednak powiedzieć zbyt wiele (co prowadzący skomentował z ironią) na temat wielkich firm technologicznych z powodu sądowego zakazu wypowiadania się o swoim byłym pracodawcy – Facebooku, dziś znanym jako Meta.

Wszystko z powodu książki „Bezwzględni. O władzy, chciwości i upadku ideałów największego portalu społecznościowego", jej wspomnień z siedmioletniej pracy na stanowisku dyrektorki do spraw globalnej polityki publicznej. Rzecz zaczyna się jak skrzyżowanie komiksu „Dilbert" z filmem „Diabeł ubiera się u Prady", a kończy niczym thriller polityczny.

Człowiek Roku

Przyznając 15 lat temu Markowi Zuckerbergowi tytuł Człowieka Roku, tygodnik „Time" uzasadniał: „Za połączenie ponad pół miliarda osób i odwzorowanie relacji społecznych między nimi, za stworzenie nowego systemu wymiany informacji i za zmianę stylu naszego życia". W tym samym roku wyszedł film „The Social Network", w którym założyciela Facebooka odgrywał uroczo łobuzerski Jesse Eisenberg. Mitologizacja przypominała w nim młodzieżowe komedie w stylu „Zemsty frajerów". Filmowy Mark po odrzuceniu przez dziewczynę zbudował jedną z największych firm nowego świata, a jego jedyną zbrodnią było wykiwanie wspólników. Cwany nerd, który łamie zasady i obyczaje – można go było nawet polubić, tak jak do czasu lubiło się Elona Muska (POLITYKA 12/25). Trwała jeszcze epoka naiwnego cyberoptymizmu, za chwilę miała nadejść arabska wiosna, rewolucja możliwa dzięki mediom społecznościowym. Przez chwilę się wydawało, że nadzieje pokładane w internecie jako narzędziu zmiany świata na lepsze faktycznie się spełnią.

Pamięć o tamtych czasach (kasandryczne głosy, jak obecnego felietonisty POLITYKI Wojciecha Orlińskiego, należały do mniejszości) powinna pomóc w zrozumieniu pochodzącej z Nowej Zelandii Sarah Wynn-Williams. Jej książka opublikowana właśnie po polsku zaczyna się od mocnej anegdoty – ataku rekina na nastoletnią autorkę, który przeżyła głównie dzięki własnej determinacji. Jako dorosła została prawniczką międzynarodową i dyplomatką w ONZ, skupioną na ratowaniu świata („Ochrona bioróżnorodności, oceanów, wielorybów, ochrona gatunków zagrożonych. Zmiany klimatu"), ale młodzieńczy idealizm rozbił się o biurokrację. W 2007 r. podjęła pracę w ambasadzie Nowej Zelandii w Waszyngtonie. Facebook był wówczas fascynującą nowością, pozwalał nie tylko na utrzymywanie kontaktu z rodziną i ze znajomymi, ale też dawał wgląd w życie innych ludzi na całym świecie. Wynn-Williams dostrzegła to, o czym jeszcze nie wiedział Zuckerberg ani jego informatyczno-biznesowa ferajna – że platforma będzie potrzebować kogoś, kto zajmie się międzynarodową polityką. Przekonanie ich do tego

© ETIENNE LAURENT /EAP/PAP, TOM TREVATT

eprasa.pl 56e4ba20b9

zajęło jej rok. W 2011 r. rozpoczęła pracę dla Facebooka.

Przejście do internetowego biznesu Wynn-Williams opisuje jako szok kulturowy. Wszystko, czego nauczyła się w świecie dyplomacji, stało tu na głowie. Start-upowa kultura wymuszająca obsceniczny luz i ostentacyjną niedbałość wyrażaną ubiorem i dekoracją wnętrz (a raczej jej brakiem) sięgała głębiej niż fasada – rzeczy, które nie były interesujące dla programistów (takich jak Zuckerberg) czy ludzi biznesu (jak Sheryl Sandberg, zwerbowana z Google specjalistka od reklam i modeli monetyzacji), traktowano z niebywałą nonszalancją, ale chociaż nerdy i handlowcy nie chcieli się interesować polityką, to polityka interesowała się nimi. Facebook potrzebował nieustającego wzrostu, a ten można było osiągnąć jedynie przez podbój nowych rynków.

Wejście do gry

Tę część książki czyta się niemal jak powieść awanturniczą – dyplomatyczne misje w egzotycznych lokalizacjach, przez które autorka jedzie w kolumnie opancerzonych terenówek albo desperacko łapiąc stopa i usiłując nawiązywać łączność bez dostępu do sieci czy nawet telefonii komórkowej. Aż się chce kibicować – żeby się tylko udało! – chociaż dziś znane są już ponure konsekwencje tych działań. Zna je też autorka, co rodzi pytanie, na ile ta książka jest próbą umycia rąk, przejęcia kontroli nad narracją: „Chciałam dobrze, próbowałam zwracać uwagę na problemy, nie mogłam uwierzyć, że mnie nikt nie słucha" – aż było za późno.

Przy założeniu szczerości intencji autorki – dostajemy opowieść o tym, jak firma dokonała tego, czego nie zrobił rekin, czyli ją pożarła. Zupełnie jak naiwną bohaterkę filmu „Diabeł ubiera się u Prady" – na początku Wynn-Williams jest np. zszokowana zamożnością założycieli Facebooka (którzy wzbogacili się w pierwszej fazie wzrostu), widać też, jak upajające musi być znalezienie się w centrum nowego świata („Czuję się niesamowicie szczęśliwa, że mogę pomagać Facebookowi czynić świat bardziej otwartym i połączonym"). Gdy przekonuje przywódców państw, że platforma przyniesie korzyści nie tylko im, lecz także całemu społeczeństwu, z pewnością w to sama wierzy.

Polski tytuł „Bezwzględni" nie oddaje oryginalnego „Careless People". Bezwzględność kojarzy się z przebiegłością, złoczyńcą z Bonda, który robi coś z sadyzmu czy wyrachowania. „Beztroscy ludzie" to sformułowanie opisujące bohaterów „Wielkiego Gatsby'ego", Toma i Daisy, którzy dzięki bogactwu nie liczą się z żadnymi konsekwencjami, zostawiając za sobą bałagan, który muszą posprzątać inni.

Kultura Facebooka wymuszała skrajny pracoholizm – oto autorka odpisuje na maila z laptopa w trakcie porodu swojego pierwszego dziecka. Taką nauczkę kobiety miały przecież wynieść z niesławnego poradnika „Wejdź do gry" Sheryl Sandberg, uczącego, jak zamiast zmienić system, należy zmienić siebie. Okazało się to takim samym oszustwem jak aerobik, którego gwiazdy nie wspominały o operacjach plastycznych stojących za ich doskonałym wyglądem. Kluczem do sukcesu oddanych firmie bizneswomen łączących karierę z macierzyństwem okazały się pochodzące z Filipin nianie, a na wieść o marszu kobiet w proteście przeciwko prezydenturze Donalda Trumpa beztrosko interesowały się jedynie tym, co w czasie inauguracji miała na sobie Melania.

To, co bawiło w filmie „The Social Network" – Mark Zuckerberg ucierający nosa nadętym bankierom, przychodząc na spotkanie w klapkach i podomce – po latach okazuje się przerażające. Beztroskę szefa Mety widać na każdym kroku, a otoczenie mu na to pozwala. Pyszna scena, w której współpracownicy dają mu wygrać w grę planszową, wraca, gdy szef Mety zaczyna podejmować autorytatywne decyzje, łamiąc zapisy regulaminów i ustalenia, bo jest przyzwyczajony do prostych zwycięstw.

Gdy chce podbić chiński rynek (co ostatecznie się nie udało), traktuje to jako kolejną grę – oferuje dostęp do danych użytkowników i pełną współpracę z władzami. Gdy się okazuje, że Trump wygrał wybory w 2016 r. dzięki manipulacjom na Facebooku, podziwia jego spryt. Jeśli można było mieć złudzenia, że Facebook ma być narzędziem czynienia dobra dla ludzkości, powinny rozwiać się po zatrudnieniu na kierowniczym stanowisku Joela Kaplana, byłego pracownika administracji George'a W. Busha, który traktował firmę jako narzędzie amerykańskiej ekspansji i promował konserwatywne oraz skrajnie prawicowe postacie.

Tę przerażającą beztroskę widać też na przykładzie współodpowiedzialności Facebooka w czystkach etnicznych popełnionych na Rohingjach w Mjanmie. Zaczęło się od inicjatywy „Free Basics" (znanej wcześniej jako „internet.org") – wielkiego planu Zuckerberga, by dostęp do sieci uznać za prawo człowieka, a potem zapewnić go dzięki sieci satelitów i dronów. Jego realizacja była serią technologicznych i politycznych porażek, a za charytatywną fasadą krył się plan ekspansji w kolonialnym stylu.

Historia zawodu

Platforma została wykorzystana w Mjanmie do siania nienawiści i prowokowania zamieszek, co było możliwe dzięki – praktycznie – brakowi moderacji (odpowiadał za nią jeden człowiek pracujący zdalnie). „Nie chodziło o żadną wizję ani wrogość wobec muzułmanów w tym kraju. Nie chodziło też o pieniądze" – dzieli się przemyśleniami autorka. Jej konkluzja: włodarze platformy „mieli to gdzieś".

Tak samo mieli gdzieś dobrostan nastolatków, do których kierowano reklamy wykorzystujące kryzys emocjonalny. Mieli też gdzieś problemy wewnętrzne – toksyczne środowisko pracy i mobbing. Wynn-Williams nie odeszła z Facebooka, lecz została z niego wyrzucona. Jak uważa – w ramach zemsty za zgłoszenie molestowania seksualnego ze strony Kaplana. Twierdzi też, że sama by odeszła, bo ta mroczna wersja Facebooka nie miała nic wspólnego z firmą, która niosła nadzieję ludziom, pozwalała odnaleźć swoje miejsce osobom samotnym i wykluczonym, zdobywać przyjaźnie i inspirować.

Można odczytywać tę książkę jako opowieść o rozczarowaniu nie tylko samym Facebookiem, ale całą obietnicą postępu dzięki mediom społecznościowym. Nowozelandzkie Christchurch, skąd pochodzi autorka, dziś kojarzy się z masakrą w meczecie w 2019 r. – sprawca, skrajnie prawicowy internetowy troll, pokazał ją na żywo na Facebooku. Wynn-Williams na początku wspomina inne zdarzenie związane z tym miastem – trzęsienie ziemi w lutym 2011 r., w którym o śmierć otarła się jej siostra. Facebook umożliwiał wówczas łączność i śledzenie wiadomości. Dwa różne oblicza jednej platformy, która nie musiała pójść tą drogą. Wystarczyło podejmować inne decyzje.

Sarah Wynn-Williams,
Bezwzględni. O władzy, chciwości i upadku ideałów największego portalu społecznościowego,
przeł. Małgorzata Morel, wyd. Znak JednymSłowem

eprasa.pl 56e4ba20b9



Szejnert non-fiction

Przed 90. urodzinami mistrzyni reportażu Małgorzaty Szejnert dostajemy aż dwie książki: wywiad rzekę „Chłodnia, czyli grzejnia” i wybór jej tekstów prasowych „Chwila przed podróżą”. Część z nich ukazała się w POLITYCE.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Chłodnią nazywali Szejnert podopieczni reporterzy w „Gazecie Wyborczej”, gdzie przez 15 lat redagowała i kierowała działem reportażu. Nie było łatwo, ale nawet ci, których mocno przećwiczyła, wspominali to z wdzięcznością. Jeździli później do niej na słynne zajazdy do Mięćmierza. „Chłodnia, czyli grzejnia” (wyd. Znak) nie jest zresztą tylko rozmową: znalazły się tu fragmenty opowieści o życiu Szejnert, napisane przez autorów, kilka tekstów reporterki i bardzo ważna część na końcu: zestaw porad pisarskich nazwany „Małą książką kucharską reportera”. Po raz pierwszy usłyszeli je dziennikarze współpracujący z działem reportażu „GW” w 1995 r. Od 30 lat wykorzystują je kolejne pokolenia. I choć wszystko się zmieniło, znikły działy reportażu i media nie mają już tej siły oddziaływania, to ten zestaw porad jest wyjątkowo aktualny, bo żyjemy w czasach, kiedy wszyscy chcą pisać.

Widać zresztą dobrze, jak sprawdzały się te zasady w jej własnym pisaniu. Reportaże Szejnert z czasów PRL to majstersztyki pod każdym względem, również jeśli chodzi o suspens. W „Nie dla

© KRZYSZTOF DUBIEL

eprasa.pl 56e4ba20b9

nas uśmiech Giocondy" dopiero pod koniec orientujemy się, że w tej wielkiej mobilizacji społeczeństwa chodzi o komplet mebli wypoczynkowych z Jugosławii. Słynny reportaż z Supersamu „Na samie i na tradycji" zaczyna się z kolei niespodziewanie od Mickiewicza. Jedna z zasad Małgorzaty Szejnert brzmi: „Pisząc, pamiętaj o szczegółach, które są, jak powiedział pisarz Philip Roth, palcami olbrzyma".

Ciekawe, że wszystkie jej książki w jakimś stopniu dotyczą wysp: „Wyspa Węży", „Wyspa Klucz", „Dom żółwia. Zanzibar", Giszowiec z „Czarnego ogrodu" też można tak traktować. Nawet Polesie z „Usypać góry" jest pewnego rodzaju wyspą. Supersam również. Mówiła o tym w POLITYCE: „Miałam i ciągle mam obsesję szczegółu, a wyspa z natury rzeczy jest szczegółem, miejscem określonym, wydzielonym, zamkniętym, osobnym. Ma własne obyczaje, własną symbolikę – wyspa szczęśliwa, wyspa przeklęta, wyspa śmierci. Mam skłonność do pisania o miejscu, dopiero później szukam bohatera, a nie na odwrót".

Każda z jej książek, podobnie jak teksty prasowe, miała za sobą głębokie studia nad tematem. Dziś, w czasie wiedzy powierzchownej, kiedy książki często przypominają zaledwie konspekt, takie podejście jest bardzo potrzebne. Z tekstów Szejnert możemy nie tylko zaczerpnąć wiedzę, jak pisać, ale przejrzeć się w tamtych czasach i pomyśleć, gdzie jesteśmy dzisiaj.

W „Chłodni..." dostajemy nie tylko komentarz do całej historii powojennego dziennikarstwa, ale przede wszystkim historię osobistą Małgorzaty Szejnert. A biorąc pod uwagę jej powściągliwość, zapewne nie było łatwo. Możemy podejrzewać, że stosując się do własnych zasad, najchętniej połowę zawartości książki by wyrzuciła, bo zawsze im mniej, tym lepiej. Dorota Karaś i Marek Sterlingow, autorzy wielu znakomitych biografii, pozwalają nam tu podejść do tej postaci bliżej, niż moglibyśmy się spodziewać. Co znaczyło być panną z dzieckiem? Jak wyglądał jej związek z popularnym kiedyś dziennikarzem Lechem Pietrzakiem, ojcem jej syna?

Poznajemy warsztat masarski dziadka Szejnert, historię wojenną, dzieciństwo w Białej Podlaskiej, w której nie mówiło się o Żydach, choć przed wojną stanowili 40 proc. mieszkańców. Sama była zahartowana od dzieciństwa, przyzwyczajona do noszenia wody ze studni, a jednocześnie żyła w kokonie – dzieci chroniło się przed nadmiarem wiedzy o tym, co się działo w czasie wojny, a potem w stalinizmie.

Szejnert wcześnie straciła ojca, nauczyciela, który zmarł na gruźlicę. Tułała się po dalszej rodzinie, przeszła przez koszmarny półsierociniec, gdzie było głodno, za to pełno wszy i pluskiew. Trafiła do powojennej szkoły, w której brakowało wszystkiego. W tamtym czasie sukienki do komunii szyło się ze spadochronów, a stroje na przedstawienia z opakowań po nesce z paczek UNRRA. Po wojnie słuchała wiadomości radiowych: „Kochałam się w skoczku narciarskim Staszku Marusarzu. Sprawozdawca mówił tak barwnie i żywo, że szybko podjęłam decyzję, co chcę robić po maturze. Ciągnął mnie sport. Narty, żagle, wspinaczka to były marzenia o czymś lepszym, szlachetnym, eleganckim. Postanowiłam zostać dziennikarką sportową". Została reporterką, czyli kimś, kto bada różne sfery rzeczywistości, żeby o nich opowiedzieć innym.

Szejnert stała się jednym z najważniejszych nazwisk polskiego reportażu, który w latach 70. był zdominowany przez kobiety, takie jak Hanna Krall, Barbara Łopieńska, Teresa Torańska. Opowiada: „Reportaż krytyczny wobec systemu był niemożliwy, wydarzeniowy również. Starałyśmy się przechytrzyć PRL, pisząc teksty społeczne lub obyczajowe. Mężczyźni byli bardziej bojowi, mniej skłonni do kompromisów. Woleli się zajmować publicystyką. Mały realizm przypominał haft, kobiety sprawdzały się w nim lepiej. To nie było zajęcie na męską ambicję". Małym realizmem nazwano później sposób pisania, który miał ▶

REKLAMA



eprasa.pl 56e4ba2069

▶ omijać cenzurę – skoro nie można było pisać o ogólnej sytuacji w kraju, to pisano o szczegółach, o poszczególnych zakładach pracy.

Przeszła przez wiele redakcji: od „Kuriera Polskiego" po „Literaturę", sporo opublikowała w POLITYCE, między innymi tekst, który okazał się największym sukcesem i sprowadził na wszystkich duże kłopoty. Zamówienie dostała w 1973 r. od Jerzego Urbana. „Miałam napisać o tym, jak w PRL wiedzie się potomkom dawnej arystokracji: Radziwiłłom, Zamoyskim i innym podobnym. Wszyscy znali ich nazwiska z historii, ale mało kto wiedział, czym zajmują się w Polsce Ludowej. Wtedy był to temat tabu. Tylko »Polityka« mogła się poważyć na coś takiego".

„Urban nie chciał publicystyki, chciał mieć reportaż" – opowiada Szejnert autorom książki (mającym na koncie świetnie przyjętą biografię samego Urbana). „Uważał, że nasza socjalistyczna ojczyzna to wspaniałe miejsce, w którym dawna arystokracja nie jest już uprzywilejowana, ale może normalnie żyć. Zapewnił, że nic mi nie grozi, bo »Polityka« została właśnie wyjęta spod cenzury. Całe kolegium było zadowolone. Tylko Mieczysław Rakowski, ówczesny naczelny, nie czytał, bo gdzieś wyjechał. Urban kurtuazyjnie zapytał, czy może lekko zredagować tekst. Zrobił to tak subtelnie, że trudno było zauważyć różnicę, a reportaż stał się raptem bardziej ironiczny. Majstersztykiem był nadtytuł: »O życiu książąt oraz hrabiów w PRL«. »Oraz« ustawiało od razu cały tekst. Wymyślił też genialny tytuł. »Mitra pod kapeluszem«".

Szejnert pierwszy raz w życiu odniosła gigantyczny sukces – nawet na poczcie pani w okienku wołała do koleżanek, że przyszła ta, co arystokrację opisała. Ale zaraz zaczęły się kłopoty. „Rakowski w swoim dzienniku napisał, że plotki o jego odwołaniu »kursują po Warszawie jak pociągi dalekobieżne«". Podobno, kiedy widział Szejnert w redakcji, chował się jak redaktor w telewizji na widok Jandy w filmie „Człowiek z marmuru". Szejnert miała dostać nagrodę za książkę „Borowiki przy ternpajku", ale był telefon z góry i nie dostała. Nie dostała też pracy w POLITYCE.

Innym razem dowiedziała się, że otrzymała nagrodę, ale wśród nominowanych nie było najważniejszej książki tego czasu, czyli „Zdążyć przez Panem Bogiem" Hanny Krall. Szejnert wspomniała





o tym, odbierając nagrodę. Relacje między tymi dwiema damami polskiego reportażu to zresztą ciekawa część rozmowy, podobnie jak pojawiająca się w tle postać Ryszarda Kapuścińskiego.

Mały realizm kwitł aż do wybuchu Solidarności. „Na szczęście przyszedł rok 1980, w którym skończył się czas metafory i zaczęło się prawdziwe życie. Reporterzy musieli zareagować na nową rzeczywistość. Nie mogliśmy przecież opisywać, co Lech Wałęsa zjadł na śniadanie i jak długo robił zakupy". Szejnert pojechała wtedy nie do Gdańska, ale do Szczecina obserwować strajk w tamtejszej stoczni. Kiedy zakończył się karnawał Solidarności, skończyły się też możliwości pracy. Hanna Krall pisała w „Wiadomościach Wędkarskich", Szejnert przy pomocy Kapuścińskiego udało się wyjechać do Nowego Jorku, gdzie przez ponad dwa lata pracowała w „Nowym Dzienniku".

Wróciła jeszcze przed przełomem 1989 r. i przygotowała książkę o ofiarach stalinowskich, która wyszła w 1990 r., ale przepadła, bo czas nie sprzyjał takim tematom. Za to zaczęła się nowa era rozkwitu reportażu prasowego – i szefowania przez Szejnert działowi reportażu w „Gazecie Wyborczej". „Odbyła się nawet dyskusja w redakcji: czym ma się zajmować dział reportażu. Starannie się do niej przygotowałam. Odwołując się do różnych przykładów, wyjaśniłam, dlaczego reporter powinien pisać o społecznych skutkach polityki, a nie bezpośrednio o polityce. Wtedy byłam o tym bardzo przekonana, teraz nie jestem taka radykalna".

Autorzy „Chłodni..." pytają ją, jakie błędy popełniła jako szefowa. „Być może za bardzo ciągnęłam za sobą mały realizm. (...) Zbyt dużo myśleliśmy o formie, a zbyt mało o żywej ingerencji w rzeczywistość. (...) Dziś uparta forma może być hamulcem. Żyjemy w nieprzyjemnych czasach, sytuacja wymaga, by reportaż stał się mniej elegancki, bardziej bezpośredni i skuteczny".

Dziś reporterzy piszą książki, w których czasem widać brak treningu prasowego. Szejnert podsumowuje to gorzko: „Niektórzy nazywają dzisiaj polską szkołę reportażu »polską szkołą zmyślania«. Konfabulację zarzucano między innymi reporterom »Wyborczej«. To również skutek małego realizmu. Zachęcał do tego, by w reportażu używać języka literatury. Za komuny, zwodząc w ten sposób cenzurę, nie mieliśmy poczucia, że nie sprzyja to prawdzie. Ta kombinacja przylgnęła do nas jako pewna metoda (...) Mariusz Szczygieł powiedział kiedyś, że to ja wymyśliłam kłamstwo formy. Oburzyłam się, ale potem doszłam do wniosku, że to określenie jest trafne. Forma zawsze w jakiś sposób kłamie". I dlatego jej zdaniem mamy dziś nadmiar reportażu literackiego.

Książki reporterskie często łączą dziś gatunki: esej, pamiętnik, reportaż historyczny. Dotyczą często zjawisk fragmentarycznych i detalu: historii miejsca, małej społeczności. Nie z powodu cenzury, ale być może dlatego, że nie ogarniamy już całości. Tymczasem Szejnert przekonuje, że „reporter powinien pisać przede wszystkim dla swoich współczesnych, którzy mają wpływ na rzeczywistość". I to chyba jest zadanie, które nadal powinno przyświecać piszącym – zmiana rzeczywistości jest możliwa.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Chłodnia, czyli grzejnia. Małgorzata Szejnert w rozmowie z Dorotą Karaś i Markiem Sterlingowem, Znak, 2026.
Małgorzata Szejnert, **Chwila przed podróżą. Reportaże z PRL**, Znak, 2026.

© MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 56e4ba20b9



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Widownia finału krajowych kwalifikacji do Eurowizji 2026 spadła w TVP o połowę. Wygrała Alicja Szemplińska. Na 4. miejscu Piotr Pręgowski i „Parawany tango". Co daje nadzieję, że może być jeszcze gorzej.

Wirtualne Media wręczyły swoje prestiżowe nagrody Wirtuale 2026. Osobowością medialną roku została Karolina Korwin Piotrowska. Od 30 lat w mediach. Wydarzeniem roku zostało przejście TVP na kolor.

„Świat wolałby, żeby już usiadła" – to córka Małgorzaty Potockiej o jej udziale w „Tańcu z gwiazdami". Małgorzata wysłuchała prośby świata. Liczę, że kolejnym, który usiądzie, zostanie Przemek Czarnek.

„Twoja żona jest intelektualnie kilka leveli wyżej niż ten silikonowy pustak" – to komentarz na Instagramie. „Trudno się z tym nie zgodzić" – odpowiada Radosław Majdan. Jeśli ktoś nie wie, o co chodzi, to level oznacza poziom.

Jakub Wątor prowadzi program „Media Lab" w TVP3 Warszawa o świadomym poruszaniu się po świecie mediów i technologii cyfrowych. Po obejrzeniu cyklu bez problemu znajdziesz TVP3 Warszawa.

Marta Nawrocka wyznała, że poznała Karola Nawrockiego przez przypadek: „Miał książkę pod pachą". To rzeczywiście musiał być przypadek.

Gwiazda serialu „Klan" Tomasz Stockinger ujawnił, że po realizacji filmu „Znachor" w 1981 r. Jerzy Hoffman podszedł do niego i powiedział: „No, a z ciebie to aktora nie będzie". Pomylił się o 4600 odcinków.

Polski rysownik Tomasz Broda trafił do papierowego wydania „New York Timesa". I to jest sukces. U nas za to dowiedzieć się można, że Karolina Gilon ma kaktusa z Meksyku. Też pokonał długą drogę.



© PAWEŁ PRZYBYSZEWSKI/FORUM

Edyta Górniak wyjawiła, że „Dumkę na dwa serca" nagrała na potrzeby filmu „Ogniem i mieczem" za darmo, gdyż – jak twierdzono – nie było na to budżetu. Jak widać, artystka już wtedy wierzyła w dziwne teorie.

„»Awantura o kasę« przypomina trochę spotkanie u cioci na imieninach. Ktoś pożartuje, ktoś zaśpiewa, wszyscy dobrze się bawią" – to Krzysztof Ibisz. Ładne. Opis pasuje do większości produkcji Polsatu.

Joanna Jabłczyńska pokazała na Instagramie, ile czasu zajęło jej dodzwonienie się na infolinię ZUS. Jej rekord to 42 minuty. Spokojnie. Średnia długość życia kobiety wynosi w Polsce 82,2 roku.

Marcin Dubiel, influencer zamieszany w aferę Pandora Gate, wyjawił, że kiedyś był głupi, a aktualnie jest innym człowiekiem. Z komentarzy można wywnioskować, że widz zgadza się z nim w 50 proc.

Plotek triumfuje. „Tylko u nas: Natalia Siwiec ścięła grzywkę i się załamała". Ten serwis jest jak Rosja. Wielu wie, gdzie jest, ale mało kto zagląda.

„Wszyscy patrzyli na Skibińską. Po chwili weszła Szapołowska" – donosi Plejada. Wcześniej: „Wszyscy patrzyli na Dębską, a po chwili weszła Stenka". Jeszcze wcześniej: „Wszyscy patrzyli na Wendzikowską, po chwili weszła Glinka". Wszyscy patrzymy na autora...

Marcin Meller wydał e-booka „22 kawałki dla Etiopii" z tekstami polskich autorów. Dochód ze sprzedaży ma pomóc w budowie polskiej szkoły w Tigraju. Grzywka Siwiec miała większy zasięg.

Na premierze filmu „Król dopalaczy" pojawili się: Magik Y, Bart Pniewski, Edyta Folwarska, Maluma i Małgorzata Opczowska. Niestety nie brałem, więc nie znam.

eprasa.pl 56e4ba20b9



Jak walczyć z AI?

W amerykańskim związkowym serwisie Labor Notes przeczytałem interesujący artykuł na temat sztucznej inteligencji. Typowe artykuły w prasie na ten temat składają się z bezkrytycznych zachwytów, ale w tym jego autor Keith Brower Brown przyjmuje inny punkt widzenia. Zgodnie z tytułem „Four Union Strategies to Fight on AI" zastanawia się nad strategiami, jakie związki zawodowe mogą przyjąć w zwalczaniu sztucznej inteligencji. To było cudowne ożywcze tchnienie, niczym łyk świeżego powietrza po zmarnowaniu paru godzin w sali konferencyjnej podczas szkolenia z serii „Jak wdrażać sztuczną inteligencję w twojej branży". Zapewne wszyscy P.T. czytelnicy podobnie jak ja przynajmniej jedno już mają za sobą.

Wykonuję dwa zawody, przy czym jeden w coraz mniejszym stopniu. Jednym jest praca w szkole, drugim pisanie do mediów (to ostatnie mam wygaszone w zasadzie tylko do niniejszej rubryczki – już nie jestem stachanowcem wierszówki, jak kilkanaście lat temu). W obu branżach dużo się mówi o zastosowaniach AI, ale ja ich dla siebie nie widzę. Oczywiście wiem, że ChatGPT mógłby mi wygenerować felieton na temat dowolny, lecz podejrzewam, że redakcja szybko by ze mną zakończyła współpracę za taki numer. Zwłaszcza że AI zapewne umieściłaby w takim tekście jeden ze swoich słynnych błędów (pewien mój kolega dowiedział się w ten sposób o istnieniu „znanej polskiej aktorki Danieli Olbrychskiej").

> Gdy słyszymy, że AI pomaga przy absurdach biurokracji, powinien to być wstęp do rozmowy o ograniczaniu biurokracji.

Wiem też, że niektórym ludziom sztuczna inteligencja zastępuje tradycyjne wyszukiwarki. Ja jednak nadal wolałbym mieć zwykłego Google'a, takiego jak choćby dziesięć lat temu. A skoro go nie mam, to ciągle eksperymentuję z konkurencją, więc tak jak w zeszłym stuleciu zadaję to samo zapytanie w kilku różnych serwisach. Widzę tu, nawiasem mówiąc, niszę rynkową dla wyszukiwarki z gwarantowanym stuprocentowym brakiem slopu (tak żargonowo nazywa się kontent generowany przez AI).

W swoim podstawowym zawodzie dostrzegam wprawdzie pewne zastosowania dla slopu, ale są to zastosowania, jakich przede wszystkim w ogóle nie powinno być. Jak tu już kiedyś pisałem, szkoły są obarczone obowiązkiem generowania absurdalnych ilości papierów. Co jakiś czas dyrekcja powinna np. przeprowadzić obserwację lekcji (w czasach mej młodości zwaną „wizytacją"), by się upewnić, że nauczyciel dobrze realizuje swoje obowiązki. Przed taką lekcją nauczyciel zobowiązany jest sporządzić dokument zwany „arkuszem obserwacji", po nim dyrekcja powinna przekazać mu „pouczenia poobserwacyjne", a nauczyciel odpowiedzieć planem wdrażania tychże.

Tych papierów nikt nie czyta. Ich jedynym przeznaczeniem jest złożenie do teczki, by w niej były w razie ewentualnej kontroli z kuratorium. Ta kontrola też nie będzie polegała na ich czytaniu, bo tego jest po prostu za dużo. Kuratorium sprawdza w najlepszym wypadku, czy te papiery w ogóle są, a czasem tylko czy teczki są wystarczająco grube. I do takich zastosowań: konspektów, sprawozdań, planów rozwoju, protokołów kontroli, raportów pokontrolnych, regulaminu stołu pingpongowego itd. sztuczna inteligencja nadaje się znakomicie. Tylko że jeszcze lepiej by było, gdyby ich w ogóle nie wymagano. Biorą się z dyspepsji legislacyjnej naszych kochanych polityków, uwielbiających wydalać z siebie ustawy takie jak niesławna „lex Kamilek", którą chyba przeforsowało lobby papiernicze, bo to jej jedyny beneficjent.

Podoba mi się więc, że amerykańscy związkowcy zaczynają od pytania, jak walczyć z AI, a nie jak ją stosować. Te cztery tytułowe strategie to kolejno: spróbować ją uzwiązkowić („UNIONIZE IT"). Na robotyzację w przemyśle motoryzacyjnym związek UAW zareagował uzwiązkowieniem techników od robotyzacji. Pracownikom w sektorze IT też przyda się ktoś walczący o ich prawa.

Druga to „pobrać haracz" („RANSOM IT"). Skoro korporacje robią oszczędności, niech się podzielą. Podczas rewolucji kontenerowej w transporcie związek dokerów i magazynierów ILWU wymusił na pracodawcach, żeby za likwidowane miejsca pracy płacili nie tylko odprawy zwalnianym, ale także premie pozostawionym.

Trzecia – „zablokować to" („BLOCK IT"). Niemożliwe? W 2023 r. potężne hollywoodzkie związki aktorów (SAG-AFTRA) i scenarzystów (WGA) wywalczyły ograniczenia dotyczące stosowania AI w filmach i serialach. Dwa miesiące temu strajk pielęgniarek w Nowym Jorku zmusił szpitale do zobowiązania, że nie będą robotyzować ich zawodu.

Czwarta strategia: „zidentyfikować prawdziwy problem". Próbowałem to zrobić na początku tego felietonu: gdy słyszymy, że AI pomaga przy absurdach biurokracji, powinien to być wstęp do rozmowy o ograniczaniu biurokracji. Do podobnych wniosków doszli niedawno amerykańscy nauczyciele z federacji UCORE.

Krótko mówiąc, nie jesteśmy bezbronni wobec AI, choć korporacje bardzo chcą, żebyśmy tak myśleli. Dedykuję tę refleksję znajomym z Solidarności, ZNP i innych związków.

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 56e4ba20b9

FELIETON

Koziołek



Iran i zasłony

Myślałem, że tylko ja jestem fanem różowego ciastka z Zenitu – zaskoczyłem sąsiadkę przed ladą cukierni.

– Wracam z pogrzebu – odpowiedziała, nie odwracając głowy, jakby na mnie czekała.

– Też bym w tej sytuacji wolał słodkie niż gulasz na stypie – przytaknąłem niepewnie.

– Był bogracz, całkiem dobry. Ale po to ciastko przychodzę za każdym razem, kiedy tracę pewność, o co chodzi w życiu – mówiła bardziej do pani sprzedającej niż do mnie.

– A o co chodzi? – podłożyłem się bez nadziei na odpowiedź.

Bohater powieściowy przez wieki rozwoju gatunku oswajał czytającego człowieka z ambiwalencją ludzkiego umysłu i uczył ją doceniać. To dziwna zdolność – zabawna, ale i przerażająca – do myślenia i przeżywania w tej samej chwili spraw diametralnie różnych; często ze sobą sprzecznych lub całkowicie niewspółmiernych; wzniosłych i prozaicznych, poważnych i śmiesznych; idealnych i trywialnych.

Co ważne, nagły przeskok uwagi z kazania pogrzebowego na marynarkę pana w przednim rzędzie oraz refleksja, że też chcielibyśmy taką, wcale nie umniejszają naszego współczucia ani lęku przed śmiercią. Po prostu obie myśli zagościły nam w głowie i sąsiadują przez chwilę. Kto wie, czy właśnie w tym pomieszaniu nie kryje się prawda o człowieku, a może nawet zagadka ludzkiej inteligencji, nieosiągalna nigdy przez sztuczną.

Trump przypomina bohaterów moich ulubionych powieści. Czy postać literacka powinna być przywódcą mocarstwa?

Również powieść odkryła, że znakomitym środkiem do ukazywania, jak bardzo jesteśmy popaprani, jest humor. Ojcowie gatunku, Cervantes i Rabelais, choć zapoczątkowali dwie odrębne linie rozwojowe powieści, w tym jednym byli zgodni. Ich bohaterowie i sprawy, którymi się zajmują, są śmieszni, ale w tej śmieszności kryje się powaga. Podczas narodzin Pantagruela umiera jego matka. Ojciec – Gargantua – „nie wiedział, zali ma płakać z żałoby po żonie, czy śmiać się z radości z urodzenia syna" (przeł. T. Żeleński-Boy). Robi więc jedno i drugie, jednocześnie. Gdy Don Kichot uwalnia przestępców skazanych na galery, zostaje przez nich pobity. Śmiejemy się z naiwniaka, a zarazem ujmują nas jego idealizm i odwaga. Ich wielcy kontynuatorzy nie dadzą nam zapomnieć, że człowiek nie jest emocjonalnym monolitem nawet w środku grozy. Strażnicy, którzy aresztują bez powodu Józefa K., są groźni, ale i zabawni, kiedy zjadają mu śniadanie i proponują, że jeśli da im pieniądze, kupią mu coś w restauracji.

Przypomniałem sobie o tych lekcjach ambiwalencji, oglądając ceremonię nadania przez prezydenta Donalda Trumpa Medalu Honoru czterem żołnierzom amerykańskim poległym w operacji „Epicka Furia". Prezydent rozpoczął od przypomnienia, jakim zagrożeniem jest Iran dla Ameryki. Ale szybko pomniejszył grozę Iranu, drwiąc z jego potencjału militarnego. Następnie przeszedł do bohaterów, których „opłakujemy", i to na ich cześć trwa ta misja, której celem jest zmiażdżyć zagrożenie, jakie reżim irański stanowi dla narodu amerykańskiego. A że armia amerykańska jest najpotężniejsza na świecie, z łatwością zwycięży. Następnie prezydent odniósł się do pogłosek, jakoby ta wojna miała go wkrótce znudzić. „Nie, nie znudzę się" – zapewniał, po czym nagle, jakby się już nudził, poczynił dygresję:

„Mamy tu z nami także wielu wspaniałych żołnierzy w tym pięknym budynku – czyż nie jest piękny? Trochę go rozbudowujemy. Ulepszamy ten budynek. Widzicie tę ładną zasłonę? Kiedy ją opuścicie, teraz widać bardzo, bardzo głęboką dziurę, ale za około półtora roku zobaczycie bardzo, bardzo piękny budynek. A tam właśnie będzie do niego wejście. Właściwie wygląda to tak dobrze, że chyba nawet..., myślę, że zaoszczędzę na drzwiach, bo piękniej już być nie może. Wybrałem te zasłony podczas mojej pierwszej kadencji. Zawsze lubiłem złoto".

Oglądałem i słuchałem w osłupieniu, mając wrażenie, że patrzę na skecz grupy Monty Pythona. Przecież trwa wojna, giną ludzie, a on o zasłonach!? Uderzyło mnie jednak, że zebrani tam żołnierze i ich rodziny przyjmowali to z aprobatą. Nie wstali i nie wyszli urażeni, opowieści o zasłonach zdawały się nawet ich bawić . Nie dostrzegali w tym lekceważenia ofiar i ich rodzin. Ku własnemu zawstydzeniu musiałem przyznać, że ostatecznie ja też nie. Przyłapany na ambiwalencji, już byłem gotów uznać, a nawet docenić autentyczność prezydenckiego ekshibicjonizmu. Jednak nie.

Publiczne ukazywanie całej prawdy o człowieku to przywilej, który słusznie przyznaliśmy sztuce. Życie wspólne, czyli polityka, wymaga powszechnie akceptowanej hipokryzji, co oznacza dobre wychowanie, wypełnianie zadań, zajmowanie stanowiska, przyjęcie odpowiedniej postawy, odgrywanie roli. I nawet jeśli zachowanie prezydenta przypominało bohaterów moich ulubionych powieści, to czy postać literacka powinna być przywódcą najpotężniejszego mocarstwa świata?

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl 56e4ba20b9

FELIETON

Hartman



Skubana medycyna

Miłość i medycyna to temat niebezpieczny i ekscytujący. A co dopiero pieniądz i medycyna! Pieniądz medycynę nakręca i pieniądz ją niszczy. A my wszyscy, czyli pacjenci, leczeni jesteśmy i ucierani na pył pokorny między dwoma młyńskimi kamieniami, z których każdy obraca się dzięki sile pieniądza w inną stronę. Jeden kamień to medycyna budżetowa, oparta na groszu publicznym wziętym w podatkach i obowiązkowych składkach ubezpieczeniowych. Ona pieniądze wydaje i kręci się w prawo. A ten drugi kamień, mniejszy, kręci się w lewo i pędzi go pieniądz medycyny, która zarabia. Koordynacja tych dwóch nierównych kamieni to właśnie „system ochrony zdrowia". Trudne to zadanie, bo interesy wszystkich stron są sprzeczne. Chorzy nie chcą ani chorować, ani płacić, medycyna publiczna nie chce, żeby ludzie chorowali, a jak już chorują, to woli, żeby siedzieli w domu, bo i tak nie płacą, a za to medycyna prywatna chce, żeby ludzie chorowali, przychodzili i płacili. W dodatku wszystkiego wciąż jest za mało, więc i pacjent pacjentowi wrogiem, i szpital szpitalowi, i w ogóle same wrogi dookoła.

Generalnie im więcej pieniędzy w obu sektorach – medycyny publicznej i komercyjnej – tym więcej ludzi może być leczonych. Jednak efektywność tych wydatków, zarówno budżetowych, jak i prywatnych, zależy od wielu czynników. Nad niektórymi mamy kontrolę, nad innymi nie bardzo, bo trochę rządzi rynek, a trochę monopole, licencje itp. Tam zaś, gdzie kontrolę mamy, często się jej wyzbywamy, wierząc, że rynek zadziała w sposób korzystny dla pacjentów. I czasem tak bywa, a czasem nie.

> Za wizytę u lekarza płaci się w większości krajów rozwiniętych. Pora, by płaciło się i u nas. Na skromne 10 zł już nas stać.

Liberalizacja rynku usług medycznych i rynku pracy w medycynie to dobra rzecz, pod warunkiem że nie straszą niedostatki podaży i monopole. A w Polsce brakuje lekarzy. Mogą więc dyktować ceny za swoje godziny pracy i zdecydowanie nie są przy tym skłonni do korygowania ortodoksyjnego „prawa popytu i podaży". Biorą najwięcej, jak się da, przez co udział pensji lekarskich w kosztach systemu ochrony zdrowia jest imponujący. W sektorze publicznym to około czwartej części kosztów, a w niepublicznym znacznie więcej. Jak nigdy dotąd reputacja środowiska lekarskiego pogarsza się z powodu wieści o niezwykłych zarobkach najzamożniejszych kilku procent lekarzy. A i całkiem przeciętny lekarz zarabia wszak więcej niż minister zdrowia, nie mówiąc już o profesorze (na przykład) medycyny wykładającym na uczelni (choćby i medycznej). Porównanie z medianą zarobków Polaków jeszcze bardziej daje do myślenia. W przypadku lekarzy jest to grubo powyżej 20 tys. zł, czyli trzykrotnie więcej niż dla całej polskiej „klasy pracującej". Leczyć, nie umierać!

Nie, niepokój o zarobki lekarzy nie jest żadnym populizmem ani brakiem świadomości odnośnie do tego, co się na te zarobki składa, jak wielka jest odpowiedzialność lekarzy itp. Te zarobki są za wysokie, a nierówności pośród samych lekarzy wręcz szokujące. Postawienie jakiejś tamy, np. w formie górnego limitu wynagrodzeń w lecznictwie publicznym na poziomie przekraczającym średnią krajową, lecz mimo to nieoburzającym, z pewnością byłoby bardzo zdrowe, a w dodatku przyniosłoby oszczędności. Gdyby lekarze zarabiali nie więcej niż 50 tys. zł, a ich średnie zarobki nie przekraczały 20 tys., to w budżecie zdrowia zostałoby dobre 3 mld zł (starczyłoby na trzy duże szpitale), a zaufanie i szacunek społeczny do lekarzy powróciłyby do bezpiecznego poziomu.

Trzy miliardy to nie w kij dmuchał! A przecież można zarobić jeszcze trzy, wprowadzając symboliczne (rzędu 10 zł) opłaty za konsultacje w publicznych przychodniach. Nigdy nie słyszałem sensownego argumentu przeciwko tzw. współpłatności. Dlaczego pacjenci płacą za leki, a nie płacą za konsultację lekarską? Rzekomo dlatego, że jest wielu biednych ludzi, których nawet drobna opłata mogłaby zniechęcić, a dla wielu innych, wahających się, czy się leczyć, byłaby dodatkowym argumentem za tym, żeby się nie leczyć.

Otóż te argumenty są reliktem dawnego paternalizmu, który wyobraża sobie pacjentów jako ciemną masę nędzarzy. Z opłat można by zwolnić osoby o najmniejszych dochodach. Co zaś do psychologii i motywacji, to sprawy przedstawiają się całkiem inaczej. Dziś zdecydowana większość pacjentów ma całkiem rozwiniętą świadomość zdrowotną i kilka groszy za wizytę chętnie zapłaci i nie zrezygnuje z odwiedzenia lekarza. Za to zrezygnować mogą osoby czyniące sobie z chodzenia po lekarzach swego rodzaju rozrywkę.

W propagandzie komunistycznej ważne były proste hasła, takie jak „za darmo". Jednak komuna już się skończyła, Polska jest zamożna i czas trochę spoważnieć. Za wizytę u lekarza płaci się w większości krajów rozwiniętych i pora już, aby płaciło się również u nas. Nie tyle, ile w Niemczech, we Francji czy w Szwecji, lecz na skromne 10 zł już nas stać. Dwie proste zmiany, które postuluję, to najwyżej 2 proc. więcej na leczenie. Epidemiologicznie i ekonomicznie nie znaczy to wiele. Moralnie – całkiem sporo.

JAN HARTMAN

eprasa.pl 56e4ba20b9

Chutnik Plebanek



Drobinki dobra

Dobro nie kręci tak jak zło. Nie pisze się książek o tym, co pozwala trwać, gdy wali się porządek. Uwagę przyciąga okrucieństwo: mobbing w organizacji, której zadaniem jest dbać o grupę poszkodowaną zawodowo. Wojna za wschodnią granicą i kolejna, która wybuchła na Bliskim Wschodzie. Widmo kryzysu klimatycznego, który w swojej nieuniknioności zasługuje bardziej na nazwę armagedonu.

Mimo to świat codziennie się budzi i zasypia, a po drodze obdarowuje okruszkami dobra. Uśmiech starszej sąsiadki, uprzejmy gest kierowcy przepuszczającego pieszego, mimo że ten nie przechodzi po pasach, radość psa, który w lansadach, merdając ogonem, dopada obcego spacerowicza. Malutkie cuda ratują przed zsunięciem się w mrok, który fundują decydenci na szczeblach drabin, tych dużych i tych całkiem mikrych. Gry o władzę, nasza zmora wpisana w kulturę hołdującą hierarchiczności, nie tylko niszczą życie, symbolicznie i dosłownie, ale i przyciągają uwagę, usuwając w cień rzeczy niezwykłe, bo dobre, a zatem warte celebracji.

Zło hipnotyzuje, dobro nudzi. Wolimy kryminały, w postaci nie tylko lektury, ale i dawki codziennych doznań. Dopiero gdy szala się przechyli, gdy wystraszymy się naprawdę, zaczynamy doceniać gesty zwykłych ludzi, które równoważą potworność czynów tych, którzy walczą o władzę. Normalizacja zła daje przedziwne efekty. Gdy dzieją się potworności, łapiemy się na myśli, czy aby na pewno można się cieszyć z drobiazgów. Czy można śmiać się z przyjaciółką, wiedząc, że amerykańskie pociski rozwaliły szkołę w Iranie? Bezradność dusi i pozbawia radości życia. Z nauk przodków wynika, że tam, gdzie toczą się wojny i konflikty zbrojne, jedyne, co działa, to uparte trzymanie się życia.

> Bezradność dusi i pozbawia radości życia. Tam, gdzie toczą się wojny, jedyne, co działa, to uparte trzymanie się życia.

Sylwia wróciła właśnie z trasy promocyjnej swojej książki w Ukrainie. Jeżdżąc po kraju, słyszała alarmy i strzały na froncie, schodziła do schronów. A potem rozmawiała o literaturze, która wydawała się groteskowo wręcz oddalona od realiów. Mimo to ludzie dziękowali. „Przywiozłaś nam nadzieję" – powiedziała po spotkaniu w Kijowie jedna z czytelniczek. „Nie zapominajcie o nas" – prosiła inna kobieta. Bo bycie razem i rozmowa to namiastka zwyczajnego życia.

Temu życiu daleko jednak do zwyczajności. W Charkowie odbyło się spotkanie z Julią Pajewską, pseudonim Tajra, sanitariuszką, legendą Euromajdanu, która uratowała setki ludzi, wyszkoliła wielu medyków. Mistrzyni aikido, charyzmatyczna liderka, uczestniczyła w walkach w Donbasie i Mariupolu. Uwięziona przez wojsko rosyjskie, była torturowana. Opowiadała o warunkach, w jakich przetrzymuje się więźniów, porównując je do obozów koncentracyjnych. Dyskusja odbyła się w piwnicach teatru, bo tylko pod ziemią można zorganizować spotkanie autorskie, gdy po niebie latają drony. Tajra, szczupła blondynka, z uśmiechem rozmawiała z publicznością, pozowała do wspólnych zdjęć. W kieszeni jej spodni tkwił pistolet.

W Ukrainie przecięć okrucieństw ze zwyczajnością jest więcej. Tonący w kwiatach i flagach grób młodej malarki, która zginęła od bomby, czytając książkę w parku, a przed bramą cmentarza... salon piękności. Trochę jak w Warszawie na zdjęciu z 1945 r. zrobionym na Placu Trzech Krzyży – z ruin wyrasta drewniana budka, na której wypisano wielkimi literami: „Manicure, pedicure". Sygnał, że życie trwa mimo wszystko. W tych gestach wyraża się chęć życia. Takich jak ten, by pojechać do Ukrainy, bo żaden Putin nie będzie mówił, co robić. I wziąć najlepsze sukienki.

Życie to kwestia świadomych wyborów. Grażyna zrezygnowała z funkcji prezydentki Europejskiej Rady Pisarzy, z organizacji odszedł też członek zarządu Eystein Hanssen, norweski pisarz, którego moralny kompas budzi podziw. W Norwegii założył nowy związek pisarzy i pisarek, gdy się okazało, że ten już istniejący ogranicza dostęp do grona „nazwisk" uznawanych za zasłużone innym twórcom literatury, np. gatunkowej czy tej kierowanej do dzieci i młodzieży. Nowa organizacja, dynamiczna, otwarta na zmiany, gromadzi dziś wielu autorów.

Niezgoda na niestatutowe działania, wewnętrzne wojenki czy kurczowe trzymanie się reguł ustanowionych dekady temu, które wśród szybko zachodzących zmian już nie znajdują zastosowania, to energia, która daje nadzieję na posuwanie spraw naprzód. Umiejętność dopasowania strategii do czasów jest kluczowa. Po tym, jak firmy szkolące modele tzw. sztucznej inteligencji ukradły dorobek współczesnym artystom, nie wystarczy publikowanie pełnych oburzenia listów otwartych. Aby zapewnić autorom wynagrodzenie, trzeba grać kartami, które zostały. Zdania takie jak „po co zmieniać", „dobrze było, jak było", to hamulce w działaniu organizacji.

„Chciałabym być szczęśliwa", mówi kura do kury w świetnej pracy Marty Zabłockiej. Ta druga jej odpowiada: „To bądź". Niezgoda na niesprawiedliwość i hipokryzję oraz zmiany dokonywane na własnych warunkach pomagają przywrócić równowagę życiu i docenić dobro.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 56e4ba20b9



Kandydat z napędem na węgiel

Przemysław Czarnek, kandydat PiS na premiera, został wybrany i już daje z siebie wszystko. Mówi się, że to kandydat-srandydat, przeciwko czemu ostro protestuję, gdyż nie godzę się na taki język, a poza tym Czarnek, polityk skromny, sam się nie wybrał, tylko został wyznaczony przez prezesa Kaczyńskiego, który dobrze wie, do czego ktoś taki jak Czarnek się najlepiej nadaje.

W inauguracyjnym wystąpieniu Czarnek wiele miejsca poświęcił OZE-sroze, co moim zdaniem pokazuje jego format umysłowy i to, jak fizjologia inspiruje jego wyobraźnię i z czym mu się wszystko kojarzy. Sławomir Mentzen przewiduje, że kolejnymi tematami, które Czarnek w najbliższym czasie poruszy, będą kaucje-sraucje, eko-sreko, wiatraki-sraki, elektryki-sryki i panele-srele.

Niechęć Czarnka do OZE doskonale rozumiem; jak twierdzi, z powodu zainstalowania paneli fotowoltaicznych tylko zepsuł sobie dach. Poniósł także straty finansowe, gdyż pomimo że za panele zapłacił 8,1 tys. zł, „generalnie w naszym domu nie przynoszą one zakładanych korzyści". W dodatku są bez sensu, bo nawet gdy produkują prąd, „to i tak wszystkie nasze elektrownie muszą być w pełnej gotowości, i tak za nie wszyscy płacimy".

Nie dziwię się, że Czarnek, który płaci za swoje panele i za utrzymywanie w gotowości elektrowni, denerwuje się. Zwłaszcza że taki minister Sikorski dzięki panelom sporo oszczędza i jest bardzo zadowolony, co jest politycznym skandalem i chamską prowokacją wymierzoną w przeciwników OZE.

Czarnek skarży się, że przed zainstalowaniem paneli płacił za energię 2–2,5 tys. zł, a po zainstalowaniu – 1–1,2 tys. „To ile lat muszę czekać, żeby mi się zwróciło to 8100?" – pyta wyraźnie przybity faktem, że nie umie tego policzyć, przez co zniechęcił się do fotowoltaiki. Teraz zapowiada, że ją zdemontuje i postawi na węgiel i atom, co według mnie jest o tyle praktyczne, że nie wymaga instalowania na dachu kopalni ani elektrowni jądrowej.

Trudności z policzeniem, kiedy zwróci się 8,1 tys. zł, to niejedyny dramat Czarnka. „Codziennie myślę o tym, czy mi się ta fotowoltaika nie zapali i co się stanie, jak to się zepsuje" – wyznaje. Moim zdaniem to dobra wiadomość dla Polaków, bo jeśli Czarnek myśli o panelach, to wtedy nie myśli o ratowaniu Polski, edukowaniu polskich dzieci, dbaniu o polskie kobiety ani o tym, czy chłop powinien z drugim chłopem albo z trzema chłopami naraz. Może on na tym traci, ale wszyscy inni zyskują.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki – siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Polmint Leipa passion process technology

eprasa.pl 56e4ba20b9

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

11 czerwca 1988 r. opublikowaliśmy rozmowę Adama Krzemińskiego z filozofem i socjologiem prof. Jürgenem Habermasem, przez lata kształtującym ideową odrębność demokratycznej Republiki Federalnej Niemiec. Prof. Habermas zmarł 14 marca 2026 r. w wieku 96 lat.


O BOGU, MARKSIE I NOWEJ NIEPRZEJRZYSTOŚCI

„ADAM KRZEMIŃSKI: **– Na ile niemiecka filozofia jest współwinna w powstaniu faszyzmu?**

JÜRGEN HABERMAS: – Trudno powiedzieć: istnieli filozofowie nazistowscy niemający większego znaczenia, jak Krieck i Heyse, oraz wielu znaczących, którzy w 1933 r. otwarcie przyznali się do faszyzmu, jak Heidegger, Rothacker, Becker itd. Problem polegał raczej na powszechnej wśród naukowców kierunków humanistycznych, na fakultetach filozoficznych w ogóle, świadomości mandarynów, która uniwersytety niemieckie czyniła bezbronnymi wobec glajszachtowania przez nazistów. To bardzo rozległe pole. Intelektualne pokrewieństwo w umysłowości i istotnych motywach istniało raczej między nazistami i młodymi konserwatystami z ich najważniejszymi eksponentami: Oswaldem Spenglerem, Carlem Schmittem, Ernstem Jüngerem i Martinem Heideggerem. Notabene motywy samoniszczącej, totalnej krytyki rozumu, wykorzystywanej wówczas przez nazistów, również dziś niezupełnie są martwe – choć w Republice Federalnej zdają się mniej żywotne niż np. we Francji lat 70. i 80.

Panie profesorze, niedawno ukuł pan pojęcie »nowej nieprzejrzystości« w naukach społecznych. W tej sytuacji wydaje mi się naturalne uciekanie w mity dające pozorne poczucie bezpieczeństwa.

Chciałbym zauważyć, że to wyrażenie »nowej nieprzejrzystości« dotyczyło politycznych wzorców myślenia. Te, według których orientowaliśmy nasze myślenie i działanie we wczesnych latach 70., już nie wystarczają. Wówczas (...) w polityce mieliśmy z jednej strony socjaldemokratyczny reformizm, z drugiej nurt konserwatywny. Dziś mamy do czynienia z kryzysem państwa dobrobytu, a również konsekwencjami końca okresu rekonstrukcji kapitalistycznej, co w Republice Federalnej może pan spostrzec po dwóch i pół miliona bezrobotnych. Od 1973 r., od kryzysu naftowego, doszło do wykrzywienia struktur zarówno na polu intelektualnym, jak i politycznym, i to właśnie tego dotyczyło moje sformułowanie. Zdogmatyzowane formy myślenia i działania politycznego już nie wystarczają. Nie ma tego co dramatyzować i twierdzić, że oto nastąpiła zmiana epok, że musimy się pożegnać z trzechsetletnią tradycją myślenia europejskiego. (...) Mówiąc o »nowej nieprzejrzystości«, chciałem zwrócić uwagę na to, że jest ona przejawem rosnącej autonomii i dojrzałości.

(...) Czy nie obawia się pan, że ta autonomia doprowadzi z czasem do Wieży Babel, pomieszania języków, gdzie każdy obieg będzie komunikował tylko z samym sobą, a nie będzie łączących wartości uniwersalnych?

Na to jest prosta odpowiedź: wartości kryją się w formach i sposobach komunikacji. Jeśli komunikacja jest egalitarna, jeśli zostawia miejsce dla wszelkich, nawet najbardziej idiotycznych inicjatyw, to w procesie publicznej debaty samoczynnie dojdzie do korekty, jeśli tylko nie będzie ona wymuszana. Wartości kryją się w samej infrastrukturze opinii publicznej, w tym, że komunikacja jest wolna od hierarchizacji, od uprzywilejowania pewnych osób i opinii – wówczas też wyklucza uzyskanie przypadkowych większości przez totalitaryzm".

Śmieciowe absurdy

O ile ma sens kaucja na szklane opakowania, powtórnie wykorzystywane, o tyle kaucja na śmieci – na razie (?) plastikowe butelki po napojach oraz puszki aluminiowe – nigdy nie będzie efektywna ekonomicznie i sprzyjająca ochronie środowiska. A to dlatego, że jest systemem obocznym w stosunku do już istniejących zasad segregacji śmieci, dubluje je w pewnym zakresie. Jak każdy duplikat szlak ten generuje dodatkowe koszty środowiskowe: zużycie energii i spalanie paliw, także ze strony konsumentów. Nie da się wprowadzonej reguły uczciwie uzasadnić „ochroną środowiska" lub „lepszą segregacją śmieci". Konsument już płaci za odbiór śmieci segregowanych. System kaucyjny wymusza bezumowne i bezpłatne świadczenie pracy w postaci magazynowania, transportu i obsługi zwrotu śmieci na rzecz przedsiębiorców obsługujących system lub zapłatę kary za brak owej pracy (nieodebrana kaucja). Feudalizm we współczesnej odsłonie.

Turystyka śmieciowa od strony konsumenta wymaga starannego magazynowania śmieci podlegających kaucji (trzeba mieć gdzie), dostawy do punktu odbioru (trzeba mieć czym i móc to łatwo robić) i poświęcania czasu na samo oddanie śmieci. System ten bardzo nierówno traktuje ludzi. Jedni mogą oddać śmieci tuż za rogiem, inni muszą dojechać kilka, kilkanaście kilometrów. Jak mają realizować turystykę śmieciową ludzie wykluczeni komunikacyjnie, starsi i mniej sprawni ruchowo czy wielu mieszkańców wsi?

Z drugiej strony przedsiębiorcy korzystający z darmowej pracy powinni chyba płacić z tego tytułu podatki, a co najmniej – zasilać ZUS. Co, niestety, sprowadza całość wprowadzonego do obrotu prawa do absurdu.

LILIANA HILSBERG
ARCHITEKT KRAJOBRAZU I METAFIZYK

© ARCHIWUM POLITYKI

eprasa.pl 56e4ba20b9

TREND



Dres w chińskim stylu

Oto zwykła bluza, która na drugi rzut oka okazuje się całkiem niezwykła. A może to tylko kolejny element chińskiego soft power?

Z okazji chińskiego Nowego Roku – kolejnym miesiącom 2026 r. patronuje koń – firma Adidas zaprezentowała kolekcję stworzoną we współpracy z marką CLOT. Stoi za nią pochodzący z Hongkongu aktor i celebryta Edison Chen; powstała w 2003 r. jako pomost między tradycją i modą uliczną – i taka też jest nowa kolekcja Adidasa. Jednym z jej elementów jest nowoczesna wariacja na temat chińskiej **kurtki Tang**, zapinanej na charakterystyczne troczki.

To nie pierwszy raz, gdy Adidas sięga po tę inspirację. Kurtki łączące dwie tradycje: ubrań z czasów dynastii Qing i trzech pasków („Poczuj dziedzictwo Adidas za każdym razem, gdy założysz tę bluzę dresową. Charakterystyczne trzy paski biegną wzdłuż rękawów, łącząc Cię z dekadami dumy z drużyny i sportowych osiągnięć") były już przedmiotem pożądania modowych influencerów na początku ubiegłego roku – który Chińczykom upłynął pod znakiem węża. Odcienie zielonego, niebieskiego, czerwonego i musztardowego nawiązywały do klasycznych satynowych strojów, a luźny styl – bardziej uliczny niż sportowy – i krój unisex (wedle metki zaprojektowany dla „azjatyckich ciał") sprawiały, że kurtka była wdzięcznym elementem stylizacji. Pasowała zarówno do krótkich spódniczek filigranowych influencerek, jak i potężnie zbudowanych miłośników street wearu. Ale przede wszystkim nie można było jej dostać poza Chinami – komu więc udało się ją kupić w czasie wycieczki lub sprowadzić, ten dysponował wyróżniającym się strojem.

Element niedostępności właśnie stracił na znaczeniu, bo na początku lutego kurtki pojawiły się we flagowych sklepach Adidasa w europejskich stolicach, a także w sprzedaży online, dla wylosowanych szczęśliwców. Po polsku kurtka została nazwana „bluzą dresową w chińskim stylu" i wyceniona na 479 zł.

Jednocześnie kurtka Tang w wersji Adidasa stała się obiektem internetowych dyskusji. Podawana jest choćby jako przykład kolejnego po laleczkach Labubu sukcesu *soft power* Państwa Środka: chiński strój przestał być kojarzony z czymś obciachowym. Choć można polemizować, czy kiedykolwiek taki był – przecież charakterystyczne troczki kojarzą się też z kinem kung-fu, a tradycyjną kurtkę Tang noszą także bohaterowie japońskich anime, jak „Ranma 1/2". Niektórym ta nagle zdobyta popularność wydała się podejrzana – czy za zainteresowaniem idzie faktyczny szacunek dla chińskiej kultury, czy to tylko płytka wiralowość? Część chińskich influencerów zaczęła się wręcz odcinać od kurtki Adidasa, klasyfikując ją jako produkt dla turystów z Singapuru, Malezji i Zachodu. „Dobre dla emigrantów, którzy bardzo chcą pokazać, jak bardzo są chińscy!".

Pojawił się też wątek przywłaszczenia kulturowego: zachodnia firma Adidas zarabia na chińskiej tradycji, a przecież nowoczesne ciuchy inspirowane klasyką można kupić od rodzimych producentów (pobieżny przegląd popularnych chińskich platform sprzedażowych pokazuje faktyczne bogactwo wzorów). Z jeszcze większą niechęcią spotkała się oferta japońskiej sieci Muji – dostępne w jej chińskich sklepach kurtki z troczkami w charakterystycznym minimalistycznym stylu zostały skrytykowane przez influencerów, co znów trzeba przyjąć z pewnym dystansem, skoro chińskie platformy sprzedażowe są pełne bluz i kurtek wzorowanych na kroju japońskiego kimona. Podobnie japońskim wzornictwem od lat inspiruje się Zachód. Od mody wysokiej po kolekcje w sieciówkach, nawiązania w modzie ulicznej i cyberpunkowym *techwear*. I bywa w tym zarówno wyraz zachwytu orientalną kulturą, jak i po prostu docenienie ergonomii i stylu.

Podobnie jest z kurtką Adidasa. Ktoś może ją założy, będąc dumnym z 4 tys. lat kultury państwa, które opuścili jego rodzice, ktoś z inspiracji tiktokowym filmikiem. Jest jeszcze perspektywa Europy, gdzie trzy paski były zawsze pomostem między Wschodem i Zachodem, symbolem niepokornego szyku. Stąd i element zaskoczenia – oto zwykła bluza, która na drugi rzut oka okazuje się całkiem niezwykła. ■



Michał R. Wiśniewski
– pisarz, publicysta, specjalizuje się w kulturze popularnej i cyfrowej oraz współczesnych obyczajach. Autor książek „Jetlag", „Wszyscy jesteśmy cyborgami", „Zabójcze aplikacje" i „Zakaz gry w piłkę. Jak Polacy nienawidzą dzieci".

© ADIDAS (3), ARCHIWUM PRYWATNE, CHRIS KEMPCZYNSKI/INSTAGRAM.COM/CHRISK_MSD, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 56e4ba20b9

Jak jeść w internecie

WIRAL

Prezes McDonalda **Chris Kempczinski** właśnie oddał swojej firmie niedźwiedzią przysługę. Wzorem kulinarnych influencerów przetestował nową kanapkę przed kamerą, pokazał, jak jest wielka i treściwa. „Holly cow!" (o rety!), zakrzyknął z wystudiowanym zachwytem. Ale wziął skromny kęs, a jego twarz nie zdradzała większych emocji. Teraz język jego ciała studiują internetowi prześmiewcy. Dziwią się, że Kempczinski w nagraniu nazywa burgera „produktem" i sprawia wrażenie – parafrazując polski slogan – jakby jednak nie miał „smaka na maka".



„Tak wyglądałem, kiedy rodzice kazali mi za dzieciaka zjadać brokuły", puentują internauci. Powstają fantastyczne parodie z udziałem ludzi (przymuszanych do jedzenia) i zwierząt (konsumujących łapczywie), konkurencja też nie śpi i kpi ochoczo. Kucharze z KFC czy Burger Kinga swoimi burgerami zajadają się ze smakiem.

Sam McDonald raczej nie ucierpi – o kanapce Big Arch momentalnie zrobiło się głośno, wystarczył jeden nieporadny kęs i oddolny ruch w sieci. Ale nauczkę odebrali wszyscy. „Jeśli zamierzasz jeść w internecie, rób to we właściwy sposób" – radzi Ellen Cushing na łamach magazynu „The Atlantic".

Kempczinski nosi się schludnie, biega i ćwiczy, ma polskie korzenie, dyplom MBA z Harvardu, funkcję CEO w McDonald's pełni od 2019 r. I bliżej mu chyba do Harvardu niż McDonalda. „Jest jak użytkownik LinkedIna, który zabłądził na TikToku", zbyt elokwentny, formalny, za grzeczny, pisze Cushing. A kulinarni influencerzy (gastroinfluencerzy) nie gryzą się w język. „Pa, jak się dymi!", „skórka chrupła!" – recenzuje popularny w Polsce Książulo. Ma być prosto i dosadnie. Widz przez ekran prawie czuje, że (nie) smakuje.

Ten efekt prezes McDonalda osiągnął, ale chyba nie o to chodziło. Rzecz w tym, że zmienia się charakter krytyki kulinarnej, ale i wielkiego biznesu. Prezes ma być zarazem celebrytą, „twarzą marki", konsumentem jej „produktów". Jeśli się potknie, pociąga firmę za sobą. Odczuł to na własnej skórze Elon Musk, McDonald pewnie się uratuje. Ale jakiś niesmak pozostanie.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Gdzie strumyk płynie

SŁOWO

Każdy, kto przegląda internetowe dyskusje, zauważył, że strumyki jakoś rzadko pojawiają się tam w znaczeniu hydrologicznym. Łatwiej trafić na zapytanie w rodzaju: „Ma ktoś strumyk, na którym obejrzę Lecha i Jagiellonię?" i odpowiedzi w postaci linków do stron internetowych, które oferują nielegalny dostęp do meczu. Bo skoro dostęp do streamu (dosł. strumienia) – jak przyzwyczailiśmy się określać transmisję strumieniową w sieci – sprzedawany jest za jednorazową opłatę lub abonament, a zainteresowanie jest duże, zawsze znajdzie się jakiś Robin Hood, który przekieruje ów strumyk tym, których aktualnie nań nie stać albo nie wierzą, że warto zań płacić.

A jeśli zobaczymy hasło „Kolega się pyta o strony typu Strumyk bez zacinania", to zauważymy nawet, że są jakieś konkretne strumyki, które dla uproszczenia autorzy nazywają Strumykami. Nietrudno je więc namierzyć, a gdy strumyk wysycha pod jednym adresem, to – jak to bywa z piractwem w internecie – za chwilę znów płynie pod innym. Tę siłę trudno powstrzymać.

Obserwatorium Językowe UW, którego wpis o strumyku zainspirował mnie do napisania niniejszej notki, definiuje rzecz szerzej: „W języku potocznym, zwłaszcza w środowisku twórców internetowych i ich widzów, strumykiem nazywa się transmisję internetową (tzw. stream), zwykle prowadzoną na żywo, często z możliwością kontaktu autora z odbiorcami". I rzeczywiście bez trudu znajdziemy też streamerów (strumykowców?), którzy zapraszają w ten sposób na swoje transmisje, dla odmiany całkiem legalne: „Dziś strumyk z zapomnianej serii »Anomaly« 11bitstudios". Bo nie tylko kibice sportowi siedzą w strumieniu.

Wszyscy używający tego słowa, bez względu na barwy klubowe czy ulubioną grę komputerową, wykorzystują „jednostkę powstałą w wyniku neosemantyzacji istniejącego w polszczyźnie rzeczownika strumyk", jak opisuje Obserwatorium. Ta technologiczna neosemantyzacja objęła zresztą więcej przyrodniczych określeń: chmurę, źródło, kanał, pająki czy robaki. Czasy, gdy opisywany harcerską piosenką „strumyk płynął z wolna", odeszły w przeszłość. Może te prawdziwe strumyki czasem całkiem wysychają, za to procesy językowe płyną z prędkością najszybszych łączy światłowodowych.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Dwa tysiące dwa established
Tacy jak my wstają, gdy padli
Ten Typ Mes, Ksywa to Mes, 2025 r.
established – z ang. rozpoznawany/uznany od...

eprasa.pl 56e4b8e20b9



Czy *all inclusive* może istnieć bez nieograniczonego dostępu do jedzenia i picia? To pytanie, z którym muszą się zmierzyć popularne hotele.

Zmierzch wielkiego żarcia

PODRÓŻE

Raz w życiu byłam na wczasach *all inclusive* i do dziś pamiętam piorunujące wrażenie, jakie zrobił na mnie – wtedy dziewczynie z kraju zaledwie dziesięć lat po transformacji – bufet. W egipskim hotelu patrzyłam na stół z deserami zastawiony kilkunastoma rodzajami ciast. Były tam owocowe tarty, brownie, a nawet torty. Nie mogłam uwierzyć, że to wszystko jest dla mnie i nakładałam na talerz kolejne kawałki, a potem siedziałam nad nim smętnie, bo takiej ilości ciasta nie podołałby nawet mistrz w zawodach jedzenia na czas.

Wielkie żarcie to jedna z głównych atrakcji, którymi kuszą turystów takie hotele – obfitość różnorodnego jedzenia, bez wysiłku, na wyciągnięcie ręki. Jednak w praktyce oznacza to także wielkie marnowanie. Szczegółowych danych na dużą skalę brak, jednak z mniejszych opracowań wynika, że na wakacjach *all inclusive* jedna osoba dziennie marnuje 0,5–1,2 kg jedzenia.

Latem zeszłego roku z tym problemem próbowała rozprawić się Turcja – jeden z krajów, w których jedzenia wyrzuca się najwięcej. Fundacja do spraw Zapobiegania Marnotrawstwu oszacowała, że rocznie do śmieci trafia tam 23 mln ton żywności – 102 kg na osobę. To przerażające liczby, zwłaszcza że kraj zmaga się z wysoką inflacją. Częściowo winne są tradycyjne bufety śniadaniowe (*Serpme kahlvalti*): na tureckich stołach ląduje z rana kilkanaście talerzyków i miseczek z serami, dżemami, kiszonkami, börkami czy jajami sadzonymi. Niedojedzone produkty trafiają do kosza. Częściowo winne są także bufety w hotelach *all inclusive,* z których Turcja słynie na cały świat. Kiedy pojawiły się pomysły, by zastąpić je modelem, w którym goście wybierają posiłek z karty, wiele osób się oburzyło. „Czy to koniec wakacji *all inclusive* w Turcji?", „Polacy zrozpaczeni!" – krzyczały choćby nagłówki gazet i portali. Szybko okazało się, że Turcja wcale nie ma zamiaru niczego zakazywać, na razie to jedynie sugestie.

Całkowite odejście od koncepcji szwedzkiego stołu może okazać się trudne, ponieważ dla zbyt wielu turystów *all inclusive* jest tożsame z nieprzerwanym strumieniem jadła i napitków. Jednak są hotele, które podejmują próby ograniczenia strat. Niektóre stawiają przed wejściem do stołówek tablice, na których notują, ile jedzenia zmarnowało się już danego dnia i ilu ludzi można by nim nakarmić. W ten sposób próbują poruszyć sumienia udających się na stołówkę gości. Inne są bardziej radykalne i domagają się opłat za pozostawione na talerzu jedzenie, o czym latem donosił z Tunezji popularny twórca internetowy.

Duże sieci hoteli stawiają z kolei na technologię. Zamawiają systemy, które za pomocą kamery śledzą, co dokładnie trafia do kosza, a potem AI zbiera dane dotyczące wagi i kosztu odpadków. To pozwala ograniczyć przygotowywanie potraw, które z dużym prawdopodobieństwem nie zostaną zjedzone. Firma, która zajmuje się instalacją takich systemów zapewnia, że pozwalają one ograniczyć ilość odpadków nawet o połowę. Inne hotele z kolei inwestują w technologię, która przekształca odpadki w biogaz. Można od razu wykorzystać go w kuchni do zasilania palników i w ten sposób mieć dostęp do zielonej energii.

Sporo zależy także od kreatywności szefów kuchni. Może ser z kolacji w śniadaniowej sałatce nie wzbudzi entuzjazmu gości, ale owoce można spokojnie wykorzystać do koktajli, a resztki warzyw do gotowania bulionu. Na świecie są już restauracje, które z idei *zero waste* zrobiły swój znak rozpoznawczy. Wykorzystują niemal każdy fragment składników. Z resztek warzyw robią kolorowe kiszonki, z nati marchewki – pesto. Mało prawdopodobne, by taka idea zaczęła nagle przyświecać wszystkim hotelom *all inclusive,* z pewnością może jednak stać się inspiracją dla części z nich.

A także dla nas. Bo najwięcej jedzenia wciąż marnuje się w prywatnych domach. Co odpowiada za 8–10 proc. emisji gazów cieplarnianych. To cztery razy więcej niż wszystkie loty samolotami, także te na wakacje *all inclusive*. ■



Urszula Jabłońska – reporterka, autorka książek: „Człowiek w przystępnej cenie. Reportaże z Tajlandii" oraz „Światy wzniesiemy nowe".

© SHUTTERSTOCK (2), ARCHIWUM PRYWATNE, RAFAŁ MASŁOW

eprasa.pl 56e4ba20b9

Wielka nieobecna

Znamy, lubimy, a jakoś nie potrafimy docenić. A szkoda, bo Chorwacja to nie tylko piękne plaże, ale też jakościowe wino. Dlaczego zatem chorwackich win trafia do nas tyle, co kot napłakał?



Jest taki kraj podobny do Polski. Leży w zasięgu jazdy samochodem, co milion z nas chętnie wykorzystuje każdego roku, spędzając tam udane wakacje. Język jest bardzo podobny, wsie i miasta wyglądają niemal identycznie. Kuchnia też; w wielu regionach na talerzu pojawiają się ziemniaki, kasza, wieprzowina, karp i kiszona kapusta. No i robią tam fantastyczne wina.

Ten kraj to Chorwacja. Jej cztery regiony leżą na idealnej dla wina szerokości geograficznej, nie brakuje mniejszych lub większych gór, które zawsze sprzyjają jakości. Przez tysiąclecia Chorwacja była kolonizowana przez ludy w winie rozmiłowane: Greków, Rzymian, Wenecjan, Austriaków. Ci ostatni zostawili najtrwalszą pamiątkę w postaci swoich odmian winorośli, z których graševina (w ojczyźnie zwana welschrieslingiem) pozostaje najpopularniejszym rodzajem wina w Chorwacji – typowo środkowoeuropejskie, mocne, gęste, charakterne, pieprzne, idealne do stołu.

Graševina to królowa Chorwacji kontynentalnej, natomiast Polki i Polacy oczywiście pielgrzymują tam dla błękitnego morza. Do wyboru są Istria i Dalmacja. Ta pierwsza, leżąca najbliżej Polski, to półwysep, gdzie od stuleci silne są wpływy włoskie, architektura nadmorskich miasteczek jest bardzo wenecka. Tutaj rządzi biała malvazija, białe wino pachnące mandarynkami, wiosennymi kwiatami, a w smaku wyraźnie słone. W pierwszym łyku jest to trochę zaskakujące, ale gdy się nią popija owoce morza, wszystko do siebie pasuje idealnie. Na Istrii dostaniemy też lokalne wina czerwone, z których gwiazdą jest jagodowy, nieco szorstki teran – idealny do dziczyzny, bo z dala od wybrzeża, w zielonych wioskach, gdzie winnic jest najwięcej, ryb już się nie je, rządzą za to szynka i trufle.

Dalmacja z kolei to jedna z najlepszych wakacyjnych miejscówek w Europie i zupełnie nie dziwię się milionom, które w sezonie zapełniają tamtejsze kurorty. Poszarpane chorwackie wybrzeże pełne urokliwych zatoczek i wysp sprawia też, że stosunkowo łatwo uciec tu przed tłumem. W starych kamiennych miasteczkach nad talerzem czarnego risotto albo grillowanej barweny naprawdę można poczuć się jak w raju. Główną propozycją w bieli jest mój ulubiony pošip – obfity, cytrusowo-brzoskwiniowy, lekko słony, bardzo hedonistyczny. Ale do wyboru mamy też aromatyczną maraštinę, zielonego debita, pieprzną bogdanušę (na wyspie Hvar) czy limonkową žlahtinę (na Krku). Kolor różowy reprezentuje tradycyjny opol, a czerwony – plavac mali. Ta spokrewniona z primitivo odmiana daje wina niesamowicie pełne, o smaku powideł i wiśni, sycące, rozgrzewające, o alkoholu przekraczającym często 16 proc.

W lecie rzadko mamy nastrój na taką potęgę, toteż możemy sięgnąć po nieco bardziej wyważonego babicia, kwaskowatego trnjaka albo zupełnie już lekuchne, oryginalne plavina i lasina z północnej Dalmacji. Jak widać, różnorodność jest ogromna i także winiarsko nie sposób się w Chorwacji nudzić.



Wojciech Bońkowski – od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment".

Skoro jest tak pięknie, to dlaczego nic o tym w Polsce nie wiemy? Chorwacja produkuje mało wina – mniej niż np. Czechy albo Urugwaj – i może liczyć na nienasycone pragnienie odwiedzających ją turystów. Dodajmy do tego konsumencki patriotyzm, a dostaniemy winiarski kraj, który łatwo sprzedaje swoje wina na miejscu, nie potrzebuje eksportu tak bardzo, jak inni (zaledwie 10 proc. produkcji). Winduje to ceny do wysokich poziomów i Chorwacja raczej nie będzie dostawcą butelek po 19,90 zł (choć parę lat temu jeden z naszych głównych dyskontów oferował w tej cenie Graševinę Kutjevo i była to świetna okazja). Dlatego win chorwackich do Polski trafia tyle, co kot napłakał. Powracając z urlopów, nie możemy więc niestety kontynuować tej miłej znajomości. Nie rozumiem tego oporu naszych importerów, bo na co dzień sam bym chętnie sięgał po wina chorwackie. ■

Testament Dalmatian Dog Babić 2019, 48 zł (mielzynski.pl)
Buhač Ilok Graševina 2024, 49,99 zł (rafa-wino.pl)
Badel Hvar Plavac Ivan Dolac 2018, 59,90 zł (darwina.pl)
Coronica Malvazija Istarska 2024, 94,99 zł (rafa-wino.pl)
Krajančić Korčula Pošip Intrada, ok. 15 euro (internety zagraniczne)

eprasa.pl 56e4ba20b9

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



Złodzieje na ogródkach

Wiosną działkowicze wracają na ogródki. Zanim wezmą się za uprawy, szacują straty po włamaniach i kradzieżach. Bo zima to sezon dla działkowych złodziei. – *Toczy się swoisty wyścig z czasem* – opowiada doświadczony komendant powiatowy z zachodniej Polski. **Co się kradnie na działkach, sprawdza Zbigniew Borek – w drugim odcinku naszego cyklu o kradzieżach. Do przeczytania na polityka.pl.**



Co z tą Polską?

Zarówno zachodni Europejczycy, jak i Rosjanie dziwią się wetu polskiego prezydenta Karola Nawrockiego do ustawy wprowadzającej unijny program SAFE. Bo tych pieniędzy nie odrzuca nawet eurosceptyczny i prorosyjski Viktor Orbán na Węgrzech. **Na Zachodzie Polska przestała być właśnie stabilnym i przewidywalnym sojusznikiem dla reszty kontynentu. Sytuacja jest trudna do zrozumienia – relacjonuje na polityka.pl Mateusz Mazzini.**





Pozdrowienia z Moskwy

Z perspektywy Kremla weto prezydenta Nawrockiego jest doskonałą wiadomością. Polska będzie gorzej uzbrojona i bardziej skłócona wewnętrznie. Polaryzacja jest w interesie Rosji i Kreml skorzysta z każdej okazji, żeby wspomóc pożytecznych idiotów zaostrzających wojnę polsko-polską. **Propagandyści rosyjscy nie ukrywają satysfakcji. Więcej na naszej stronie w tekście Agnieszki Bryc.**

Polska polityka to stan umysłu

Mamy kolejny impas. Prezydent zawetował unijny program SAFE, a chętnych do poparcia jego kontrpropozycji brak. **Czy tak będzie wyglądała polityka? I dlaczego politycy nie mogą się dogadać? W podkaście „Polskie demo" Michał Tomasik i Anna Materska-Sosnowska pytają o to eksperta od języka i komunikacji politycznej Mirosława Oczkosia.**





Mężczyzna szuka relacji

Czy męskość i wrażliwa męskość to pojęcia sprzeczne? **Jak się uporać z brakiem przyzwolenia na męską emocjonalność albo słabość? W Podkaście Psychologicznym Joanna Cieśla rozmawia z Robertem Koneckim i Mateuszem Kowalskim, twórcami kanału „Tutaj podcast".** Nasi rozmówcy proponują, by szukać relacji – autentycznych i przesyconych akceptacją.

© PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK, LESZEK ZYCH (2), ANNA AMAROWICZ (2)

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 56e4ba20b9

POSZERZAMY HORYZONTY



WIEWIÓRKA I TRĄD

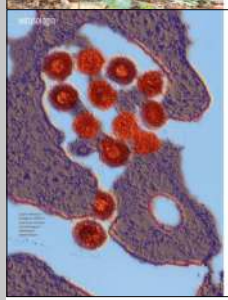

ARCHITEKCI DNA



TRAWKA — SZKODZI CZY NIE SZKO

Współczesna marihuana nie jest tą samą używką co 10–20 lat temu. Jej działanie jest znacznie silniejsze, a wpływ na zdrowie – bardziej szkodliwy. Wraz ze wzrostem konsumpcji produktów z THC wzrosła również naukowa wiedza na ich temat.

MARTA ALICJA TRZECIAK



Naukowe miesięczniki POLITYKI

O 100-leciu „Wiedzy i Życia” czytaj na s. 61. ➜









Marcowe numery już w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

pulsar

eprasa.pl 56e4ba20b9

RAINBOW

R.pl

CZYM JEST OBJAZD PREMIUM?

- ✓ **Kameralne grupy**
  maksymalnie 25 uczestników
- ✓ **Zakwaterowanie premium**
  hotele 4- i 5-gwiazdkowe
- ✓ **Dedykowani piloci**
  najlepsi piloci Rainbow
- ✓ **Specjalne atrakcje**
  dodatkowe, unikalne punkty programu wycieczki



DLA MNIE OBJAZD PREMIUM

eprasa.pl 5